

BIBLIOTEKA MICHAŁA FRIEDMANA 92

ALTER KACYZNE

Chore perły
i inne opowiadania

tłumaczenie Michał Friedman


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

ALTER KACYZNE

Chore perły i inne opowiadania

TLUM. MICHAŁ FRIEDMAN

CHORE PERŁY

Czarny dywan rozpościerał się w namiocie królowej. W jego tle emblemat utkany ze złota. Słońce i szczygieł. Szczygieł i słońce. Na dywanie, na pościeli wyścielonym jedwabiem siedziała królowa. Królowa Saby. Zmartwiona i gniewna.

Z opartej na kolanie białej ręki zwisał ku ziemi sznur pereł. Na tle czarnego dywanu wybrane z wybranych perły szły w zawody z bladymi palcami obnażonych stóp królowej: które

z nich delikatniejsze? Które bardziej szlachetne?

Wokół królowej lekko i zwiewnie stąpa na palcach jej stara mamka. Spowita w suknię z drogiego materiału, sama wygląda jak królowa-matka. Pochłania ją w tej chwili jedna myśl: jak pocieszyć to dziecko, które wykarmiła własną piersią.

— Nie martw się, królowo moja. To nic, że perły są blade. I tak nikt nie potrafi ci się oprzeć. Kto ci dorówna? Sama przecież jaśniejiesz promienistym blaskiem. Sama jesteś słońcem. Salomon na twój widok padnie ci do nóg. On, władca rozmiłowany w kobietach, będzie całował kraj twojej sukni.

— Nie — zaprzeczyła wywodom mamki królowa. — Nie, moja mamko! Zobacz, jak blade są moje perły. Sama widzisz, że są martwe. Jakże przestąpię próg jego szklanego pałacu z takimi perłami na piersiach? Przeszyje mnie wzrokiem, a ja spłonę ze wstydu.

Przejęta zalem staruszka zastygła na chwilę w bezruchu:

— Dziecko moje! Mówisz tak, jakbyś nie była królową, tylko służebnicą Salomona. Jakbyś była jedną z jego tancerek, co odgadują zawczasu królewskie zachcianki. Stara krew oblewa mi policzki. Cóż to za czary rzucił na ciebie król Jerozolimy, że z taką bojaźnią o nim mówisz?

Na bladej twarzy królowej pojawił się bolesny uśmiech. Jest ledwo zarysowany. Migdałowe oczy otworzyły się szeroko, stały się niemal okrągłe. Płoną w cieniu namiotu.

— Jakie tam czary? To po prostu jego osobowość. On sam we własnej osobie. On, delikatny, głęboko myślący, a zarazem szyderca. On ze swoją brodą, obramowaną czarnymi lokami, niczym dwoma ramionami otchłani. Z kolczykami w uszach, jak dwa nowo narodzone księżyce. A białka jego oczu są niby z niebieskiej porcelany. A wargi jego z najszlachetniejszej są purpury. On, mędrzec, który kąpie się codziennie w winie i uciechach. On, który bawi się w pałacu przesyconym aromatem wonnych korzeni. On, który złotym piórem na per-

gaminie napisał, że życie to marność nad marnościami.

Tak, w istocie. On mnie oczarował. On zdobył moje serce. I to bez żadnego trudu, bez najmniejszego wysiłku. Bez jednej zmarszczki na czole rozwiązał wszystkie moje zagadki. Owe trudne zagadki, które przywiozłam z mego dalekiego kraju. Jednym drwiącym uśmiechem wystawił na pośmiewisko dzieło długich lat pracy mędrców mej ojczyzny. Jak dziecko, które stłukło drogocenny przedmiot i nie zdaje sobie sprawy z rozmiarów szkody, tak on, bawiąc się, złamał moje serce. Bawiąc się, poniżył moją godność i zranił dumę. A ja? Com ja wtedy uczyniła? Nic. Byłam całkiem oszołomiona.

Stałam i podtrzymując ręką suknię, myślałam jedynie o jednym: aby tylko nie zamoczyć jej w wilgotnym gruncie. Byłam pewna, że stąпам po wodzie. W istocie było to zwyczajne szkło. Co za wstyd! A rozpustny wzrok Salomona spoczywał przez cały czas na moich obnażonych nogach. Jakby myślał, że właśnie chciałam je pokazać. Co za hańba! Ależ nie! Po

stokroć nie! Nie jestem jedną z jego licznych żon. Nie! W żadnym wypadku! Moje ciało jest piękniejsze. Moje ciało jest apetyczniejsze. Jest bardziej gibkie. I szlachetniejsze też jest moje serce. O wiele szlachetniejsze niż serce tej czarnej córki faraona, dla której zbudował pałac. Moja stara, moja kochana mamko, czy widziałaś kiedyś ten pałac?

Raptem królowa przerwała. Zza kotary namiotu doszły ją bowiem słowa pijackiej pieśni. Jakiś pijak starczym ochrypłym głosem śpiewał:

Wino Salomona jest drogie.
Wino Salomona jest dobre.
Płonie we mnie ogień.
Kipi we mnie krew.

Cicho! Sza! Już idzie. Nadchodzi ten pijak...

Mamka niecierpliwym ruchem rozsunała kotarę. Jej duża twarz zapłonęła jak miedziana w promieniach zachodzącego słońca. A w głębi

namiotu w niemym skupieniu siedzi królowa Saby. Jej postać majaczy niewyraźnie, jak wysniony cień trwający w oczekiwaniu.

Mamka cofnęła się o krok i siwiuteńki stary Awner dzwoniąc bransoletkami, wsunął głowę do namiotu. Biała broda świeciła niczym polerowane srebro. Ciemnoskórą dłonią zdobioną pierścieniami starał się zakryć usta, aby ukryć zapach wina.

— Czy moja łaskawa królowa raczyła posłać po mnie na dwór?

— Ty stary pijaku! Hulałeś na dworze królewskim z młodymi opojami¹!

Awner wśliznął się w głąb namiotu. Jeszcze niżej skłonił siwą głowę.

— Nie gniewaj się, łaskawa pani! Wśród tych, którzy chleją wino, są również starcy, a jednego z nich twój gniew właśnie otrzeźwił.

— Podejdź bliżej!

I Awner postąpił w głąb namiotu. Jego ogromna postać oraz dźwięk bransoletek sprawiły, że

¹opój — osoba pijąca duże ilości alkoholu. [przypis edytorski]

w namiocie zrobiło się jakby ciaśniej. Ukląkł. Królowa wyciągnęła ku niemu swoje perły.

— Zobacz!

Awner przesunął je przed oczami. Palcami znawcy przebierał perlę po perle. Westchnął.

— Szkoda. Są chore.

— Jak je wyleczyć?

— Należy zwrócić je matce.

W mroku namiotu oczy królowej nagle roz-
błysły. W jej głosie zadźwięczała nuta gniewu.

— Starcze! Twoje zagadki już raz poniosły sromotną klęskę. Możesz je sobie darować!

— Trzeba je wrzucić do morza.

— Jesteś pijany!

— Trzeźwy!

— Mów!

— Wrzuca się perły do morza. Powinny w nim leżeć tak długo, aż księżyc wykona trzy obroty. Wtedy dopiero można dobyć je z powrotem.

Królowa podparła głowę dłonią i pograżyła się w myślach. Po chwili westchnęła:

— Zbyt długo trzeba by było czekać.

Awner również oddał się rozmyślaniu. W namiocie powiało zapachem wina, dobywającym się z jego ust. Mamka podeszła do miednicy, wzięła dzbanek, umyła ręce i nogi starca. Zapach wina przemieszał się z delikatnym aromatem szlachejnych olejków.

Do obowiązków mamki należało odprawianie modłów za królową. Odchyliła więc zastonę namiotu i zaczęła bić pokłony przed zachodzącym słońcem. Z obozu królowej dochodziły odgłosy dziwnego parskania wielbłądów. Awner poruszył się:

— Czy moja łaskawa pani zechce mnie wysłuchać?

— Mów!

— A nie pogniewa się?

— Jeśli nie zasłużysz.

— A co określa miarę moich zasług?

— Rozum twojej władczyni.

— Jej mądrość jest moim oparciem.

— Mów.

— Jest taki środek, który zdoła uleczyć te perły. Należy je położyć na ciepłym sercu.

— Nosiłam je przez cały czas pod koszulą.

— Należy je położyć na ciepłym sercu.

— Nie zdejmowałam ich nawet podczas snu.

— Trzeba je położyć na ciepłym sercu.

— Awnerze!

— Tak, w istocie, nazywam się Awner. Awner jest już stary. Awner nie rzuca słów na wiatr. Przez dłuższą chwilę królowa nie odzywała się.

— Powiadasz więc, że...

— Należy je położyć na ciepłym sercu.

Perły wysliznęły się z rąk królowej. Cicho szeleszcząc spadły na czarny dywan. Leżały jak martwe. Królowa pogrzyżyła się w posępnej zadumie. Wreszcie zdecydowanym głosem zawyrokowała:

— Niechaj będzie, jako rzeczesz! — i powiedziawszy to rozplakała się jak dziecko.

Awner otarł łzę z oka. Mamka pośpiesznie zapuściła zasłonę. W namiocie zapanowała nieprzenikniona ciemność.

Kiedy Jerozolima spowita w czerwono-niebieski welon jutrzeńki spała jeszcze snem błogostawionym i tylko wierzchołki dalekich gór śpiewały swój hymn, Awner minął strażników drzemiących u bram miasta i wyruszył konno w drogę. Lśniący, kary koń szedł stępa. W siodle, oparta plecami o siedzącego za nią Awnera, kołysała się, niczym dziecko, królowa. Ufnie przytuliła głowę do jego srebrnej brody. Ukołysana jazdą zapadła w stan ni to snu, ni to jawy. Na twarzy błąkał się uśmiech. Uśmiech zmęczonego szczęścia. A koń wspinał się coraz wyżej i wyżej po górskiej ścieżce. A Jerozolima coraz niżej rozpościerała się szeroko pod swoim mglistym welonem. I kiedy królowa przebudziła się, w jej migdałowych, szeroko otwartych oczach pojawiły się strach i zdziwienie. Podziw i lęk przed tym wielkim miastem. Z twarzy zniknął uśmiech. Z ust wyrwały się słowa:

— Jerozolimmo! Zaczarowane miasto! Ty śpisz, a żądza płynie w twoich żyłach. Przelewa się niczym wino ze skórzanego bukłaka. Wino, któ-

re upaja i upija każdego, kto go tylko zakosztuje.

Nagle chwyciła Awnera za rękę. Oderwała głowę od jego miękkiej brody i wskazując palcem spytała:

— Popatrz, starcze, co to jest?

Na górze, w samym środku rozległego miasta, wznosił się, niczym senny obłok, ogromny pałac. Jego złoty dach od strony wschodniej błyskał ogniem. Wydawało się, że stoi w płomieniach. A góra, na której stał, owiana była mgłą, co sprawiało wrażenie, że pałac wisi w powietrzu. I nie zdążywszy ochłonąć ze zdumienia, królowa dostrzegła po stronie południowej następną górę. I na tej również wznosił się pałac. Ten wyglądał, jakby wynurzał się właśnie z morza mgły. I on od strony wschodniej zdawał się płonąć. Z miejsca, gdzie stała królowa wydawało się, że całe to spowite welonem miasto klęczy w jakiejś bolesnej ekstazie przed oboma pałacami.

Mimo iż słońce nie wzeszło jeszcze na dobre, stary Awner przesłonił oczy ręką i wpatrzył się wnikliwie w okazałe gmachy.

— Tobie jest dobrze, Salomonie! Zazdroszczę ci. Twoje budowle podniecają jeszcze bardziej niż wino. — A zwracając się do królowej: — Ten oto pałac przed twoimi oczami zbudował Salomon dla swego Boga. Pali w nim kadzidło i składa ofiary. Wszystko to odbywa się przy śpiewie chóru i dźwiękach harf.

— A drugi pałac? A tamten?

— Wzniósł dla swojej królowej.

— Dla córki faraona? Dla tej czarnej?

Królowa Saby znowu przytuliła się do srebrnej, gęstej brody Awnera. Ukryła w niej niemal całą twarz i cicho popłakiwała.

— Salomonie, Salomonie! Tyś zawładnął całym moim jestestwem. Opanowałeś moje ciało i wzburzyłeś moją krew. Gdyby moi rodzice widzieli, jak ich córka się męczy, zmartwiliby się ogromnie. Nie patrz na mnie, Awnerze, kiedy płaczę. Nie patrz, wierny mój sługo, i nie

staraj się mnie pocieszać. Nie rób tego! Zabraniam ci!

Wąską, delikatną dłonią próbowała zasłonić dużą twarz starca. On zaś przyłgął wargami do jej palców i całował kolejno wszystkie.

Tymczasem kary koń niósł ich dalej, po krętych ścieżkach wijących się wśród gór i dolin. Miasto zostało daleko w dole. Niepostrzeżenie rumak przeszedł ze stępa w kłus.

I nagle, dość raptownie ukazało się słońce nad Syjonem. Gdzieś tam pastuch zadął w róg. Z gór jęły zbiegać stada owiec. Białe i szare. Kłębiły się w biegu jako żywo przypominając spadający strumień wodospadu w blasku słońca. Tu i ówdzie wyłaniał się na drodze ciężko obciążony osiołek i sunący za nim poganiacz. Od czasu do czasu mijały ich postacie wysmukłych i zgrabnych kobiet z dzbanami na głowach. Nad drogą unosił się gęsty obłok kurzu. Niebieski w cieniu i czerwony w świetle słońca. Nagle rozległ się szum. Wydawało się, że za chwilę spadnie ulewny deszcz. Awner zjechał nieco z drogi, aby przepuścić stado półdzikich

wołów. Poganiacze krzyżąc strzelali z batów. Woły pędziły z pyskami opuszczonymi ku ziemi. Nozdrza rozdęte. Oczy nabiegłe krwią.

— Dokąd to? — pyta Awner jednego z poganiaczy.

— Do stołu królewskiego, mój panie.

A kiedy słońce osiągnęło zenit, Jerozolima była już daleko w tyle. Teraz droga wiodła wśród rozżarzonych winnic. Gdzie można znaleźć cieplejsze serce, jeśli nie tutaj, w tej słonecznej krainie? Królowa coraz bardziej przekonywała się do tej myśli. Zmęczona konną jazdą kołysała się w bezpiecznych ramionach swego wiernego, starego doradcy. Nagle w górach rozległy się dźwięki pastuszej fujarki. Z początku płynęły cicho, potem przybrały na sile. Wzmagały się, wibrowały i drżały w upale tak samo jak tamtejsze powietrze na błękitnym tle nieba. Dźwięki fujarki rozpląwały się w przestrzeni i ginęły jak topniejący cukier w niebieskim, czystym napoju.

Nim królowa zdążyła wyrazić swoje życzenie, Awner zatrzymał konia. Zawsze potrafił

odgadnąć w porę jej myśli. Zasłonił oczy przed rażącym słońcem i zaczął niecierpliwie szukać wzrokiem jakiejś żywej istoty wśród otaczających ich winnic. Nagle, nad górą przeleciał orzeł. Leciał dostojnie i poważnie. Długo włókł za sobą po piasku swój cień.

Na przeciwległym wzgórzu kąpała się w słońcu winnica. Na białym, czystym piasku wylegiwał się chłopiec. Leżał na brzuchu. Łokcie wbił w piasek, a nogami zgiętymi w kolanach wymachiwał w powietrzu. To on właśnie grał na fujarce. To on wypełniał całą okolicę przeciągłą pieśnią słoneczną:

Jakże słońce jest jasne!
Jakże miła jest moja młodość!
Ja i słońce, i góry, i skały.
Bądź błogosławiona, szczęśliwa moja ojczyzno!

Takie to myśli i uczucia wygrywał. A jego głowa złociła się płomiennie w promieniach

słońca. Zdawało się, że ma na niej jakieś czerwone nakrycie.

— Trzeba go zapytać, czy nie ma czasem siostry.

Awner zszedł więc z konia i pomógł zejść królowej. Przywiązał rumaka postronkiem i ruszył w kierunku leżącego obok winnicy.

A im wyżej wspinali się, tym piękniejszy stawał się chłopak w ich oczach. Jego wysmukła postać, opalone na brąz, wspaniałe, jakby utoczone przez rzeźbiarza nogi, były niemal doskonałe. Nic dodać, nic ująć. Na głowie nie miał niczego. To tylko niesforne, złociste kędzioły odbijały się w słońcu pełnym blaskiem.

W pierwszej chwili chłopiec ich nie zauważył. Grał dalej. A przeciągłe dźwięki jego fujarki rozlewały się w roztopionym od upału powietrzu.

Gorące jest słońce mojej ojczyzny.
I promienie słoneczne topnieją w mej krwi.
A pod ciemną skórą na ciele
Płynie słońce w mych żyłach.

— Chłopcze, chłopcze, zobacz, kto przy-
szedł.

Raptownym ruchem obrócił się twarzą do przybyszy. Jego duże ciemne oczy przywodzą na myśl spojrzenie młodych łani. Czai się w nich strach i jednocześnie igra drwina. Strach, bo łanie z natury są bojaźliwe, a drwina, bo zdają sobie sprawę, że nikt ich nie dogoni.

— Moich braci tu nie ma. Zostawili mnie na straży. Samotnie pilnuję winnicy — głos chłopca brzmi delikatnie, jakoś dziewczęco. Oczy śmieją się. Błyskają w nich iskierki radości. — Bracia udali się do Jerozolimy. Szukają swata. Chcą mi sprawić weselisko. Powiadają, że taka młoda osoba zbyt szybko się rozpuściła.

I nagle z sarnich oczu znika uśmiech. Zachodzą mgłą. Chłopiec szybko zasłania twarz, aby ukryć łzy.

Królowa Saby pochyła się nad płaczącym i delikatną białą dłonią dotyka jego opalonego na brąz ramienia.

— Chłopcze, twoi bracia nie są nam potrzebni. Potrzebna nam jest twoja siostra. Powiedz, gdzie przebywają twoje siostry?

Na te słowa płomiennozłocista główka w mig obróciła się ku królowej. Oczy jeszcze wilgotne od łez znowu roziskrzyły się śmiechem.

— Nie mam sióstr, łaskawa pani. Jestem jedyną siostrą u moich czterech braci. Nie zważaj na to, że jestem czarna. To słońce mnie opaliło.

A widząc, że królowa nie daje wiary jej słowom, zgrabna istota gwałtownym ruchem zrywa się z ziemi i ściąga koszulę.

— Spójrz, pani! Jestem kobietą. Taką samą jak ty. Popatrz na moje piersi. To prawda, że są małe, ale twarde i szczelnie do serca przyrosły. Są dojrzałe. Są rozwinięte i rozkwitają z radością, gdy ich dotknie głaszcząca dłoń. Pragną, aby je głaskano. I wzdychają z tęsknoty za dotknięciem głaszczącej ręki. Są takie dwie błogosławione dłonie na tym świecie. Twoja jest delikatna. Taka ręka jak twoja może dotknąć moich piersi. Widzisz? Są prawdziwe. Ale takie

palce mają tylko królowe. Och, jakie wspaniałe nosisz pierścienie. Zwłaszcza ten z czerwonym kamieniem. Pozwól mi go przymierzyć.

Królowa Saby uklęknęła przy śniadej stróżce winnicy. Zdjęła pierścioneł i dała jej do przymierzenia. Z zachwytem patrzyła, jak słońce gorącymi promiennymi pocałunkami znęca się nad delikatną, różową skórą okalającą młode sutki na obnażonych piersiach. A kiedy zauważyła, że swoim cieniem gasi złocisty płonący płomień loków dziewczęcia, przezornie odsunęła się na bok. A dziewczyna bawiła się klejnotami królowej. Śmieje się i płacze na przemian i wzruszona otwiera przed nią głębię swego serca:

— Bracia zostawili mnie, abym pilnowała winnicy. Mnie jednak gna tęsknota. Uciekam więc i nie pilnuję. Wtedy bracia mnie biją. Powiadają, że Sulamit rozpuściła się. Powiadają „Sulamit to otwarte drzwi...”

I oblewa się ze wstydu pąsem, podnosi oczy do góry i wyciąga ramiona ku swojej nowej przyjaciółce.

— Nie wierz moim braciom, siostrzyczko moja! Sulamit to nie otwarte drzwi. Sulamit to mur nie do przebicia. Sulamit to niedostępna ściana. Popatrz, jak twarde są moje piersi. Zobacz, jakie są gładkie. Nie ściskaj ich tak mocno, siostrzyczko moja! Krew kipi w moich żyłach. Albo nie. Raczej ściskaj je. Niech we mnie kipi krew, niech wrze. Będę cię całowała jak siostrę albo jak mego umiłowanego. Gorące są moje wargi. Suche są moje wargi. Moje oczy są zamglone. Nic nie widzę. Już nic nie widzę. Tak! Moi bracia mają rację. Zaiste, jestem rozpuszczona. Może w istocie jestem rozpustnicą... Co mam robić siostrzyczko moja? Co mam czynić?

A królowa siedzi bez ruchu. Oczarowana i milcząca. Sulamit ściska ją i całuje. Obejmuje i płacze.

— Pachniesz olejkami mego miłego. Mam wrażenie, że ty i mój miły z jednego pochodzicie pnia. A może widziałaś go? Może go nawet

dziś o świcie spotkałaś, kiedy opuszczał moją altankę? Ależ nie! Nie mogłaś go spotkać. Ty pochodzisz z wielkiego i szlachtetnego rodu, zaś mój miły jest zwykłym, prostym pastuchem z gór Gilad. Co trzecią noc nawiedza mnie. Ale to mało, więc serce moje nie przestaje usychać z tęsknoty.

I pełna zachwyty snuje:

— Mój miły zwinny jest jak jeleń. Jako lew jest silny. A jego zęby, gdy ukazuje je w uśmiechu, to istne białe owce, bliźniaczo do siebie podobne... Jest bez najmniejszej skazy. A kiedy obejmuje mnie lewą ręką, to prawą przyciska do swojej piersi. O, tak tak...

— Przestań, nie mów tak, siostró moja.

Królowa mdleje w jej ramionach i błaga, aby zaprzestała dalszych wynurzeń.

I dziewczyna zażenowana opuszcza głowę.

— Tak, jestem zepsuta. Moi bracia mają rację.

Awner stoi z boku i przygląda się objętym wespół niewiastom, stojącym nieruchomo w całej krasie swoich tęsknych powabów i wdzie-

ków. Rozważa sytuację, wzdycha i podejmuje decyzję. Rusza w dół zbocza, gdzie stoi uwięzany jego najlepszy przyjaciel, kary lśniący koń.

Pograżony w myślach, zrywa machinalnie po drodze dojrzałe złote winogrona z krzaków. Bezwiednie wkłada je do ust, miażdży językiem o podniebienie i połyka.

A kiedy niewiasty zostały same, królowa otworzyła przed strażniczką winnicy swoje serce. Rzeczywiście, pochodzi z wysokiego i szlacheckiego rodu. Mężczyzna, którego kocha, również wywodzi się z dostojnego domu. Jakże jednak nie żywić pretensji do niebios, skoro w tym kraju szczęście gości przeważnie w namiotach pasterzy i pasterek. Serca swego miłego jeszcze nie zdobyła. Jej ukochany jest po królewsku chłodny. Po królewsku uprzejmy i po królewsku szyderczy. Właśnie wybiera się do niego. Od dzisiejszej nocy licząc, spotka się z nim za dwa dni. Chce zjawić się przed nim w całej krasie. W pełnym blasku i przepychu.

— Wiedz bowiem, moja siostró, że my, niewiasty, nigdy nie jesteśmy jedynymi w ży-

ciu mężczyzny, którego kochamy. Zbyt dużo kobiet kręci się wokół mego miłego...

I Sulamit słucha jej z uwagą. Przywiera do niej całym ciałem. A ciało ogarnięte jest piekielnym ogniem. I nagle powiało chłodem. Uważnie patrzy na przyjaciółkę. Jest w jej spojrzeniu cierpienie. Niewysłowione cierpienie zranionej łani. Czyżby i ona nie była u swego miłego jedyną miłością? Jej dotychczasowe szczęście nagle wzbogaciło się o cierpienie. I od tej chwili nie jest już w stanie odróżnić szczęścia od bólu.

Królowa, krygując się, trochę zawstydzona, wyciąga zza dekoltu sznur białych pereł.

— Popatrz, siostró moja. Zobacz, jakie są blade.

Sulamit dotyka ich cienkimi, opalonymi palcami. Pełna podziwu i zdumienia powiada cicho:

— Takie perły noszą przecież tylko królowe!

— Tak, siostrze, takie perły noszą rzeczywiście królowe. Nie powinny jednak tak wyglądać.

I smutnym głosem opowiada jej, że perły są chore. Zauważyła to dopiero wtedy, gdy zdała sobie sprawę, że bez ich blasku nie może się pokazać na oczy owemu mężczyźnie ze szlacheckiego rodu.

Snując swoją spowiedź królowa płacze. Bezradna, rzuca się na szyję dziewczynie i rozpaczliwym głosem woła:

— Pomóż mi, siostrze! Ratuj!

A Sulamit przepełniona litością, płacze także. Obejmując ją tkliwie i czule głaszcze:

— O siostrze moja! Czyż ja, biedna wieśniaczka, potrafię ci pomóc?

— Potrafisz, siostrze...

Królowa opanowuje się. Przestaje płakać. Powiada dziewczynie, że perły może uratować tylko ciepłe serce.

— Należy je, siostrze, przez trzy dni i trzy noce nosić na piersi. Wtedy odzyskają w pełni

swój blask. Kto, jeśli nie ty, siostró, ze swoim gorącym sercem, potrafi przywrócić im życie?

I wtedy Sulamit zdecydowanym ruchem sięga po perły. Chce je natychmiast włożyć na piersi. Ręce jednak zaczynają jej drżeć. Jest zakłopotana. Po chwili ociągania się zwraca je królowej.

— Nie, siostró, nie mogę.

Z piersi królowej wyrwał się okrzyk bólu. Sulamit pozostaje jednak przy swojej decyzji.

— Doprawdy nie mogę. Dziś o świcie pożegnałam mego miłego. Za trzy dni znowu do mnie przyjdzie. Jakże pokażę mu się z cudzym klejnotem na piersi? Jestem przecież zwykłą strażniczką winnicy, a mój najdroższy jest pastuchem. Twoje perły gotowe rzucić cię wstydu na nasze ubóstwo. Mogą doprowadzić do zerwania naszych serdecznych uczuć.

Królowa zaczyna prosić. Całuje ją i błaga. Sulamit odwzajemnia pocałunki, ale jest nieugięta.

Wtedy królowa rzecze:

— Popatrz tylko, siostró! Masz bardzo dużo szczęścia i nie chcesz podzielić się ze mną najmniejszą jego częścią.

Sulamit jednak pilnuje swego szczęścia.

— Mój miły może mnie zapytać: skąd masz te perły? Co ja mu na to odpowiem? Czy uwierzy mi? Mój najdroższy z całą pewnością pomyśli: to chyba przebrana królowa. Przestanie mnie wtedy kochać. Zrozum, za trzy dni ma do mnie przyjść w nocy.

— Dlatego też przyślę do ciebie umyślnego, aby odebrał perły, zanim twój kochanek zdąży przyjść. Tobie już wtedy nie będą potrzebne, a mnie się właśnie przydadzą.

— A jeśli się spóźnisz? A jeśli zapomnisz? A co będzie, jeśli moje szczęście zawisnie nad przepaścią? I co się stanie, jeśli mój wybrany opuści mnie dla innej kobiety?

Sulamit ma oczy suche. Tylko dreszcze nią wstrząsają, kiedy mówi. A każde jej słowo jest jak łza ognista. Kiedy spada na serce, wypala w nim otwór.

Królowa wstaje i cichym, obojętnym, chłodnym tonem powiada:

— Żegnaj! Pokój z tobą!

I rusza tam, gdzie czeka na nią Awner z koniem. Lecz kiedy w ciszy i skupieniu stawia stopę na podstawioną rękę Awnera, aby dotrzeć konia, z górzystej ścieżki rozlega się wołanie pełne żalu:

— Siostro! Siostro!

To Sulamit pędem zbiega z góry. I płomień włosów złocistych obejmuje całą jej głowę.

— Siostro! Siostro! Wybacz.

Podbiega do królowej. Pada przed nią na kolana. Obejmuje jej nogi.

— Wybacz, siostro! Jestem grzeszna i bracia moi mają rację. Myślę tylko o sobie... Nie, nie zostawię cię na pastwę smutku. Daj mi te perły. Włożę je na siebie i niechaj wyzdrowieją. Oby to ci pomogło. Za moją i ich sprawą.

A kiedy włożyła blade perły na smagłą szyję, dreszcze przeszywały jej ciało. Błaga królową:

— Tylko uważaj siostró, aby wysłany przez ciebie sługa nie spóźnił się. Zaklinam cię na twoją miłość. Uważaj, abym z twego powodu własnego szczęścia nie utraciła.

Królowa uścisnęła ją i pocałowała w czoło. Rozwiała jej obawy i utwierdziła w przekonaniu, że wszystko będzie w najlepszym porządku. I stary Awner położył na złocistopłomiennej głowie Sulamit swoją upierścienioną dłoń i pobłogosławił znakiem Boga-Słońca, znakiem Boga panującego w jego kraju. Starzec i królowa odjechali. A kiedy znaleźli się już w dolinie, obejrzelili się za siebie. Na szczycie najwyższej skały stała Sulamit. Stała i patrzyła na nich. Jedną ręką przytrzymywała perły na piersi, drugą osłaniała oczy przed rażącym słońcem. A głowa jej świeciła blaskiem promienistym. I wydawało się, że to światło aureoli, że sama Szechina² na niej spoczywa.

— Bądź błogosławiona, Sulamit.

²*Szechina* (hebr.) — Duch Boży, obecność Boża; żeński pierwiastek natury boskiej. [przypis tłumacza]

I był dzień pierwszy. I Sulamit zupełnie zapomniała o fujarce, towarzysze swoich dni powszednich. Wylegiwała się w słońcu i przyglądała bladym perłom. Drugiego dnia poczuła tęsknotę za ukochanym. Myśl o nim zaćmiła pamięć o klejnotach. Sięgnęła po fujarkę. Wnet popłynęły w przestrzeń dźwięki tęskne, zawodzące, pełne niewysłowionych pragnień. Przywoływała miłego i zaklinała górską dal, aby odezwała się echem. Wtedy zamglony jej wzrok padł na perły. Zaraz przypomniała sobie wszystko. I wielkie było jej zdumienie. Wczoraj perły jeszcze matowe i blade, teraz żyły. Uśmiechały się delikatnym blaskiem. Zdawało się, że oto za chwilę obleją się rumieńcem, niczym policzki dziecka.

Trzeciego dnia Sulamit już znowu nie myślała o perłach. Nie odczuwała ich ciepła. Tylko serce płonęło jej w piersiach. Płonęło z niecierpliwości. Z oczekiwania, z liczenia godzin i minut dzielących ją od błogosławionej nocy. Z wpatrywania się w dal, skąd nadejść miał najdroższy. Jej oczy od rana przyćmione łzami

już wyschły, choć miał przecież nadejść dopiero wraz z nocą.

Leżała w altance, na ciepłym łożu i niecierpliwie czekała wieczoru. Suchymi wargami, w niemym szepcie wyrażała całą swoją tęsknotę.

— O, przyjaciółki moje młode! O, córy Syjonu! Jam chora z miłości. Strzeżcie się miłości jak ognia. Nie rozniecajcie w sobie tego uczucia, zanim samo się nie obudzi. Albowiem niebezpieczna jest miłość i bolesny jej płomień.

I przyciskając twarz do poduszki, niby we śnie szeptała do swego ukochanego:

— Przyciśnij mnie do serca. Jak pieczęć przyciśnij mnie do ramienia. Jako śmierć silna jest miłość. Jako piekło straszna jest zazdrość.

Zupełnie niepotrzebnie opowiedziała jej siostra z migdałowymi oczami o sieciach zastawianych przez kobiety na mężczyzn. Teraz w rozpaczy przyciska ręce do piersi. I czuje, jakby wgryzał się w nie cały rząd ziejących wściekłością zębów.

Perły! Co z nimi zrobić? Noc nadchodzi z zachodu, a tu nikt się po nie nie zjawia. Wnet przybędzie jej miły, a pereł nie można zdjąć. Nie wolno jej. Po co? W imię czego? Dlaczego obiecywała siostrze o migdałowych oczach, że ich nie zdejmie?

Tak, to prawda, że wzruszył ją płacz, błagania i prośby. Nie mogła przecież pozostać obojętna na widok łez. Tak, szczęście siostry zależy od pereł. Szczęście siostry tkwi w perłach. Sulamit nie zniweczy tego szczęścia. Jednak jakże potrafi wziąć w ramiona swego miłego, mając na piersi perły? Jak potrafi go przycisnąć do serca, aby nie było między nimi żadnej przeszkody? I co mu odpowie, gdy spyta, skąd je ma? Dlaczego ozdobiła nimi pierś? Czyżby przestała wierzyć w jego miłość? Czyżby nie miała zaufania do własnej dziewczęcej siły? Czy ona, zwykła strażniczka winnicy, musi stroić się w klejnoty dla prostego pastucha? Takie cenne ozdoby noszą przecież tylko królowe. A co będzie, jeśli jej miły uzna ją za przebraną królową i znienawidzi?

Te myśli przejęły ją dreszczem trwogi. I perły zaczęły palić. Jakaś ognista obręcz ściska jej piersi. Szybko wybiegła z altany. Chce ochłodzić. Biada! Noc nie ma zamiaru spóźnić się. Niepostrzeżenie zapada ciemność. Spowiała już w czerń doliny i winnice. Tylko na zachodzie żarzy się jeszcze ołtarz minionego dnia. To nie noc, lecz Sulamit się spóźniła. Stoi teraz pośrodku winnicy i przy chorobliwie słabym, nie-dojrzałym jeszcze świetle księżyca, pełna wewnętrznej rozterki, cienkimi palcami przebie-
ra perły. Skąd się nagle wziął ich żar i blask? Błyszczą delikatniej od srebra. Emanują promieniami cieńszymi od jedwabiu. A każda perłka wygląda jak uśmiech szczęśliwego dziecka. Więc jak? Ma je znienawidzić? Ona, która je ożywiła? Ona, która wygrzała je własną pier-
sią? Ona, która wypełniła je własnym ciepłem serdecznym? Nie! Ma je kochać! I w przypiływie macierzyńskich uczuć przyciska perły do serca. Wydaje się jej, że przytula do siebie bladą siostrę o migdałowych oczach. Nagle zapachniało ziołami... Czy aby na pewno używa ich siostra?

To są wonne zioła jej miłego. Jak mogła o nim zapomnieć? Jak mogła tak długo o nim nie pamiętać?

Raptem ogarnia ją złość na perły. To one! One zabierają jej ukochanego! To one wypierają go z jej pamięci. Przesłaniają go. Z ich powodu nie przychodzi. Muszą w nich tkwić fałsz i złe czary. Wyhodowała żmiję na własnej piersi. I gniew popycha ją na szczyt skalny. Stamtąd rzuci perły w przepaść.

Już trzyma je mocną dłonią. Już jest gotowa zerwać je z piersi i cisnąć w otchłań. A w oczach ma ciemność. Bezlitosną ciemność. Kąciki ściśniętych warg zwijają się w cienki, gniewny grymas. I oto podnosi się już w ostatnim oddechu przed zerwaniem pereł jej piersi...

A noc nad Syjonem jest tak uroczyście czysta, tak nieskończenie granatowa. I księżyc uśmiecha się tak świątecznie i tak srebrzyście. I cisza dookoła jest tak napięta i czujna. Wydaje się, że aniołowie słyszą, jak serce bije w piersiach

Sulamit, a blade gwiazdy patrzą na nią z firmamentu³ i widzą jej mroczny nastrój.

Na poły pocieszona, na poły uspokojona tą czujną ciszą pozwala swoim rękom opaść. W zamglonych oczach pojawiają się łzy. Coś się nagle stało z jej sercem. Coś się w nim dokonało. Nie wie jednak, czy wskutek tego zmadrzała, czy zgłupiała.

Wydaje się jej, że na jednej szali wagi znalazło się szczęście, a na drugiej cierpienie. I nie wie już, czego bardziej pragnie. Co chciałaby, aby przeważało. Oto bowiem za chwilę może pojawić się ukochany i zastanie ją z cudzymi perłami na piersi. I doprawdy nie wie już, czy ma się z tego cieszyć, czy smucić.

W odległej dali, w poświacie księżyca wiją się blado dwie ścieżki górskie. Jedna prowadzi do Gilad, druga do Jerozolimy. I ani z Gilad nikt nie nadchodzi, ani z Jerozolimy. Lecz wcale się tym nie przejmuje. Cisza powoli koi jej serce. Musi wziąć pod uwagę, że jeśli nie własne szczęście, to los przyjaciółki nosi na pier-

³*firmament* — sklepienie, niebo. [przypis edytorski]

si. Musi strzec tego, co jej powierzono. I ze świętą ciszą w sercu zakłada ręce na tył głowy, jakby szykowała się do tańca. Śmiało wystawia obnażone dziewczęce piersi, obciążone sznurem ożyłych pereł i tanecznym krokiem, ledwo dotykając ziemi, schodzi z wysokiej skały. Wraca do altany.

W świetle księżycy jej ciało wydaje się blade. Włosy przybrały kolor przygasłej purpury. A ona posuwa się tanecznym krokiem. Z rękami założonymi na tyle głowy snuje, roztacza przed sobą dumne wizje dziewczęce: Takie perły noszą królowe! Rzeczywiście. Tylko królowe mają takie perły. I dopóki nie znalazły się na jej piersi, chorowały i marniały.

Może więc naprawdę jest królewną? A może bracia znaleźli ją pod jabłonią? Z kameą⁴ na szyi? Może dlatego znęcają się nad nią? Może także jej ukochany nie przychodzi? Zresztą mniejsza o niego. Prości ludzie nie lubią kró-

⁴*kamea* — szlachetny kamień ozdobiony wypukłym reliefem. [przypis edytorski]

lewien... Ale również królowny nie kochają się w pastuchach...

Jest już przy altanie. Z tym samym dumnym, rozmarzonym uśmiechem wchodzi do środka. Zaryglowała od wewnątrz drzwi. Zdjęła koszulę, umyła się i namaściła ciało mirrą. Mirra była jej skarbem, którego przez długie miesiące pilnowała jak oka w głowie. Kupiła ją u pewnego wędrownego handlarza i skrzętnie ukrywała zarówno przed sobą, jak i braćmi. Teraz nadeszła odpowiednia pora. Nie żałuje mirry. Z palców u nóg aż od niej kapie. Rozkłada dywan i jak prawdziwa królowa składa na nim ukłon. Córki królów nie mają zwyczaju kochać się w pasterzach. Więc kim jest jej miły? Jej miły, jej kochanek to nikt inny, tylko Salomon, król Jerozolimy we własnej osobie. A to posłanie to jego łoże: kolumny ze srebra, oparcie ze złota, baldachim z purpurowej draperii... utkanej i wyhaftowanej z miłości przez córy Syjonu... A u łoża czuwa sześćdziesięciu bohaterów. Sześćdziesięciu rycerzy Izraela. Przy biodrach mają przypasane miecze. Są zaprawie-

ni w bojach. Mają ochraniać śpiących przed koszmarami nocnymi.

Postać jednego z bohaterów jest jej jakoś dziwnie znajoma. Ongiś był pastuchem. Przychodził do strażniczki winnicy. Do tej dziewczyny z grzywą czerwonych włosów, której na imię Sulamit. I stało się tak, że pewnego dnia spóźnił się i nie zjawił na czas. Może zapatrzył się na jakąś inną córkę Syjonu... Więc, ona, ukochana Salomona, postanowiła go ukarać. Rozkazała zakuć go w zbroję, przypasać mu miecz i postawić na warcie przy łożu królewskim. Niech zobaczy, jak należy kochać.

I wylegując się w łożu króla drażni się z nim:
— I co z ciebie za piękność? Salomon jest stokroć piękniejszy od ciebie. Jemu oddałam swoją miłość. Królu, zobacz, jak błyszczą moje perły. To na twoją cześć. A dlaczego ten rycerz w zbroi tak na nas patrzy? Dlaczego ma w oczach skruchę i cierpienie? Czemu obrzuca nas wzrokiem pełnym okrutnej zazdrości? Ten rycerz w zbroi był niegdyś pastuchem. Jeszcze nie opanował rzemiosła wojennego. Jeszcze nie

umie należycie pełnić warty przy łożu królewskim.

I rozkoszując się pełnymi pychy marzeniami, nie czuje już Sulamit ani chłodu nocy, ani wilgoci rosy przenikającej jej ciało. Nie słyszy, jak za altaną trzeszczą pod ostrożnymi, zakradającymi się stopami opadłe z drzew gałązki. Czyż to może być ręka, która niecierpliwie przesuwają się po drzwiach w poszukiwaniu rygla? Sercem jej wstrząsa dreszcz żalu, by za chwilę przejść w bezgłośny śmiech. To jej serce śmieje się ze słabości i niemocy ręki, ślepo obmacującej drzwi w poszukiwaniu rygla. Wie, kto stoi za drzwiami. Zemści się na nim.

— Otwórz mi, siostrzyczko. Otwórz gołąbeczku!

Głos miłego słodki jest jak miód. I Sulamit odczuwa jakąś dziwną przyjemność z zadawanego sobie cierpienia, które płynie ze znęcania się nad ukochanym. Czerpie bolesną przyjemność z tego, co jest głuche i nieme na jego wołanie

— A stój sobie tam i czekaj.

I od tej gry z ukochanym mocno kołacze w niej serce. Królowa ma czas. Królowa może sobie pozwolić na namysł. Musi rzecz dogłębnie rozważyć. Czy ma wpuścić pastucha do pałacu, czy nie? Nie może się jednak powstrzymać i głosem, w którym brzmi jednocześnie powściągnięty śmiech i hamowany płacz odzywa się.

— Jakże ci mogę, otworzyć? Jestem naga. Goła, jak nowo narodzone dziecko. Dopiero co zdjęłam koszulę. Jakże ją teraz włożę? Dopiero co umyłam nogi w mirrze. Czy mam je znowu zabrudzić?

— Otwórz drzwi, najdroższa. Nie strój żartów!

Głos miłego brzmi jak dźwięk skrzypiec w drżących rękach młodego Lewity, który zapałzył się na ponętną dziewczycę.

— Jak jeleń śpieszyłem z gór Gilad. Widzę jednak, że jestem spóźniony. I moje buty są mokre od trawy i moja głowa mokra jest od rosy, która ją obmyła.

Sulamit milczy. Serce przestało jej bić. Niemal zastygło. To już nie są żarty. Ręką podtrzymuje perły i dalej milczy.

I widzi, jak przez dziurkę od rygla przeciska się ręka miłego. Usiłuje wyłamać drzwi. Za chwilę ręka jego zbliży się do jej ciała. Przeszywa ją dreszcz tęsknoty. Cała drży podniecona jego bliskością. Oczy zachodzą mgłą. Zamykają się. I nagle odzywa się poczucie odpowiedzialności. Nie, nie otworzy mu drzwi. Nie wolno jej tego uczynić. Dopóki ma na sobie perły, nie uczyni tego. On zaś niech robi, co chce. Przecież należy do niego. Gdybyż wiedział, jak niepodzielnie do niego należy. I nagle zalega cisza. Otwiera oczy, a mężczyzny już nie ma. Chce wstać, nie może. Zrywa się i bezsilnie opada na posłanie. A kiedy całą siłą woli opanowuje niemoc, okrywa się narzutą, wyciąga rękę i odsuwa rygiel. Drzwi otwierają się powolutku i martwy księżyc wdziera się do altany. Nieszczęście. Miłego już nie ma. Zniknął.

Sulamit wybiega z altany. Zatrzymuje się przy pierwszym rogu ściany. Nic... Nikogo tam

nie ma. Podbiega do drugiego. Nic. Przy trzeciej ścianie to samo. A może to tylko żart? A może dla żartu chowa się przed nią?

I zaczyna biegać od krzaka do krzaka. Szuka, niemal ginie w każdym ciemnym ich cieniu, to płacząc, to śmiejąc się na przemian, wzywa swego miłego. I tylko góry odpowiadają echem. A miły się nie odzywa. Wtedy niepomna, że jest bez koszuli, że ma na sobie tylko narzutę, biegnie dalej. Oto jest już na samym szczycie skały. Stąd widać białe górskie drogi. Unosi się nad nimi odwieczny smutek księżycowy. Jak daleko sięgnąć wzrokiem, nie widać nikogo. Ani jeźdźca, ani piechura.

Zbiega więc ze skały. Opuszcza winnicę. Coraz bardziej się od niej oddala. Wbiega na drogę prowadzącą do Jerozolimy.

Przyszło jej do głowy, że najmilszy wybrał właśnie drogę do Jerozolimy. Widocznie postanowił roztrwonić i rozdać największy swój skarb, swoją miłość, tancerkom występującym w winiarniach tego miasta. Słowa wczorajszej przyjaciółki o sieciach zastawianych przez nie-

wiasty na mężczyzn głęboko, widać, zapadły jej w serce. Biegnie więc, aby dopędzić miłego i zawrócić go. Nie będzie więcej ukrywała swojej miłości. Dosyć! Zaprowadzi go do domu matki. Do komnat tej, co wydała ją na świat.

I z każdą upływającą chwilą ogarnia ją strach, że może się spóźnić. Biegnie coraz szybciej. I wiatr coraz mocniej szumi jej w uszach. A perły nieustannie podskakują na piersiach. Biegnie. Niemal leci, nie czuje gruntu po nogami. Naraz wydaje jej się, że coś tam na ścieżce się kłębi, że coś zмага się jakby z przestrzenią. Ktoś stamtąd nadciąga. Ktoś podąża na koniu w jej kierunku. Tętent konia odbija się echem w górach. Echo nagle zamienia się w prawdziwy grad. Stu jeźdźców konnych wokół niej.

A czy ona jest jedną jedyną Sulamit w tym kraju? Jedyną dziewczyną tak strasznie cierpiącą? Może jest ich więcej? Może dziesięć? I czy ona sama ma tylko jednego kochanka? A może ma ich dziesięciu? Wszyscy oni rozbiegli się i teraz wysłali jej na spotkanie posłańców na

koniach. Ma wyciągnąć ku nim ręce, ma ich pokonać i zdobyć siłą swojej miłości?

— Pozbądź się pereł, Sulamit! Wyrzuć je!

Tak, perły w istocie są ciężkie. Ciągną ją ku ziemi. To właściwie przyjaciółka wisi na jej szyi. Przyjaciółka ze szlchetnego, wysoko postawionego rodu. To ona, przymknąwszy migdałowe oczy, wpiła się swoimi karminowymi wargami i ostrymi zębami w jej piersi. To ona wpiła się w nią jednym przeciągłym, bolesnym pocałunkiem. Powinna ją zrzucić z siebie. Strząsnąć i przeskoczyć przez jej powalone ciało.

— Nie! Tego nie zrobię!

I z zaciśniętymi pięściami, z zamkniętymi oczyma, ostatkiem sił biegnie dalej z ciężarem zawieszonym na szyi. Biegnie ku swemu przeznaczeniu, które pędzi teraz na rozjuszonym koniu. Ona, ta mała, malutka Sulamit.

I oto leży już w przydrożnym kurzu. Rozchelstana i omdlała. Ręce rozrzucone. Na obnażonych piersiach — perły. Pada na nie światło księżyca. A nad nią pochyla się stary Awner. Bo on to właśnie nadjechał na ognistym

rumaku. Jest już późno. Przybył, by odebrać perły. Tam w Jerozolimie czeka na nie królowa. Ma się w nich udać do króla w jego kryształowym pałacu. Ma tam być jeszcze tej nocy. Ma się pokazać w całym swoim blasku i świetności. Awner dostrzegł dziewczynę wcześniej, nim ona zdążyła zauważyć jeźdźca. Zobaczył ją, kiedy jeszcze siedział w siodle. Ostrzegawczo krzyknął:

— Z drogi!

Dziewczyna jednak nie dosłyszała jego okrzyku. Biegła dalej. Wprost pod kopyta. O mało jej nie stratował. Teraz pochyła się nad nią i cuci:

— Dziecko moje! Co ci się stało? Co się tu wydarzyło?

A Sulamit otwiera oczy i milczy. Poznała starego i pozdrawia go uśmiechem pełnym bólu. Omdlałą ręką pomaga mu zdjąć perły. Nie chce, aby dotknął ich zbyt gwałtownie. Starzec klęczy na tej białej drodze przy omdlałej dziewczynie i podnosi wysoko ku księżycowi rękę, w której trzyma perły. W ich odzyska-

nym, zmartwychwstałym blasku widzi cudowny palec Boży.

Nie ośmiela się więc dziękować miedzianowłosej. I nie ma odwagi pobłogosławić jej znakiem Słońca, znakiem swego kraju. Dłonią sięga za pazuchę i wyciąga prezenty. Chce uczciwie zapłacić tej prostej strażniczce winnicy, która ma tak gorące serce.

Sulamit odgaduje jego zamiar i z płaczem odsuwa rękę.

— Nie dla prezentów i nie dla nagród robi się takie rzeczy. Zrobiłam to z przyjaźni.

I cichym głosem opowiada starcowi, jak to nie wpuściła do altany swego miłego. I snując zwierzenia, opowiada, że jej ukochany pobiegł do Jerozolimy, aby obdarować miłością jakąś tancerkę. Aby utopić w winie swoją tęsknotę. Chwyta upierścienioną rękę starca i podnosi ją do ust. Całuje pergaminową skórę i zanosząc się płaczem błaga go:

— Weź mnie ze sobą, starcze. Weź mnie ze sobą do Jerozolimy. Chcę tam odszukać mego miłego. Tak długo nie ustanę w poszukiwa-

niach, aż go znajdę. Sam byłeś kiedyś młody. Wiesz, co to miłość i wiesz, co ból.

A głos jej brzmi tak cichutko, tak cieniutko, iż zdaje się, że to nie ona, a noc płacze. I stary Awner przychyła się do jej prośby. Bierze ją na ręce i sadza na siodle przed sobą. A Sulamit, czując jego opiekuńcze ramię, jak dziecko, ufnie przytula się do białej brody i niewyraźnie bełkocząc opowiada o swoich, gorączkowych marzeniach.

— O córy Jerozolimy! Czy nie widziałyście mego ukochanego? Jeśli go spotkacie, nie mówcie mu, że jestem chora z miłości.

A koń w płynnym niemal biegu niesie ją ku murom Jerozolimy, które wyraźnie odbijają się bladym światłem w dalekiej dolinie.

I stary Awner trzymając w ramionach tę małą istotę czuje, że trawi ją gorączka. Wydaje mu się, że to jego własne ciało płonie. Przypomina sobie ojca króla Salomona, który na starość wziął sobie do łóża młodą dziewczicę i dzięki temu na nowo zespolił się z życiem. Teraz Awner wiezie na koniu to małe zapłakane dziecko.

Trzy dni temu wiozł tak samo swoją płaczącą władczynię. Niczym wysłannik losu prowadzi te dwie umęczone szczęściem istoty po ścieżkach ich przeznaczenia. Oby tylko przywiódł je na miejsce... Własna jego ścieżka prowadzi już ku mogile.

— Wina! Gdzie by tu dostać wina do próżnego bukłaka?

Stare serce ożyło i zapłonęło.

— O, młode przyjaciółki. Pokrzepcie mnie ciastkami! Pokrzepcie jabłkami... Usycham z miłości...

A koń unosi ich dalej. Wiezie dziewczynę zmęczoną młodością i męża utrudzonego starością. Zda się, że koń już nie biegnie, a płynie ku murom miasta. Oto już błyskają w świetle księżycy zbroje drzemiącej straży. Oto już widać, jak ci gorliwsi snują się po murach miasta niczym nocni wędrowcy.

W mrocznych podcieniach, pod sklepieniami murów oświetlonych dymiącymi pochodniami, tętent kopyt końskich odbija się głośnym echem. Awner owinał dziewczynę w swój

płaszcz, aby strażnicy jej nie zauważyli. Jego samego przepuszczają bez szemrania. Czują respekt dla Karego, królewskiego rumaka. Oto minęli już pierwszy posterunek. Sulamit przykładła wargi do ucha starca i szeptem prosi. Chce zejść z konia. Jest niecierpliwa. Dla niej koń zbyt wolno sunie do przodu. Sama dobiegnie do celu szybciej. Dopędzi swego miłego. Sama wszystko zrobi. Drży. Awner wyczuwa, że wszelkie słowa sprzeciwu na nic się nie zdadzą. Kładzie rękę na głowie Sulamit i bez słów błogosławi, pozwala jej zsiąść z konia. I natychmiast pochłania ją cień. Pod sklepieniem muru tętent kopyt końskich odbija się podwójnie głośnym echem. Awner nie zatrzymuje się ani na chwilę. Jedzie coraz dalej i dalej. Teraz wita go echo wąskich, otwartych ulic. Wielgachny cień konia i jeźdźca ginie w mroku...

Sulamit po cichutku przekrada się między kolumnami. Unika strażników. I oto błyskawia pochodnie. Szczęśliwie mija jeden posterunek, ale znów widzi przed sobą światła. I tym razem szczęście jej sprzyja. Dopiero na samym

końcu podcieni, tuż przy wyjściu spod sklepień, zupełnie niespodziewanie natyka się na straż. Zatrzymują ją. Przystawiają jej do twarzy pochodnie. Oglądają ze wszystkich stron. Kpią z niej.

— Coś ty za jedna, nocne włóczydło? Azali nie wiesz, gdzie się schodzą dziewczki uliczne?

W żaden sposób nie mogła pojąć, o co chodzi strażnikom. Drżała na całym ciele i płakała. Powiedziała, im że szuka swego miłego.

— Miłego swego szukasz? A cóż to za pan, że warto dla niego oczy wyplakiwać?

Sulamit jednak nie zna się na żartach. Uśmiecha się przez łzy i zaczyna wynosić pod niebiosa zalety swego miłego.

— Jaki jest mój miły? Och, gdybyście go widzieli. Zupełnie do innych niepodobny. Krew z mlekiem!

— Krew z mlekiem?

Z udanym zachwytem powtarzają jej słowa.

— Krew z mlekiem?

Ona zaś odpowiada całkiem serio:

— Tak! Krew z mlekiem. A głowa jego jest jako las. A kędziory jako kiście winogron. I czarny jest jak kruk...

— Jak kruk?

— Jego oczy są jak gołębie nad strumieniami wód, umyte w mleku i wypieszczone w dobroci...

— Doprawdy?

— Jego policzki...

Nie dają jej dokończyć. Pękają ze śmiechu. Starają się zerwać z niej narzutę. Dziewczyna nagle zdaje sobie sprawę, że jest bez koszuli. Ogarnia ją wstyd. Przejmuje strach. I szczerzej owija się narzutą. Wtedy pada na nią podejrzenie.

— Co też ta mała ukrywa pod narzutą? Ano zobaczymy. Odkryjmy ją!

Za chwilę już pierścień obrzydliwych twarzy otacza Sulamit. A twarze wykrzywają się w jeszcze obrzydliwszych uśmiechach. W świetle pochodni i blasku księżycy wyglądają wprost upiornie. Z ust otaczających ją strażników bije zapach skwaśniałego wina.

A dziewczyna wciąż kręci się i miota w otaczającym ją kole niczym łania schwytana przez myśliwych. Ze wszystkich sił stara się przytrzymać narzutę osłaniającą jej ciało. Dopiero kiedy płótno zaczyna się rwać w rękach napastników, Sulamit wydaje z siebie dziki i święty zarazem krzyk rozpaczy. Krzyk, który napawa przerażeniem jej prześladowców. I nim strażnicy zdążyli ochłonąć, Sulamit znika. Narzuta zostaje im w rękach.

Cha, cha, cha. Potężny śmiech odbija się dalekim echem w uszach dziewczyny. Leży teraz skulona w szczelinie między dwiema ścianami. Nie ma pojęcia, w jaki sposób znalazła się tutaj. Zaczyna się rozglądać i powoli ogarnia wzrokiem, oblany światłem księżyca, pusty w tej chwili, plac targowy.

— Gdzie jesteście, o córy Jerozolimy? — suchy płacz rozdziera jej serce. — Chcę się wam poskarżyć. Ludzie mnie obrazili.

Sulamit nie zdaje sobie sprawy, że nie jest to właściwa pora na skargi. Jest późno. Córy Jerozolimy pogrążone są w słodkim śnie.

I nagle zamiera w niej serce. Spostrzega swego miłego. Oto właśnie przechadza się w otoczeniu wesołej kompanii po placu targowym. Poznała go natychmiast po wysmukłej sylwetce. Poznała jego kształtną figurę i dumny chód. I niepomna swojej nagości wybiegła z ukrycia, chwyciła za poję płaszcz.

Chodź! Idźmy do domu mojej matki. Wejdźmy do tej, która mnie urodziła. Już dłużej nie mogę ukrywać mojej miłości.

Zgrabny młodzieniec odwraca się gwałtownym ruchem. Jest na poły przerażony, na poły ubawiony.

— Kto ty jesteś, niewiasto w stroju Ewy? Nieszczęście! Pomyłka! To wcale nie jej luby.

I Sulamit, gnana szyderczym śmiechem wesołej kompanii, rzuca się ku jakiejś kryjówce.

— Ewa! Ewa!

Z nowego ukrycia słyszy, jak jeden z szyderców woła zachęcająco:

— Poszukajmy jej!

A drugi natychmiast dodaje:

— Przysięgłbym, że to była mała Sulamitka. Ta ruda Sulamit z winnicy przy drodze prowadzącej do Gilad. Nie na próżno przebąkują, że... a tam w mieście w winiarni siedzą w tej chwili jej bracia ze swatem i narzeczoną. Cha, cha, cha! Budują zamki na lodzie.

— Cha, cha, cha! No to chodźmy do nich. Zaniesiemy im wesołą nowinę.

Usłyszawszy wzmiankę o braciach, Sulamit zapomina o wstydzie i cierpieniu. Ogarniają strach. Rzuca się do ucieczki. Biegnie przez ciasne, kręte, wijące się pod sklepieniami zaułki i uliczki w nizej położonej dzielnicy miasta.

I wydaje się jej, że kręte uliczki pochwyciły ją w swoje ramiona i chcą zadusić. A za opornami zwisającymi na drzwiach tu i ówdzie błyska światło. Gdzieś tam słychać dźwięki muzyki. Właśnie gdzieś tam bęben przekomarza się z fletem. W innym znów miejscu tłumiona wrzawa wylewa się aż na ulicę. Wszystko to dochodzi z winiarni i kręgów tanecznych. Po schodach, które są zarazem uliczkami, wspina się Sulamit w górę. Pędzi wciąż dalej i dalej.

Dopóki stęchły zapach ryb i wina nie pozostaje daleko za nią. Dopóki w jej płuca nie wdziera się prąd świeżego powietrza.

Tymczasem ulice stają się coraz szersze i szersze. Domy coraz wyższe. Opony coraz bogatsze. I Sulamit biegnie dalej.

Oto już widać domy zanurzone w pachnących ogrodach. Kolumny przy bramach oplecione są gęstym i cienkim bluszczem. Liście wydają się odlane ze srebra. A pąki kwiatów jakby z czarnego aksamitu. Co jakiś czas ulicę przemierza wartownik na służbie. Sulamit jednak jest już doświadczona. Jest sprytna i zwinna. Na chwilę nieruchomieje za filarem jak kamień. Czai się. Czeka, aż kroki wartownika ucichną w dali. I oto jest już na szerokim placu. A plac otaczają wspaniałe gmachy. Na bramach domów lśnią złote tablice. W świetle księżycy zlewają się gmachy i cienie przez nie rzucone. Wyglądają razem, jakby zostały schwytane w jakąś zaczarowaną sieć. A pośrodku wielkiego placu stoi samotna malutka Sulamit. W świetle księżycy wyraźnie rysuje się bladość jej ciała.

Włosy przypominają szal z purpury. Czerwoną chustkę rozwianą na wietrze. Do którego gmachu wejść? Odpowiedzi na to pytanie szuka w swoim sercu. Dokąd wejść, by wyzwolić się z cierpień? Oto widzi przed sobą bramę niezwykłą, nie mającą sobie równej. Szerokie marmurowe schody. Takie schody prowadzą chyba do samego raju. Białe filary bramy ozdobione są u góry złotą koroną. Po obu bokach stopni czają się miedziane lwy. Na każdym rogu stopnia — jeden lew.

W ich krągłych, z miedzi odlanych ciałach, jak w lustrze, odbija się księżyc. Brama jest szeroka, otwarta. I żadnej nie widać tu warty. Ścieżka ułożona ze szlifowanych kamieni prowadzi w głąb ogrodu.

Wysokie rośliny ogrodowe dziwnie się jakos wiją w górę. I dziwne na nich rosną owoce. Z ogrodu dochodzi cichy nieustający szum. Podobny jest do przeciągłego oddechu we śnie. Jakby ktoś tam dmuchał powietrze w głębi brukowanej drogi. W gęstej sieci roślinnej coś błysz-

czy. To coś rozsiewa swoją jasność po całym obszarze. Unosi się w górę, ponad rośliny. I wydaje się, że jakaś część dnia uwiła sobie postanienie w ogrodzie.

Ku tej właśnie jasności wyrywało się serce Sulamit. Ta jasność na czerwonym łonie nocy obiecywała pomoc i pociechę. Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że stoi przed pałacem króla Salomona, w mądrości nie mającego sobie równego. Przeto bez chwili wahania przestąpiła próg bramy wiodącej do pałacu. Tu złoży skargę na strażę królewską za to, że zdarły z jej ciała narzutę. Niechaj król obroni ją przed brudnymi łapami wartowników. Poprosi go też, aby wysłał do miasta sługi dla odszukania jej miłego. Niech każe go do niej sprowadzić. Przecież do niej, do Sulamit, do prostej strażniczki winnicy, zwróciła się o pomoc jej „siostra” z wysoko postawionego rodu. Dlatego więc teraz ona, Sulamit, nie mogłaby postąpić tak samo?

A jeśli król będzie spał, to go obudzi. Miłość nie może czekać. Miłości nie odkłada się na później...

Biegnie już drogą z gładkich kamieni, mieniącą się złotem w blasku księżyca. Fontanny po obu stronach tryskają srebrem. Co dziewięć kroków fontanna. Lekkim, cieniutkim strumieniem, niby pyłkiem wodnym, chłodzą jej ciało. Od nich właśnie dochodzi ten nieustający poszum. Z wzniesionych ku górze paszcz kamiennych zwierząt tryska woda. Strumienie wody z fontann mają kształt parasoli. I wodnymi parasolami spadają z powrotem do niebieskich basenów. Wokół fontann, w takt nieustającego szumu tryskającej wody, kołyszą się węże. Para za parą wyciągają się do połowy swojej wysokości nad ziemię. Żaden wąż nie wyrządza Sulamit najmniejszej krzywdy. Ona zaś nie odczuwa przed nimi strachu. Nadejście dziewczyny zrywa ze snu ptaki; przebudzone rozdzwaniają się śpiewem. I milkną, gdy tylko je mija.

Samotny złoty lew pomrukując sennie przeciąga się na jej widok. Pochyliwszy głowę nad jej stopami, zimnym gładkim jęzorem oblizuje jej palce, po czym znowu zapada w sen, aby na dłużej wytrwać w bezruchu jak głaz.

Teraz droga rozwidła się w liczne ścieżki prowadzące do wszystkich zakątków ogrodu. Ścieżki są tu rozmaite. Jedne złote, drugie srebrne. Jedne gładkie jak tafle wody, drugie pofałdowane niczym łuski ryby. Jedne jasne jak pamięć dnia, drugie ciemne jak noc spowita w tajemnice. A każda ścieżka kusi i zaprasza. Sulamit decyduje się na drogę wiodącą wprost. Postanawia jej się trzymać. Ta już się nie złości. Teraz jest z czystego suchego lodu. A lód, o dziwo, jest ciepły.

Im dalej posuwa się Sulamit, tym bliższa staje się owa jasność z głębi ogrodu. I oto dziewczyna zatrzymuje się. Droga doprowadziła ją do precudownej świetlistej ściany, która chyba wcale nie jest ścianą, tylko wysoką gładką

górami świecącego lodu, ciepłego i suchego, stojącą pośrodku ogrodu.

Sulamit przytyka czoło do ściany. Kręci się jej w głowie. Wszystko miga przed oczami. Wewnątrz, w samym środku tej góry lodowej, jest jasno. Tak jasno, że głowa boli od setek ogni, które płoną w miedzianych płytkich naczyniach. Ognie mieniają się kolorami tęczy. Za każdym spojrzeniem rzuconym z innego kąta, przybierają nowy kształt. To setki tęczy zespoliły się w tej górze lodowej w jakimś nierealnym świetlistym tańcu. Istna feeria⁵ kolorowej jasności. Takiej jasności, jakiej nigdy nie zobaczysz w słońcu na całej kuli ziemskiej.

W tej suchej górze lodowej mieści się pałac. Widać go dokładnie ze wszystkimi szczegółami. Widać znajdujące się w nim drogocenne przedmioty. Najdrobniejszy nawet szczegół, najmniejsza rzecz jest jakby opasana kolorowym światłem. Opasany smugami światła jest także mocarny rycerz, oparty o miecz, zakuty w zbroję. Jego olbrzymi cień w pełnej gamie

⁵*feeria* — gra wielu kolorowych światła i dźwięków. [przypis edytorski]

kolorów przenika przez ścianę. Kilka kroków dalej stoi następny, a za nim trzeci i czwarty, i jeszcze wielu. Każdy opiera się o miecz, a wszyscy pogrążeni są w zaczarowanym śnie.

Do pałacu wchodzi się po czarnym dywanie. A dekoracyjnym jego motywem jest utkany ze złota emblemat. Słońce i szczygieł. Szczygieł i słońce. Nie jest to emblemat Syjonu. Dywan prowadzi płaskimi schodami do górnych pomieszczeń pałacu. A przy schodach leżą pogrążone w zaklętym śnie czarne służebnice. Właściwie nie leżą. Raczej klęczą, pochylone twarzami ku podłodze. Przy każdej stoi płaskie naczynie wypełnione wonnymi ziołami. Tylko je zapalić.

A na podwyższeniu, nad schodami stoi łożo króla. Zbudowane jest na wzór ołtarza. Kolumny ze srebra. Oparcie ze złota. Baldachim z purpurowej draperii. Jedwabna narzuta leży z boku, a fałdy jej, wyglądają jak skamieniałe fale. Po prawej stronie łoża, w barwnym świetle widać postać bladej delikatnej kobiety. Kobieta śpi. W rytm spokojnego oddechu pierś jej

podnosi się i opada. Na niej sznur pereł pełnych żywego blasku.

Sulamit w mig poznaje perły. Serce jej napenia macierzyńska tęsknota, ściska ból. Tak, to ona. To jej „siostra” o migdałowych oczach. Badawczym spojrzeniem obejmuje Sulamit oblicze śpiącej i serce zamiera w niej ze strachu. Jakże szybko mogą się zmienić rysy człowieka! Po tamtej pełnej cierpienia twarzy, która podbiła jej serce, ani śladu. Teraz na bladym obliczu pogrążonej we śnie błąka się zwycięski uśmiech, pełen dumy i satysfakcji. I w bezlitosnym uśmiechu pokazuje obnażone, ostre zęby.

Ze ściśniętym od bólu sercem długo przypatruje się Sulamit swojej „siostrze”, która nagle stała się jej obca. A kiedy odrywa od niej wzrok i przenosi go na drugą postać leżącą po lewej stronie królewskiego łóża, ziemia zaczyna pod nią drżeć. Przezroczysty pałac nagle coraz głębiej zapada się w otchłań... Jej ukochany!

W niżej położonej dzielnicy miasta tej nocy wrzało. Czterech pijanych mężczyzn obijało

progi wszystkich szynków i lokali rozrywkowych. Budziło ze snu dozorców i stróżów. Zatrzymywało każdego spóźnionego przechodnia. A nuż ktoś widział tę nagą bezwstydnicę? Nic tylko ją ukamienować. Zasłużyła na to. Jedni widzieli, inni nie. Wszyscy jednak śmiali się do rozpuku.

To bracia szukali Sulamit. A za nimi uganiał się jakiś mały garbaty człeczyna. Był to swat. Upatrzony narzeczony wymknął mu się z rąk. Chciał więc od nich wydebić należne mu swatowe. On przecież w niczym tu nie zawinił.

BAŚŃ ZIMOWA

Nad śnieżnymi polami rozprysnął się bladym złotem słoneczny uśmiech. Tu i ówdzie na płaskich dolinach, przy samotnie sterczących w polu chatkach z puszystymi czapami uśmiech słoneczny skrył się za woalką przezroczystych, niebieskich cieni. Pobliskie miasteczko ze swoimi strzelistymi kościelnymi wieżami, podobnymi do dwóch uniesionych w górę rąk, rozigrało

się na słonecznym wzgórzu świąteczną barwnością. Dzisiaj właśnie odbywa się w nim jarmark.

Gorzkosentymentalna melodia katarynki wdarła się na pola, żeby opowiedzieć samotnym chatom, iż w miasteczku jest dziś wesoło i radośnie.

Boczną, udeptaną ścieżką prowadzącą z miasteczka do willi stojącej pod laskiem szła, odprowadzana dalekimi dźwiękami katarynki, mała ludzka gromadka. Ścieżka była wąska, więc szli gęsiego. Z przodu biegł Azorek — żywy snopek żółtawobiałej wełny, przewiązany niebieską wstążeczką. Co chwilę zabiegał drogę idącym. To podskakuje, to się poślizgnie, to się nagle zrywa i biegnie w dal. I przez cały czas rozsiewa po śnieżnym polu swoje głośnie szczekanie. A kiedy zbyt daleko odbiega od swoich, zatrzymuje się jakby przestraszony, czeka i dalej szczeka. Z jego pyszczka bucha wtedy żółtawa para.

Jako pierwszy podąża za pieskiem chłopiec lat siedmiu, ośmiu. Ubrany po szyję w biały zimowy włochaty kombinezon wygląda jak polarny niedźwiadek. Ostrożnie stawia kroki, bo główkę ma zadartą do góry.

Różowa twarzączka i szeroko rozwarte oczy skierowane na przywiązany do sznurka czerwony, błyszczący, dwa razy większy od jego główki balonik, uczepiony do guzika na piersi. Balonik wydaje się ciężki, ale mimo to unosi się w powietrzu i posłusznie, razem z chłopcem, fruwa od samego jarmarku. Chłopiec raz po raz sprawdza, czy balonik jest dobrze przywiązany do guzika.

Za chłopcem idą, jedna za drugą, dwie wysokie dziewczynki. Są starsze od niego. Wesoło podskakują w marszu. Śmieją się i raz po raz wpadają na siebie. Ubrane są w krótkie płaszczyki uszyte z żółtawego pluszu. Od chłodu płaszczyki są sztywne i twarde jak dzwony. Tak samo twarde są ich kapturki i białe pończochy. Spod kapturków wysypują im się na ramio-

na jasne loczki. W takt podskoków dziewcząt podskakują też one.

Ostatni z gromadki kroczy wysoki chudy mężczyzna. On jeden ubrany jest na czarno. Idzie pochylony, jakby miał zamiar upaść. Powoli stawia długie kroki. Kapelusz siedzi mu niemal na oczach. Spiczasta bródka sięga postawionego kołnierza płaszcz. Ręce trzyma w kieszeniach.

Do willi jest już niedaleko. Już ją widać w całej okazałości na niebieskocienistym płaskowyżu. Kokietuje swoimi różowymi ścianami i mieszanym stylem architektury. Wdzięczy się swoimi dachami i daszkami. Przymila się wyszukany kształtem okien i okiennic na tle niebieszcącego lasu i zieleniejącego nieba. Z komina willi unosi się do nieba kłęb różowego dymu. Na jego widok dziewczęta wydają radosny okrzyk:

— Obiad! Obiad! — I wtedy zdarzyła się rzecz, która na chwilę zatrzymała całą grupkę. Tą samą ścieżką z przeciwnej strony, szła chłopka z dzieckiem. Oboje mieli na sobie gru-

be kozuchy. Chłopka przypominała duży, wypchany wór, chłopak — takiż worek. Kobieta trzymała dziecko za rączkę, bo chłopczyk chwiał się na swoich krzywych, szeroko stawianych nóżkach. Azorek rzucił się na nich. Mały przestraszył się i cofnął. Pies zaniechał ataku i skręcił w lewo, jakby chciał powiedzieć, że tylko żartował. Zatoczył szeroki krąg po śniegu i wrócił do swoich. Tu, zaczął kichać i strząsać z siebie śnieg. Chłopka zeszła gromadce z drogi. Chłopczyk, podniósłszy białe, wodniste, pozbawione rzęs oczy, nagle ujrzał balonik. Ze zdumienia i zachwyty otworzył szeroko buzię. I w jednej sekundzie twarzyczka pokryła mu się zmarszczkami, jak u starego człowieka. Wybuchnął płaczem. Wtedy dopiero nasza gromadka zaczęła mu się przyglądać. Chudy mężczyzna wyjął cienkie, czerwone i duże ręce z kieszeni płaszcza.

— Dlaczego płaczesz, chłopczyku?

Głos miał ochryply, jakby zziębnięty. Malec przestraszył się. Zmarzniętym paluszkiem

wskazał na balonik i główkę ukrył w podniesionych ramionach.

Jedna z dziewcząt roześmiała się:

— Panie Madeburger! On ma ochotę na balonik Hansa.

Mężczyzna podszedł do chłopca i zapytał:

— Chcesz ten balonik?

Matka zaczęła się usprawiedliwiać.

— To jeszcze dziecko, a dziecko jak dziecko. Nie należy go słuchać. — No chodź, kupię ci balonik na jarmarku... Chodźmy...

Chłopczyk jednak się uparł. Usiadł na śniegu i zawołał:

— Kłamiesz! Nie kupisz!

Pan Madeburger nachylił się nad małym i grożąc czerwonym palcem powiedział swoim zachrypniętym głosem:

— Tak się do matki nie mówi. To niegrzecznie. Żadasz balonika? A przecież to nie twój. Żądać można tylko tego, co jest własne. Moi uczniowie dobrze się uczyli, dlatego kupiłem Hansowi balonik, zaś Kati i Etel skakanki.

Kiedy podrośniesz i będziesz dobrze się uczył, tobie także coś kupię.

Słowa nauczyciela wywarły na dziecku wrażenie. Po jego skurczonej na mrozie twarzyczce spłynęły łzy. Był wyraźnie zasmucony i przygnębiony. Przygarbił się i jakby zmalął. Zawołał płacząco:

— Taki piękny!

Kobieta złapała go za rączkę usiłując odebrać od dzieci. Chłopczyk był jednak uparty i nie chciał się ruszyć z miejsca. Wlepił oczy w balonik i tak mocno wyszarpnął się matce, że Azorek się rozsierdził i zaniósł szczekaniem. Przez dłuższy czas nie można było psa uspokoić.

Po krótkiej naradzie dziewczynki widocznie coś postanowiły, bo podeszły do Hansa i szepnęły mu kilka słów do ucha. Hans kiwnął głową na znak zgody, po czym podszedł do chłopczyka i powiedział:

— Nie płacz, mały. Dam ci na chwilę potrzymać balonik. Chcesz? Potrzymasz go przez chwilę, a potem mi go zwrócisz. Zgoda?

Nieładna starcza twarzyczka chłopca rozpromieniła się uśmiechem szczęścia i wdzięczności. Szeroko otwartymi ustami, krótkim noskiem i jasnymi, wodnistymi oczami spojrzała na Boży świat. W jednej chwili nabrała szczególnego wdzięku.

— Zgoda! Chcę go potrzymać!

Hans zdjął rękawiczki, odkręcił sznurek balonika z guzika i owinął na paluszku dziecka. Dla pewności powtórzył tę czynność, aż nauczyciel musiał go upomnieć:

— Hans, wystarczy już! Dostyc tego okręcania!

Stojąc pośrodku gromadki, chłopczyk z zachwytem patrzył to na uśmiechnięte twarze dziewcząt, Hansa i nauczyciela, to na kołyszący się w górze na sznurku czerwony balonik. Zaczął się nim bawić. To opuszczał rączkę i ściągał balonik w dół, to zwalniał sznurek i balonik unosił się w górę. Ruch rączką w prawo lub lewo... i balonik posłusznie podążał w nakazanym kierunku. Wszystkimi zmysłami malec śledził ruchy balonika. Na koniec wzrok je-

go spoczął na Hansie. W jasnych, wodnistych oczach ukazał się cień. Jakaś smutna myśl przebiegła mu przez głowę. Na twarzy znowu pojawiły się zmarszczki. Zaczęła jakby więdnąć i starzeć się. Westchnął. Wyciągnął do Hansa rączkę z przywiązanym do niej balonikiem i mruknął:

— Weź sobie swoją zabawkę!

Hans bardzo się ucieszył:

— Kiedykolwiek przyjdiesz do nas, dam ci potrzymać balonik.

— Nigdy do was nie przyjdę!

— Dlaczego?

— Bo nie!

— Ach ty niewdzięczniku — zawołał nauczyciel. Powiedz dzieciom „dziękuję”.

— Dziękuję.

Burknął to bez przekonania i uchwyciwszy się ręki matki ruszył z nią w drogę do miasteczka. Szedł z ociąganiem, chwiejąc się na swoich krzywych nóżkach, szeroko je stawiając.

Etel pochwaliła brata:

— To ładnie z twojej strony.

Hans uśmiechnął się z przymusem: po pierwsze, mały wsiok nie okazał bynajmniej wdzięczności, zaś po drugie pochwała nauczyciela byłaby cenniejsza od aprobaty siostry.

Nauczyciel nie okazał jednak chęci do rozmowy. Przyśpieszonym krokiem parł do przodu.

*

Po obiedzie dzieci weszły do pokoju nauczyciela. Pan Madeburger siedział właśnie w fotelu przy kominku. Kościste ciało wyglądało jak zanurzone we wnętrzu szarego chałatu⁶. Na głowie czapeczka, na nogach domowe pantofle. Na końcu nosa okrągłe okulary, świecące odbitym światłem z płonącego ognia. Cały pokój, z wyjątkiem mrocznego kąta z boku kominka, skąpany był w soczystym pomarańczowym świetle. Dzień miał się już ku zachodowi. Przez szerokie weneckie okno zaglądała do wnętrza

⁶*chałat* — długi, luźny płaszcz noszony przez Żydów wschodnio-europejskich. [przypis edytorski]

duża, świecąca płachta nieba wysadzana żółto-miedzianymi, wystygłymi drobinami ognia.

Przyniesiony przez Hansa balonik puszczo-ny wolno, poszybował ku oknu i utkwił gdzieś w kącie. Przez szybę patrzył na świat błyszczą-cym oczkiem. Był teraz prawie czarny, jakby wypełniony czereśniowym sokiem.

— Panie Madeburger! Proszę opowiedzieć nam bajkę.

— Dobrze, przecież obiecałem. Siadajcie.

Dzieci rozsiadły się na długiej, niskiej ławce stojącej naprzeciw fotela. Nauczyciel przystąpił od razu do opowieści:

— A więc słuchajcie, drogie dzieci. Kiedyś dawno, dawno temu pewien król postanowił wydać ucztę z okazji urodzin córki. Tego właśnie dnia, królowna osiągnęła dziewiętnasty rok życia. Była jego jedynym dzieckiem. Na ucztę zjechali goście zaproszeni z różnych krajów, wśród nich znakomici rycerze. Zamek króla stał na górze. Ze wszystkich okien i otwo-rów okalającego muru zwisały flagi, a na każ-dej wyhaftowany herb kraju: złoty lew. Także

miasto leżące u stóp zamku udekorowano odświętnie. Na dachach wszystkich domów powiewały flagi z królewskim herbem. Na każdym placu grały orkiestry. Przy wjeździe do miasta zbudowana została brama z kwiatów, a drogę do rynku usłano na całej jej długości kwiatami wszystkich barw. Szlachetni goście, jak przystało na możliwych tego świata, wjeżdżali w bramę z lekkim opóźnieniem. Impozacyjco wyglądały dosiadane przez nich konie. Były urodziwe i gibkie. Ich szyje i kolana wydawały się z gumy. Tanecznymi krokami posuwały się do przodu. Znakomitych gości witała w bramie orkiestra grająca wesołą melodię tak głośną, że dźwięki trąbek zdawały się rozdzierać niebo. Przed samą zaś bramą, szlachetnych gości witały odświętnie ubrane, piękne dziewczęta. Ustawione w równe rzędy, z kwiecistymi wiankami na głowach, budziły zachwyt przybyłych. Same zaś z podziwem patrzyły na młodych rycerzy, którzy w hełmach z pióropuszcami, w aksamitnych strojach pod złotymi pancerzami prezentowali się niezwykle pięk-

nie. Toteż nic dziwnego, że dziewczęta zaczęły szeptem dzielić się wrażeniami na temat wspa-
niałych gości.

Na górze, na wewnętrznym dziedzińcu zam-
ku wszystko już było przygotowane do uczyty. Ustawione w rzędy długie stoły wydawały się uginać pod ciężarem złotych, srebrnych i krysz-
tałowych naczyń. Pod otwartym niebem, zło-
to, srebro i kryształy wyglądały jak rozsypa-
ny hojną ręką skarb. Na stołach czerwieniły
się i złociły całe piramidy wyszukanych owo-
ców. Błoga, smakowita woń unosiła się z jele-
niego mięsiwa ułożonego na miedzianych ta-
cach w przybraniu zielonych warzyw. Upieczo-
ne jelenie, którym zostawiono rogi, wyglądały
jak żywe. Zza ogromnych, wysokich tortów na
stole wyłoniły się nagle karzełki i zaczęły się
uganiać wśród rozstawionych pucharów. We-
sołymi, dowcipnymi powiedzonkami zabawia-
ły też gości, którzy zajęli miejsca przy stole.
I pełno tam było dzbanów wina i miodu. Dzba-
ny z cienkimi szyjkami i krótkimi uchami po-
krywała szlachetna patyna, świadcząca o dłu-

gim przebywaniu w piwnicach zamkowych. Były także flaszki gliniane, pełne ognia piekielnego i rajskiej radości. Wszystkie te dzbany i butle rozstawiono na stole jak szeregi wojska przed bitwą. Goście podkręcali wąsy i zakładali się między sobą, który z nich więcej tego wina wypije. Siedzieli ramię przy ramieniu. Aksamitny rękaw przy aksamitnym rękawie. Białe kryzy, białe mankiety i białe kołnierzyki. Na palcach pierścienie ze szlachetnymi kamieniami wprost legendarnej wielkości, które świeciły niezwykłym blaskiem.

Pieniło się wino w nalanych po brzegi pucharach. Szły w górę kielichy stukając jeden o drugi. Opróżniały się i znowu napełniały. Nad dziedzińcem rozbrzmiewał już gwar nieskładnych słów padających z ust nietrzeźwych gości. Z balkonów wystających ze wszystkich czterech ścian dziedzińca, zwisały haftowane w kwiaty dywany. Na balkonach grały bez przerwy kapele. Ledwo jedna przestawała grać, a już następna podejmowała melodię tak głośno, że niebo zdawało się pękać. To bębny i trąbki da-

wały znać o sobie. Kiedy i ta umilkła, odzywała się radosnymi trelami trzecia kapela. I już szykuje się czwarta. Włączyła się, nim poprzednia skończyła grać. Jej kapelmistrz jest bowiem zalany w sztok. Nie pamięta, w jakiej kolejności miał wystąpić. Policzki grających na trąbkach są czerwone, jak mocno nadmuchane balony. Zdaje się, że za chwilę oczy wyskoczą im z orbit. Wargi klarncistów przypominają poduszeczki. Ich palce wykonują na klawiszach istny dziki taniec. Perkusiści mają oczy zamknięte. Uderzają w talerze z taką siłą, jakby oszołomił ich gejzer dźwięków wydanych przez wszystkie kapele razem. Harfistki pochylone nad strunami sprawiają wrażenie uganianych się za wiatrem. Tylko grajek przy kotłach siedzi spokojny i niewzruszony. Jest głuchy jak pień. Gwar przy stołach zmieszany z głośną muzyką przeszedł w jeden wielki jazgot.

Wtedy właśnie oczom biesiadników po raz pierwszy ukazała się córka króla. Wyszła na balkon w towarzystwie swoich dworek. Obok niej stanęli dwaj paziowie i podtrzymywali tren jej

sukni. Na widok królowny rozległa się istna burza wiwatów, która zagłuszyła muzykę. Poleciały w górę kapelusze z piórami. Potem zaległa cisza. Kapele umilkły. Goście króla wstrzymali oddech. Głos zabrała królowna. Ukłoniwszy się gościom podziękowała, że zaszczylili swoją obecnością ucztę wydaną przez ojca. Wyczuwała w panującej ciszy bicie serc wpatrzonych w nią rycerzy, toteż nieco przybladła i głos zaczął lekko drżeć. Wyglądała pięknie i dostojnie. Jak posąg z marmuru. Jak bogini, która chce wydostać się z otulającej ją czerwonej aksamitnej sukni. Na tle purpurowej materii białała szyja i ręce. Czarne włosy, gładkie jak aksamit, okalały jej czoło. Na głowie miała diadem ze szczerego złota. W samym jego środku skrzył się brylant.

Przy stole stojącym naprzeciw głównego balkonu, siedział król na szerokim dębowym krześle. Długie szaroblond włosy sięgały mu do ramion. Zlewając się z takąż szeroką brodą, czyniły go podobnym do złotego lwa wyhaftowanego na flagach. Z uwagą przysłuchiwał się

słowom córki. Objął przenikliwym wzrokiem swoich gości. Był ciekaw, jak reagują na słowa królowny. Ciekaw wrażenia, jakie na nich wywarły.

Wrażenie zaś było ogromne. Wszyscy poderwali się z miejsc. Z obnażonymi głowami zastygli w milczeniu, słuchali jej słów, jak czarowani. Oto stali się świadkami snu na jawie. Oto ich najskrytsze marzenia zamieniły się w rzeczywistość. Z zachwytem w oczach i tęsknotą w sercach patrzyli na piękną królewską córę. I kiedy królowna zakończyła przemówienie, paż podał jej wypełniony winem kryształowy puchar. Królowna wzniosła toast:

— Zdrowie wszystkich gości.

Na dźwięk tych słów nastąpił prawdziwy wybuch radości. Rozległy się okrzyki: — Niech żyje córka króla! Niech żyje królowna!

I mimo, że córka króla zdążyła już opuścić balkon i wrócić do swoich komnat, trwały dalej.

Król badawczo przypatrywał się swoim gościom: miał przed sobą kwiat rycerstwa. Wi-

dział blade ze wzruszenia twarzy. Widział, jak stoją nieruchomo, zastygli w milczeniu. Jakby pogrążeni we śnie, z którego nie ma przebudzenia. W eleganckich, aksamitnych szatach, z kapeluszami w rękach, wszyscy ci młodzi i silni panowie wyglądali jak bezradni, smutni żebracy.

Wprowadziło to króla w stan błógiego zadowolenia. Pijacki uśmiech opromienił jego twarz. Natychmiast polecił sługom podać więcej wina. Niech wino się leje! Niech się przelewa! Słudzy posłusznie wykonali jego polecenie. Uwijali się stawiając na stołach coraz więcej dzbanów i flasz z winem. Na tym się nie skończyło. Za dzbanami i butlami pojawiły się beczułki, i to brzuchate. Wszystkie ze starych, dobrze zaopatrzonych, piwnic królewskich. A jest ich bez liku. I oto nagle toczona po dziedzińcu beczułka pęka. Śmieją się goście do rozpuku. Rumienią się słudzy ze wstydu. Z rozlanego wina unosi się w powietrzu mocny, upajający zapach. Muzykanci zostawiają swoje instrumen-

ty i co sił w nogach biegną do pękniętej beczułki. Jeden z czarką, drugi z pucharem. Były tylko coś z rozlanego trunku uratować dla siebie. Zabiegają im drogę szlachetni goście. Nie pozwalają. Pragnienie muzykantów nie zna jednak granic. Powstaje harmider nie do opisanania. Wrzawa i zgiełk zataczają coraz szersze kręgi. Rozciągają się jak sieć nad zapijaczonymi głowami. Języki kłamią głosom, a głosy kłamią już myślom. I nawet oczy samego króla kłamią. Płaczą mu się myśli. Ze wszystkich sił, stara się odzyskać giętkość języka. Chce szczerze przemówić do serc swoich gości. Podziękować za pochlebstwa, których mu nie szczędzą. Wyciąga inkrustowaną brylantami tabakierkę i częstuje gości tabaką. Ale wszyscy czują, że coś niezwykłego wisi w powietrzu. Król podbechtany⁷ pochlebstwami puścił wodze językowi i potoczyły się z jego ust słowa pełne samochwalstwa. To pochwalił się swoim bogactwem, to mądrością; to rozsądnymi radami, jakich innym nie skąpił. Nie omieszkał też

⁷podbechtać — podpuścić. [przypis edytorski]

pochwalić się swoim rodowodem: złotymi żyłami, w których płynie niebieska krew. Na koniec opowiedział o skarbcu znajdującym się w jego posiadaniu. O tym skarbcu krążyły legendy. Dotychczas jednak żaden śmiertelnik, oprócz króla i jego najbliższych, nie doznał szczęścia, żeby na własne oczy go zobaczyć. I podnosząc głos oświadczył:

— Dzisiaj moje serce stoi przed wami otworem. Dzisiaj otworzę przed wami mój skarbiec.

W jego oczach pojawił się błysk dziecięcego zadowolenia, kiedy zobaczył przed sobą zdumione twarze i otwarte z podziwu usta gości. Ale oczy nie mówiły mu prawdy. Zdawało się, że głowy siedzących przy stole gości unoszą się w powietrzu, że oderwały się od korpusów, które skamieniały na krzesłach. I pewny swojej zwykłej swady zaczął mówić od rzeczy:

— Śmieję się ze wszystkich moich wrogów! Jestem od nich silniejszy! Jestem od nich bogatszy. Niech popatrzą i zobaczą mój skar-

biec! Proszę bardzo, kto chce, może obejrzeć moje cuda!

Podniecony alkoholem każe sługom przynieść ogromny ciężki złoty klucz, który wisi nad jego łóżem.

Nagle rozlega się głos młodego rycerza:

— Królu, twój największy skarb już zobaczyliśmy. Teraz już niczym nas nie zadziwisz.

Zdawało się królowi, że w słowach rycerza kryje się obraza. Zastanowił się. Ale głowa już nie działa należycie. Jest ciężka. Pracuje z trudem niczym wół orzący twardą ziemię. Po chwili błyska myśl, że młodzieńcowi chodziło o królową. O jego córkę. I promienny uśmiech rozjaśnia monarszą twarz. Ze szczerością właściwą pijanemu powiada:

— Ale kto wie, moi młodzi przyjaciele, ile serc zabije dopiero na widok mego drugiego skarbu.

Goście odczuwają jego słowa jako uszczypliwe. Wychylają kielichy, by przytłumić urazę, król przypija do nich. Okazuje niecierpliwość. Dlaczego słudzy się spóźniają? Gdzie, u li-

cha, jest klucz? Miotany złością rzuca swój kielich na ziemię.

— Tak samo postąpię z opieszałymi sługami!

Na widok przekrwionych oczu króla, gościom robi się trochę nieswojo. Monarcha chwytając ze stołu kryształowy kielich i roztrzaskuje go na kawałki.

— Klucz ma tu być natychmiast!

Jeden z posłanych po klucz sług stoi już niedaleko stołu. Twarz ma bladą jak kreda. Drży ze strachu. Król zauważył go.

— Podejdź bliżej!

Sługa pada do nóg króla.

— Wasza królewska mość! Nie ma złotego klucza. Zaginął!

— Co?

Straszny pomruk króla sprawił, że sługa uciekł. Na jego miejscu stoi już stary zarządca pałacu. Na skroniach pochylonej głowy, błyszczą srebrne nitki włosów. Jest gotów przyjąć gniew króla na siebie. Ten nie zwleka. Rozkaz jego jest wyrokiem:

— Idź się powiesić!

Stary człowiek złożył ręce na piersi, ukłonił się i cichym głosem powiedział:

— Wykonam rozkaz waszej królewskiej mości!

Oddaliwszy się od króla, zasiadł przy stole, żeby w winie utopić uczyniony mu publicznie wstyd. Niektórzy biesiadnicy starali się go pocieszyć. Stukali się z nim kielichami. Inni zaczęli uspokajać króla. Ale król nie dał się udo-bruchać. Ręką wskazał drzwi prowadzące do skarbcza i kazał je wyłamać. Wszyscy skierowali tam wzrok. Okrągłe, żelazne, stalowymi ryglami obramowane drzwi znajdowały się w rogu dziedzińca. Przy nich, stali dwaj rośli strażnicy. Stali w bezruchu ze skrzyżowanymi halabardami. Dziwili się goście, że dotychczas nie zauważyli owych wrót. A przecież biła z nich jakaś ogromna siła, tkwiąca być może w mosiężnych okuciach. Goście nie byli w stanie oderwać od nich wzroku.

Tymczasem wokół żelaznych drzwi skarbcza uwijali się już kowale. Prawdziwi siłacze o twar-

dych karkach i mocnych rękach. Zakasane rękawy koszul obnażyły potężne mięśnie. Gdyby nawet przypadkiem drzwi nagle spadły na kowali, niechybnie by je pochwycili i utrzymali w rękach.

Powoli król się uspokoił. Przestał się niecierpliwić. Podniósł kielich i zachęcił znowu gości do picia, nim drzwi zostaną otwarte. I orkiestra na nowo zaczęła grać. Topory w rękach kowali z coraz większą siłą uderzały w czułe miejsca żelaznych wrót. Coraz jękliwiej wrzynały się piły w mosiężne okucia. Coraz głośniej stękały gwoździe w uścisku obcęgów.

Praca kowali przeciągała się. Kiedy król i jego goście odstawili kielichy, orkiestra jeszcze grała, ale przy samych drzwiach skarbcza panowała już cisza. Na ziemi walały się kowalskie narzędzia. Nadgryzione topory i pogięte piły. Wyszczerbione w wielu miejscach stalowe rygle. Tylko kowali już przy skarbcu nie było. Pojedynczo, jeden za drugim opuszczali dziedziniec zamkowy.

Otwarcie żelaznych drzwi okazało się ponad ich siły. Twarz króla pokryła się chmurą gniewu. Jak zwykły śmiertelnik, doprowadzony do wściekłości, zaczął tłuc naczynia stołowe i łajać gości. Nagle wydało mu się, że śmieją się z niego, stoły tańczą i kryształowe naczynia spadając ze stołów na ziemię pękają z szyderstwem. I cały dziedziniec zanosi się śmiechem. I że potężny zamek zaczął drzeć w posadach. No i że tam, na dole, całe miasto śmieje się z niego.

Córka króla postanowiła uspokoić pijanego ojca. Zeszła ze swoich komnat na dziedziniec w asyście dworek. Szła z opuszczoną głową. Wstyd jej było przed gośćmi za zachowanie ojca. Wszyscy na jej widok poderwali się z miejsc. W głębokim ukłonie pochyłili głowy i ustawili się w szpaler, żeby ją przepuścić do miejsca, na którym siedział ojciec. Król zobaczywszy córkę złagodniał. Opanował gniew i uściskawszy ją podniósł z ziemi kielich, napełnił go winem i przemówił do gości:

— Szanowni książęta! Szlachetnie urodzeni panowie! Oto stoi przed wami moja córka. Pozwólcie mi wznieść toast za jej zdrowie i szczęśliwą przyszłość! Kto mi dobrze życzy, niech wypije wraz ze mną. Szlachetni panowie! Kto z was widział króla w chwili jego bezradności i wstydu? Wszyscyście go widzieli, albowiem okazałem się nim ja! Śmiejcie się więc ze mnie! Drwijcie sobie ze mnie! A teraz posłuchajcie, moi mili goście. Kto z was szczerze pokochał moją córkę, obojętnie czy to książę, czy prosty rolnik znajdujący się gdzieś indziej, poza zamkiem, nawet za granicą, niech potwierdzi swoją miłość przez odnalezienie zaginionego, złotego klucza. Może to uczynić także sporządzając nowy klucz, albo stosując jakieś przemyślny sposób otwarcia drzwi skarbcza. Może dokonać tego również, jeżeli posiada niezwykłą siłę. Ten, któremu sztuka się ta uda, ten — słuchajcie uważnie, moi mili goście, zaś ty, kronikarzu, zapisz to w księdze — dostanie moją córkę za żonę.

Ostatnie słowa króla zagłuszone zostały rozpaczliwym szlochem królowej. Zemdlała. Ojciec zdążył pochwycić ją w ramiona. Dworki wzięły biedaczkę na ręce i zaniósły do zamku. Chwiejącego się na nogach króla podtrzymywało kilku rycerzy, żeby nie upadł. Z pijackim rozczuleniem mamrotał: — Ostrożnie, dziewczęta. Tylko powoli... ostrożnie połóżcie ją, tę moją gołąbeczkę.

Stary zarządca nadal przeżywający doznane ze strony króla upokorzenie, pochylił się nad kroniką, by zapisać jego słowa. Z okularami na nosie, gęsim piórem wodził po pergaminowych kartach księgi. Zapisywał słowo po słowie, nie wnikając w ich treść. W tym samym czasie stareńki, całkiem pijaniusieńki, karzełek bawił się na stole sygnetem króla, zaś goście jeden za drugim po cichu wymykali się z dziedzińca do stajen, gdzie czekały na nich napojone i nakarmione, wypoczęte konie.

*

Obudziwszy się następnego dnia z rana, król zauważył, jak z jego serca wysunęła się jakaś niewyraźna postać, która stanęła u wezglowia jego łóżka. Był jednak zbyt leniwy, żeby odwrócić ciężką od wina głowę i przyjrzeć się jej. Był pewien, że zna tę postać. To smutek, który towarzyszył mu we śnie. Bolesny smutek, leżący ciężarem na jego sercu.

Starał się przypomnieć wszystko, co zaszło poprzedniego dnia. Którędy wszedł w niego ten nieproszony gość? Przywiódł na pamięć wydarzenia wczorajszego wieczoru i krew uderzyła mu do głowy. Nagle wśród panującej w zamku ciszy usłyszał słaby, kobiecy płacz. I było w nim coś dziwnego. Zdało mu się, że to płakały całe pokolenia kobiet, które w starych ścianach tego zamku znosiły męki i swoje cierpienia. Tym razem płakała jego córka. W samotności przemierzała mroczne ścieżki swego losu. Ból ścisnął serce króla. Przecież on sam wystawił się na wstyd i pohańbienie. Do czego doprowadził? Co uczynił? Po pijanemu uczynił z córki-jedynaczki zabawkę. Co więcej, swo-

ją hańbę kazał uwiecznić w złotej księdze, na której widnieje jego królewska pieczęć. Jak odwrócić to, co się stało? Jak wyjść z tej sytuacji? I nagle coś pocieszającego błysnęło w jego pamięci. Przypomniawszy sobie, że złoty klucz przywiązał był do siodła, kiedy konno ścigał się na bagiennych łąkach. Nie pamięta, czy po zakończeniu wyścigu przywiózł klucz z powrotem. Jeżeli klucz oderwał się od siodła i utonął w bagnie, jest nadzieja, że nikt go nie odnajdzie. Czy jednak w całym kraju nie znajdzie się mędrzec, któremu uda się w jakiś przemyślny sposób otworzyć drzwi do skarbcza? I nadzieja ustąpiła smutkowi.

Przez cały dzień król nie opuszczał ani na chwilę sypialni. Bał się spotkania z córką. Co jej powie? Jak ją pocieszy?

Wieczorem otulony dla niepoznaki szerokim czarnym płaszczem, wymknął się skrytymi drzwiami z zamku i poszedł do miasta. Na drodze walały się jeszcze wczorajsze zwiędłe, zdeптane kwiaty. W ciemnościach nocy wyglądały jak stratowane ptaki. Król bał się po nich stą-

pać. W mieście, nad bramami domów nadal powiewały flagi, zawieszane z okazji rocznicy urodzin córki króla. Tu nie doszła jeszcze wieść o zawstydzającym zdarzeniu na zamku. Mieszkańców zdziwiło tylko, że goście króla jakoś zbyt pospiesznie odjechali. Przed wejściem do szynków stały grupki ludzi, którzy rozmawiali o cudownych rzeczach, które miały znajdować się na terenie zamku. Wprawdzie nikt ich nie widział, ale każdy w ową pogłoskę święcie wierzył. W rynku ktoś rzępolił na strunowym instrumencie. Jakieś nogi tupwały po podłodze estrady do tańca i ktoś raz po raz wznosił okrzyk: „Niech żyją król i jego córka!”.

Od tego okrzyku serce króla omal nie pękło. Zatkał uszy i szybko uciekł z tego miejsca. Wpadł w małą, boczną cichą uliczkę. Tu zatrzymał się przed samotnie stojącym jedno-piętrowym, niedużym domem o trzech tylko oknach na parterze i na piętrze. W górnych oknach dostrzegał słabe światło. Odetchnął, jak człowiek, który po wielkich trudach doszedł do celu. Rozejrzał się na wszystkie strony, czy aby

ktoś nie nadchodzi. Ktoś, kto mógłby go rozpoznać. Tuż przy domu stała stara kuźnia zrujnowana, niemal zapadła w ziemię. Nad drzwiami wejściowymi domu przybito szyld, na którym widniał lew — znak, że mieszka tu członek dworu.

Szybko i bezszelestnie król otworzył drzwi i wszedł na ciemne schody. Górne drzwi, prowadzące do pokoju, nie były zamknięte na klucz. Król lekko je uchylił i zajrzał do środka. Przy świetle woskowej świecy siedział pochylony nad stołem siwawy chudy mężczyzna w nieokreślonym wieku, w okularach. Długimi, cienkimi palcami prawej ręki sortował złote monety. Przeliczał, po czym układał w kupki. Wybierał je z dużego stosu złota leżącego na stole. Lewą ręką zapisywał ilość przeliczonych monet. Król lekko zapukał w otwarte drzwi, żeby nie zaskoczyć gospodarza. Ten nie oglądając się, i myśląc, że pukający jest za drzwiami, zawołał:
— Za chwilę. Proszę poczekać!

Kiedy skończył liczyć i zapisywać, sięgnął lewą ręką po szablę i wyciągnąwszy ją z pochwy zawołał:

— Proszę wejść!

Znalazłszy się w środku pokoju, król zdjął płaszcz. Zaskoczony widokiem monarchy, gospodarz zerwał się z krzesła, nisko się skłonił i wsadził z powrotem szablę do pochwy. Ze zdumieniem w głosie zapytał:

— Wasza królewska mość! Co ma dla mnie, ministra jego wysokości, oznaczać ta wizyta?

Król łaskawie się uśmiechnął i rozczesawszy palcami brodę, usiadł wygodnie na szerokiej otomanie, stojącej przy ścianie. Wyjął z kieszeni inkrustowaną brylantami tabakierkę i poczęstowawszy ministra szczyptą tytoniu, powiedział:

— Zaraz... zaraz ci powiem, ale najpierw, staruszkule, usiądź. Zdrowie, jak widzę, nie pozwala ci stać. Nawet przed królem.

Minister wyprostował się, zapiął starą marynarkę na wszystkie guziki i spokojnie, bez

najmniejszego już śladu zaskoczenia powiedział nieco sucho:

— Moje zdrowie, wasza królewska mość, poprawia się. Prosiłem cię, mój królu, wiele razy, żebyś mnie nie nazywał staruszką. Nie jestem aż taki stary.

Król zareagował szerokim uśmiechem:

— Ho, ho, ho! Dlaczego zależy ci tak na twoim wieku? Czy masz w planie ożenek?

Widząc, że minister znowu poczuł się obrażony, król odezwał się dobrotliwie: — Doskonale znam cię, kochany bracie. Myślisz sobie: my, dzieci prostego ludu jesteśmy dumni i zarazem wstydliwi. Znamy swoją wartość. Możemy się obrazić nawet na króla. Czy nie tak? Gdzie nam do próżniaczego towarzystwa książąt i hrabiów! A że nęka nas kaszel, błędą mamy twarz i ubranie nasze nie jest uszyte według fasonu dworskich krawców, nie skorzystaliśmy z zaproszenia króla. Właśnie widzę, że zaproszenie leży na stole. Dlatego nie przyszedłeś na ucztę, którą wydałem na cześć mojej córki?

— Wasza królewska mość! Przed tobą nie uda się ukryć prawdy. Mnie, synowi kowala, rzeczywiście trudno przełamać to, co nazwałeś dumą i zarazem wstydlivością. Z tego właśnie powodu nie przyszedłem na wydane przez ciebie przyjęcie.

Król kiwnął głową na znak, że podziela stanowisko ministra i ze smutkiem oświadczył:

— Wielka szkoda, że ciebie nie było. Powstrzymałbyś mnie przed popełnieniem wielkiego głupstwa.

Pytającym wzrokiem popatrzył minister na króla. Monarcha nie był jednak w stanie od razu przejść do sedna sprawy. Po dłuższej chwili milczenia zauważył:

— Biednie mieszkasz, mój ministrze.

I rzeczywiście, bieda wyzierała ze wszystkich kątów pokoju. Od dawna nie był sprzątnany, toteż pełno w nim było kurzu. Odziedziczone po ojcu, kowalu, meble były starymi gratami. W kilku miejscach na ścianach wisiały obrazy, a na jedynym ściennym kilimie

szabla. Tylko to świadczyło, że mieszka tu wysokiej rangi urzędnik państwowy.

— Mnie niczego lepszego nie trzeba. Jestem samotnym człowiekiem.

Król uderzył ręką w otomanę. Podniósł się gęsty obłok kurzu.

— Widzisz? — zawołał. — Mógłbyś polecić służącemu, żeby odkurzył przynajmniej otomanę.

Minister dobrodusznie się uśmiechnął i rzekł:

— Królu, nie niszcz moich mebli, bo będziesz musiał mi kupić nowe.

Król odwrócił się od otomany i skierował wzrok na stół. Zapytał ministra:

— Co to za monety liczyłeś?

— Przeliczałem moje dochody z pensji ministra.

— Zbierasz je?

— Tak. Dużo się już nazbierało.

— Zaniesiesz je do państwowego skarbcza?

— O nie, wasza królewska mość! Gdybym całe zebrane przeze mnie złoto zaniósł do pań-

stwowego skarbcza, ludzie powiedzieliby, że cię okradłem. Ludzie jak to ludzie, mają języki...

— A kto korzysta z twego bogactwa?

— Nikt!

— Skąpiec z ciebie. Mało to biedaków jest na świecie?

Na te słowa króla, minister ostro zareagował: — Biedakom pieniądze się nie należą. Oni bowiem nie trudzą pracą swoich rąk. Kalecy zaś nie zasługują na to, żeby żyć na tym świecie.

Król zmierzył go spojrzeniem, w którym błyskał zimny ogień diamentu.

— A co z miłością bliźniego?

Minister wzruszył ramionami:

— Mnie życie nauczyło sprawiedliwości, a nie miłości.

I powiedziawszy to jeszcze raz wzruszył ramionami i rozkaszał się. Żyły na skroniach nabrzmiały mu krwią. Pot oblał czoło. Dreszcze przebiegały po ciele. Z trudem udało mu się wypluć flegmę. Była czerwona. Wreszcie złapał oddech. Król nalał wodę do kubka i podał mu. Posadził potem na otomanie i zabronił mówić.

Sam zaś coraz szerzej otwierał serce przed ministrem. Dokładnie opowiedział mu o swoich wczorajszych pijackich wyczynach.

— Kto wie — żalił się — do kogo uśmiechnie się szczęście i uda mu się otworzyć skarbiec. Kto wie, w czyje ręce wpadnie moja córka. Twój ojciec, tak, twój ojciec, kowal, wyrządził mi krzywdę. Za mocne wykuł te drzwi.

Chory minister przymknął na chwilę oczy i słabym głosem powiedział:

— Mój ojciec miał na względzie twoje dobro.

— Dobrze, ale co z tego wynikło?

I zapomniawszy o tym, że minister jest chorym i słabym człowiekiem, mocno potrząsnął jego ramieniem.

— Pamiętaj, przyjacielu, że Bóg jest w niebie. Kto, oprócz ciebie, potrafi mi pomóc tu, na ziemi?

— W jaki sposób?

— Ty pytasz w jaki sposób? Przecież ty jesteś ministrem sprawiedliwości. Ty znasz prawo. Znajdź jakiś kruczek, jakieś uzasadnienie,

które by nadało mojej obietnicy inny sens. Które by uwolniło moją córkę od nieszczęścia, a mnie oczyściło od hańby.

Jednym gwałtownym susem minister zerwał się z otomany i jakby nigdy nie chorował, wyszarpnął rękę z uścisku dłoni króla.

— Wasza królewska mość! Drogą prawa nie da się zmienić słowa danego przez króla. Twoje słowo powinno pozostać święte.

Z piersi króla wyrwał się okrzyk:

— Wybierz więc drogę nieprawą!

I nagle stała się rzecz dziwna. Minister, który jeszcze przed chwilą miał wygląd człowieka umierającego, nagle się przeobraził. Wyprostował się, jakoś wysmukłał i wyzgrabniał. Przed królem stał inny mężczyzna. Dobrze prezentował się w wytartym garniturze, ale zapiętym na wszystkie guziki. Wyglądał, jakby rzucił wyzwanie królowi. Lewą rękę oparł na szabli. Twarz z rzadką bródką uniesiona w górę wyrażała teraz upór i żelazną wolę.

— Wasza królewska mość! Jak śmiesz rozmawiać z ministrem sprawiedliwości o pozaprawnych drogach?

Król powoli podniósł się z otomany. Przez dłuższą chwilę obaj stali naprzeciw siebie i mierzyli się wzrokiem. Każdy z nich trzymał rękę na szabli. Twarz króla zbladła od wezbranego gniewu. Ledwo udało mu się powstrzymać rękę od zadania ciosu szablą w pierś ministra. Kiedy pierwsza fala oburzenia minęła, zupełnie inna myśl zajaśniała mu w głowie: jakby to było dobrze, gdyby miał dziesięciu takich ministrów. Zdjął rękę z szabli i królewską głowę pochylił przed ministrem:

— Wybacz mi, człowieku! Przeze mnie przemawiał nie król, ale ojciec córki.

Minister nie dał się zbyt szybko uspokoić. Nerwowymi krokami zaczął przemierzać pokój.

— Zastanów się, królu — rzekł — nad tym, co powiedziałaś. Chcesz, żebym zmienił publicznie dane przez ciebie słowo? Chcesz, żebym wynalazł fałszywą interpretację twojej obiet-

nicy? A przecież na twoim słowie opierają się rządy całym krajem. Co chcesz uczynić z prawa? Bezprawie?

Zauważywszy leżące na stole złote monety, minister wpadł nagle w złość. Chudą ręką zaczął je z hukiem strącać na podłogę. Podniesionym głosem zawołał:

— Daruję sobie twoje zaszczyty! Nie chcę twoich apanaży! Nie chcę być twoim ministrem! Nie życzę sobie!

— Przestań krzyczeć, stary!

Słowa ministra nieco oburzyły króla. Znowu usiadł na otomanie i obracając w rękach tabakierkę, powiedział:

— A swoich uczciwie zarobionych pieniędzy nie rozsypuj. Będziesz teraz musiał wleźć pod stół, żeby je pozbierać. Przyznaję, że wymknęły mi się te słowa, rzuciłem je bezmyślnie. Moja wina. Po raz ostatni pytam cię: co ma zrobić nieszczęśliwy ojciec?

Minister zatrzymał się na środku pokoju. Otarł pot z czoła i powoli się uspokajał. Po-

myślawszy długą chwilę, znalazł odpowiednio wyważone słowa:

— Jest wyjście, wasza królewska mość. Należy czym prędzej otworzyć skarbiec, nim zrobi to ktoś niepożądany.

— Obiecujesz mi w tym pomóc?

— Ile siły mi pozwolą.

Król poklepał go po ramieniu i rzekł:

— Ach, gdybym miał dziesięciu takich jak ty ministrów!

Żegnając się z królem, dostojnik jeszcze raz wyprostował się i zajrzawszy głęboko w jego oczy oświadczył:

— Jako minister sprawiedliwości ośmielim się zapytać cię, królu, w jakiej mierze można polegać na twoim słowie?

— Moje słowo jest święte! Absolutnie święte!

I uśmiechając się szeroko od ucha do ucha, dodał:

— No, widzę, że zaczynasz mnie przesłuchiwać.

Poczęstował ministra szczyptą tytoniu z brylantowej tabakierki i już uspokojony wyszedł z pokoju.

*

I żeby wszystkim ludziom w kraju i za granicą uświadomić, że ze słowem królewskim nie ma żartów, że król nie rzuca słów na wiatr, wysłano z jego rozkazu heroldów na wszystkie targowiska i miejsca zebrań ludzi; wysłani bijąc w bębny mieli przekazać wszem wobec obietnicę daną przez króla!

Potęźnie zbudowanym strażnikom pilnującym skarbcza i nakazał dopuszczać do jego drzwi każdego śmiałka, który chciałby je otworzyć. Nie powinni go o nic pytać. Jeśli nie uda mu się ich sforsować, mają go puścić wolno. O wszystkim, co się przy skarbcu wydarzy, należy mu natychmiast meldować.

I oto pewnego dnia król otrzymał meldunek od strażników. Brzmiał tak: wczoraj w środku ciemnej nocy zjawiała się w pobliżu skarbcza jakaś czarna postać, która zaczęła powoli skra-

dać się wzdłuż muru do żelaznych drzwi. Doszedłszy do nich długo tam nie zabawiała. Zachowywała się tak cicho, że straż nie usłyszała nawet, jak oddychała przy mocowaniu się z żelaznymi wrotami skarbcza. Nie słyhać było także, żeby używała jakichś narzędzi do otwierania. Wkrótce postać znikła w ciemnościach. Nad ranem strażnicy zauważyli w dziurce od klucza ślady wosku. Nocny gość użył zatem wosku zapewne dla sporządzenia nowego klucza.

Niepokój ogarnął króla. Natychmiast wysłał gońca, żeby zawiadomił ministra sprawiedliwości o incydencie przy skarbcu. Goniec wrócił z wieścią, że dostojnik zamknął dom, sam udał się w podróż po kraju. Stary, głuchy jego służący, zamieszkały w kuźni obok domu nie miał pojęcia, gdzie jest jego pan. Król zrozumiał, że wyjazd ministra ma coś wspólnego z jego obietnicą pomocy. Uzbroidł się więc w cierpliwość. Minał tydzień, minęły dwa i trzy tygodnie, a wysokiego urzędnika jak nie ma, tak nie ma. Stracił król cierpliwość. Zaczęła go trawić bezsenność. Czuwał w dzień i w nocy.

W napięciu słuchał wszystkich wieści, które mogły mieć coś wspólnego z tym, co dzieje się przy skarbcu. Serce waliło mu młotem. Ciągłe zdawało się, że na własne uszy słyszy skradające się po dziedzińcu kroki, co miałoby oznaczać, że nieszczęście zbliża się, że jest tuż tuż. Często też słyszał płacz córki, ale nadal nie odważył się podejść do niej. Nie śmiał uciszać jej serca. Nie wazył się udzielać pociechy. Kiedy zapadał zmrok, wkładał szeroki, czarny płaszcz, który szczelnie go okrywał i bocznymi ścieżkami wyruszał do miasta, żeby posłuchać nowin. To, co usłyszał i zobaczył, działało na niego, jak sól na rany. Oto bowiem dzieci wymyśliły sobie grę pod nazwą „skarbiec z kluczem i królewną”. Za skarbiec służyła im stojąca w rynku studnia z wymalowanym lwem. Pijany szczotkarz człapał po błocie, uginając się pod ciężarem kosa ze świńskim włosiem, który dźwigał na plecach. I ten szczotkarz, głośno zwierzał się swemu koledze po fachu ze swojej pijackiej fantazji: — Ach, gdybyż to Bóg pomógł na przykład mnie znaleźć klucz do skarbcza?

Spotkał się jednak z nieprzyjazną reakcją:

— Jeśli Bóg ma pomóc, to już raczej mnie. Mnie by się lepiej przydał klucz. Ty przecież masz już żonę.

— Co mi tam żona! Raz, dwa i rozwód gotowy. Szlus ze ślubną intercyzą. Koniec ze wszystkimi zobowiązaniami. Mamy przecież dobrego ministra sprawiedliwości, oby żył długo.

I stary człowiek z koszem na plecach wpada w tępą zadumę. Patrzy na swoje zanurzone w błocie stopy i nadziewa się na słup latarni. Oj, boli! Dotyka dłonią guza na czole i śmieje się przez łzy.

— Ja, stary pechowiec, dałem się namówić do szperania w błocie!

Król, okryty czarnym płaszczem, słyszy i chyłkiem ucieka od tych nieszczęsnych spotkań. Wraca na zamek ze zbolałym sercem. W drodze powrotnej zatrzymuje się przy samotnie stojącym domu ministra. Uliczka, przy której stoi ten dom, pogrążona jest w ciszy. Spóźniony przechodzień z daleka omija zauważonego przed domem osobnika w czarnym płaszczu. Jakby

wyczuwał, że ten pod płaszczem trzyma rękę na szabli. I tak stoi król ze ściśniętym sercem przez dłuższy czas, ociągając się z powrotem do pałacu.

I oto pewnego razu, kiedy, jak zwykle, stał przed domem ministra, usłyszał albo wydało mu się, że słyszy, bo słuch miał napięty do ostatnich granic, że spod ziemi dobywają się odgłosy cichych uderzeń młota.

Uderzenia były rytmiczne. Raz... dwa... trzy... cztery... A dźwięki dobywane spod młota były tak czyste, jakby ich sprawca kuł nie żelazo, lecz złoto. Jednym skokiem król znalazł się przed kuźnią. Dookoła panowała kompletna cisza. Można powiedzieć, śmiertelna cisza. Król cofnął się, na sam środek ulicy i wtedy dźwięki młota znów dały o sobie znać. Ogarnął go lęk. Mistyczny lęk. Powoli opanował się. Uśmiechnął nawet do siebie:

— To duch mego zmarłego kowala, gdzieś tu pod ziemią się czai. Z pewnością trzodzi się dla mnie. Oby to był dobry znak.

*

Pewnego razu, a było to w środku tak ciemnej nocy, że choć oko wykol, słudzy obudzili króla ze snu. Zanim otworzył oczy i zanim usiadł, a trwało to dość długo, zrozumiał. Nie musiał sług o nic pytać. Miał wrażenie, że w ogóle nie spał. Stał na dziedzińcu i wydawało mu się, że na własne oczy widział, jak ktoś otworzył skarbiec. Gotów był przysiąc, że wyraźnie słyszał skrzyp zardzewiałych rygli w żelaznych drzwiach.

— Kto to jest?

— Nie chce powiedzieć, kim jest. Nie chce odsłonić twarzy. Powie, jak ty sam przyjdiesz.

Usłyszawszy to król zawołał:

— Zapalcie światło! Światła!

I zaraz we wszystkich wąskich, wysokich oknach zamku pojawiło się czerwone światło. Powstał gwar i harmider wśród nagle obudzonej służby zamkowej. Tłum czarnych postaci z płonącymi pochodniami w rękach wyszedł na dziedziniec otaczając króla. Nocna, gęsta mgła

zaróżowiła się od światła płonących pochodni, zaś kłęby dymu towarzyszące im przypominały rozwichrzone ogony lotnych koni, które ścigały się w różowawej ciemności nocy nad głowami obecnych tu ludzi. Król kroczył powoli, z trudem. Za nim szły postacie o czarnych twarzach. Przed nim kroczyły postacie o twarzach czerwonych od blasku ognia.

Płomień pochodni popychał naprzód różową ścianę mgły. Oto błyszczą już mosiężne halabardy i hełmy skamieniałych strażników. Oto widać już stalowe rygle, daleko odsunięte od ich stałego miejsca przymocowania. I szerokie okrągłe drzwi skarbcza są rozwarte. Ujawniają jego ciemną głębię. A tam, w tej głębi, niespokojny płomień pochodni prowadzi tajemniczą grę ze szczerozłotymi błyskami. Na pustym placu, między posterunkiem strażników i otwartymi drzwiami skarbcza król dostrzegł jakąś niewyraźną, przygarbioną postać. Głowę miała ukrytą pod kapturem płaszcza. Stała oparłszy się rękami na długim, złotym kluczu, jakby na kij. Starła się coraz głębiej scho-

wać głowę pod kapturem. I coraz bardziej, coraz niżej pochylała się ku ziemi. Widać było, że jej ciałem wstrząsały dreszcze. Król, przejęty nagłym lękiem, zawołał:

— Szczęśliwczyste, kim jesteś?

Nie padła żadna odpowiedź. Wstrząsana nadal dreszczami postać coraz bardziej zginała się pod ciężarem dławiącego ją kaszlu. Ale nagle król coś zauważył i opanowała go wielka radość. Gromkim głosem zawołał:

— Mój ty kochany! Drogi przyjacielu!

W tajemniczej postaci monarcha poznał swego chorowitego ministra. Pochwycił go w ramiona i powiedział z uniesieniem:

— Mój drogi! Dałeś mi dowód swojej wierności. Uszczęśliwiłeś mnie!

Natychmiast wydał polecenie sługom, żeby ministrowi podali wodę i podstawili krzesło.

Dostojnik tymczasem zdążył opanować kaszel i wypluć zalegającą mu w płucach ciemną flegmę. Powoli wyprostował się i zdjął kaptur. Wyłoniła się spod niego twarz człowieka konającego. Twarz gęsto usiana zmarszczkami,

z zapadłymi policzkami i oczami prawie niewidocznymi. Szeroko otwarte usta usiłowały łapać powietrze. Twardowłosa, stercząca bródka zdawała się wołać o pomoc. Z trudem, głosem wydobywanym jakby z grobu, wystękał: „To z powodu mgły. Ona mi szkodzi”.

A król upojony niespodziewanym szczęściem ścisnął mu dłonie w podzięcie:

— Mój drogi przyjacielu! Ta chwila nie zostanie zapomniana. Zostanie wpisana do złotej księgi. Obdarzyłeś mnie szczęściem. Jestem twoim dłużnikiem. Sowiec cię wynagrodzę. Obdarzę beczkami złota. Cały twój domek wypełnię złotem. Sprowadzę do ciebie najlepszych lekarzy. Zobaczysz...

Minister jednak zdążył w tym czasie odsunąć się od króla. Plecy miał już wyprostowane. Szara twarz nie wyglądała już tak strasznie, jak przed chwilą. Z niewiarygodną w jego stanie siłą odrzucił od siebie ciężki, długi, złoty klucz. Stał z ręką opartą na szabli.

— Wasza królewska mość! Moje serce nie pragnie litości. I złoto nie jest mi drogie. Że-

by wykuć ten złoty klucz, wydałem cały mój majątek. I wcale tego nie żałuję. Nie potrzebuję bogactwa. A jeśli chodzi o moją wierność dla ciebie, to ma ona swoją miarę. Tą miarą jest prawo. Jeśli to, co zrobiłem, ma dla ciebie wartość, to wiedz, że nie oczekuję od ciebie darów. Żądam od ciebie tylko obiecanej zapłaty.

Na te słowa król podniósł rękę z otwartą dłonią. Miało to znaczyć, że zapłata będzie hojna. Przyjaznym głosem powiedział:

— O, mój dumny człowieku! Pozostałeś wierny samemu sobie, ty jesteś żywym uosobieniem prawa. Sam wyznacz sobie zapłatę.

Minister odstąpił od króla jeszcze o krok i jeszcze wyżej podniósł głowę. Czarny płaszcz spadł mu z ramion. Przed królem stał teraz wysoki, smukły młody rycerz. Przemówił nieoczekiwanie bardzo mocnym głosem:

— Żądam jednej tylko rzeczy. Żądam, żeby jego królewska mość dotrzymał danego słowa.

Słowa ministra zaskoczyły króla. Nie wierzył własnym uszom. Zapytał:

— O jakie słowo ci chodzi?

— O to słowo, które zostało przez kronikarza zapisane na pergaminie w złotej księdze i przez ciebie pieczęcią uwierzytelnione. Każ przynieść księgę.

Król wpadł w furję.

— Jak śmiesz? — krzyknął z taką siłą, iż zdawało się, że piorun strzelił.

Szybkim ruchem wyciągnął szablę z pochwy. W powietrzu klinga błysnęła niby nagle wzniecony płomień. Za chwilę rozległ się szcęk. To szabla króla zderzyła się z klingą ministra. Poleciały iskry. Skrzyżowane szable nagle znieruchomiały. Zapanowała śmiertelna cisza. Przerwał ją głos ministra:

— Dworzanie, słudzy i wy wszyscy, którzy jesteście tu obecni! W imieniu prawa żądam od was, żebyście odpowiedzieli na moje pytanie: Czy król dał słowo, iż wyda swoją córkę za mąż za tego, kto otworzy skarbiec? Odpowiedzcie jednym słowem. Prawda to, czy nie?

I znowu zaległa cisza, szable nadal były skrzyżowane. Ale broń w rękach króla zadrżała. Okazało się, że w sercach ludzi poczucie prawa było

silniejsze od strachu przed gniewem monarchy. Z tylnych rzędów zgromadzonych ludzi rozległo się kilka głosów:

— Prawda!

I wtedy ze wszystkich już stron padały coraz liczniejsze i głośniejsze okrzyki:

— Prawda! Prawda! Prawda!

Król wypuścił szablę z rąk. Głowa opadła mu na pierś. Kiedy jednak jeszcze raz usłyszał okrzyk „prawda”, raptownie podniósł głowę i grzmiącym głosem zawołał:

— Milczeć! Król dotrzymuje słowa!

I z godnością podał ministrowi rękę na potwierdzenie swoich słów. Minister ściskając rękę króla zgiął się nisko w ukłonie. Nagle wśród ciszy, która znowu zapanowała, rozległ się przeciągły, głośny szloch kobiety. Widocznie gorzka wieść o człowieku, który otworzył skarbiec, dotarła już do królowny.

Na dole w mieście nikt nie spał. Wszyscy mieszkańcy wylegli na ulice i ze zdumieniem wpatrywali się w stojący na górze zamek. Zadawali sobie nawzajem pytanie: Dlaczego okna

zamku są oświetlone? Dlaczego zaróżowione
niebo nad zamkiem drga niczym niesamowity
olbrzymi nocny ptak?

*

Więść, że chorowity minister jest zaręczony z córką króla, rozniosła się szybko po kraju i poza jego granicami, budząc wszędzie zdumienie. Starzy ludzie twierdzili, że w całej tej dziwnej sprawie tkwi przyczyna o znaczeniu państwowym. Dlatego nie można i nawet nie należy publicznie nad nią dyskutować.

Ludzie w średnim wieku znacząco się uśmiechali i całą rzecz ujęli filozoficznie:

— Nie uroda zdobi człowieka. Świat należy do mądrych.

Tylko młodzi odważyli się mówić, że minister rzucił na króla czary i po prostu go oszukał. Oni od dawna podejrzewali, że w domu ministra na bocznej uliczce dzieje się coś tajemniczego.

Starsi ludzie kpili, twierdząc, że przemawia przez nich zazdrość. Ministra uważali wpraw-

dzie za skąpca i zbyt surowego stróża prawa, ale nie chcieli uwierzyć, żeby on, prześladowca oszustów, sam dopuścił się nieuczciwości.

Mijały tygodnie i zainteresowanie ludzi zaczęło słabnąć. Stopniowo przyzwyczajali się do myśli o tak nierównym związku małżeńskim. Sam król zdołał się przemóc i zaprosił do pałacu narzeczonego. Starał się okazać mu życzliwość i przyjaźń. Minister zjawił się w pałacu ubrany w eleganckie szaty, uszyte według fasonu ustalonego przez krawców dworu. Miał na sobie aksamitny strój, bez ozdób. Szaroblond bródka była porządnie przystrzyżona, wąsy podkreścone do góry. Jednym słowem, prezentował się jak prawdziwy rycerz. A i wygląd miał zdrowszy niż poprzednio i chociaż skóra na jego kościach policzkowych była nieco zaczerwieniona, zdawał się krzepki. Zachowywał się z godnością, taktownie i skromnie. Zupełnie nie tak, jak człowiek, który dopiero co wyprostował swój zgięty kark. Z szacunkiem ucałował palce ręki podanej mu przez bladą narzeczoną na przywitanie. W pewnej chwili ukląkł

przed nią z ręką opartą na szabli. Nie okazał przy tym wszystkimi ani radości, ani dumy. Z jego oczu osadzonych głęboko pod wysokim czołem wyzierał smutek zastarzałego bólu.

Król w milczeniu spoglądał na swego przyszłego zięcia. Odniósł wrażenie, że ministrowi wcale nie chodzi o własne, osobiste szczęście, ale o to, żeby słowo króla zostało dotrzymane, żeby się nie zhańbiło. Stwierdził też, że narzeczony zachowuje się wobec jego córki nie tylko po rycersku, ale też roztropnie. Mądrze prowadzi z nią rozmowę. W toku żywej, interesującej dyskusji kamienna twarz córki powoli łagodnieje i ożywia się. Wzrok jej coraz częściej zatrzymuje się ze zrozumieniem, powagą i bez nienawiści na wysokim czole chorowitego narzeczonego. Zdziwiony zmianą, która zaszła w córce, król zaczął się jej bardziej wnikliwie przyglądać. I oto po raz pierwszy od dnia nieszczęsnej uczyty zauważył na jej twarzy błysk uśmiechu. A uśmiech ten podobny był do słonecznego promienia, który przebiwszy się przez ciemne chmury nagle rozjaśnił szary

świat. Serce króla przepęłniła radość. Kto mógł przewidzieć, że tak się stanie? Już nie miał za złe ministrowi, że stał się wbrew jego woli narzeczonym królowny.

Kiedy wizyta dobiegła końca i konkurent ucałowawszy koniuszki palców królowny wyszedł na dziedziniec, żeby wsiąść do karety i odjechać, król z górnego okna odprowadzał go wzrokiem. Chciał zobaczyć, jak też chory i słaby człowiek da sobie radę z wsiadaniem do dworskiej karety. Z daleka wydawał się całkiem zdrowym i nawet zgrabnym mężczyzną. Pewnie wsiadł do karety, co widząc król rzekł do siebie:

— Wcale nie jest taki brzydki, jak ludzie sobie go wyobrażają.

— Jego choroba jest uleczalna — rozległ się głos za plecami króla. Szybko się odwrócił, żeby zobaczyć, kto to powiedział. Przed nim stała córka, która również patrzyła na wsiadającego do karety.

Były to jej pierwsze słowa do ojca od czasu niesławnej uczty. Jej blada marmurowo-martwa twarz nagle ożyła. Promieniała światłem.

Rozkwitła jak róża. Istny cud! Jak go wytłumaczyć? Jedna jest na to odpowiedź: „W całej tej sprawie tkwi palec Boży! Boska to, a nie ludzka rzecz!”.

Od tego momentu utwierdził się w przekonaniu, że jest dłużnikiem swego przyszłego zięcia. Roztoczył więc nad nim troskliwą opiekę. Sprowadził najlepszych lekarzy. Stan zdrowia ministra się poprawił. Zaczął coraz lepiej wyglądać. Do swoich obowiązków służbowych przystąpił ze zdwojoną energią. Przestępcy w kraju nie zaznali ani chwili spokoju. Minister sprawiedliwości tępił ich za najmniejsze naruszenie prawa. Opinia o jego skąpstwie poszła w niepamięć. Teraz zaczęły się mnożyć opowieści sławiące dobroczynność tego dostojnika. Oto, na przykład, spłacił dług zaciągnięty przez biedną wdowę i w ten sposób uratował ją od więzienia. Zajął się opuszczonymi sierotami, postarawszy się dla nich o dobrze płatną pracę. Nie groził im już głód i zejście na złą drogę. Spotkawszy raz na drodze ubogiego, jak on sam chudego i wysokiego wędrowca, wsa-

dził go do karety i zawiózł do swego domu. Tam nakarmił go, напоił i ubrał w nowe szaty. Stare łachy wędrowca zatrzymał u siebie.

Kiedy wszystkie te pochwalne opowieści dotarły od uszu ministra, gorzko się uśmiechnął i powiedział: „Człowiek może samemu sobie więcej zła wyrządzić niż dobra drugiemu”.

Minister stał się coraz milej widzianym gościem w pałacu króla, który zaczął powierzać mu najskrytsze tajemnice państwowe i radził się we wszystkich najważniejszych sprawach. Narzeczona witała go zawsze miłym i przyjaznym uśmiechem. Takim, jakim się wita bardzo bliską osobę. Kiedy poprawiała mu żabot, który w swoim roztargnieniu zawsze źle wkładał, wyglądała niemal jak jego rówieśnica. Różnica wieku jakby się zatarła. Królownę martwiło, że mimo to twarz narzeczonego nie objawiała śladu radości. Była jak skamieniała w smutku maska. Boleśnie przeżywała, że nie odkrywa przez nią swego serca. Jednak w głębi duszy, kobiecą intuicją czuła, że ją kocha i to miłością bezgraniczną. Nie potrzebowała słów. Czytała

to w jego oczach. Wiedziała, że na taką miłość nie stać było nikogo z młodych rycerzy.

Pewnego dnia, przeglądając się w lustrze, dostrzegła na swoim czole pierwszą zmarszczkę. Taką pozostawioną przez przeżyte zmartwienie, której nie da się już wygładzić ani zasłonić diademem.

I ta zmarszczka sprawiła jej radość. Smutną radość. Taką, która przystoi narzeczonej człowieka typu ministra. Ta zmarszczka była jej pierwszym dla niego prezentem. Po głębszym namyśle doszła do wniosku, że prawdziwymi darami nie są błyskotki ze złota.

Narzeczonej dostrzegł w tej zmarszczce właściwy sens. Zrozumiał, że dziewczyna ofiarowuje mu najcenniejszy prezent. I jego oczy jeszcze wyraźniej wyrażały miłość. Tylko twarz mu się nie zmieniła. Nadal nie było na niej najmniejszego śladu radości, choć dzień ślubu się i zbliżał. I dzień ten miał już swoje „imię” — jutro.

Przygotowania do wesela szły już pełną parą. Na wieżach i basztach zamku, we wszyst-

kich oknach powiewały niebieskie flagi ze złotymi lwami. I w mieście, nad bramami kamienic, w miejscach, gdzie wiatr nie miał dostępu, kołysały się sennie. Z balkonów zwisały ciężkie dywany zdobne w żywe kwiaty. Na drodze prowadzącej do miasta, przy wzniesionej z okazji ślubu bramie kwiatowej, stały ustawione w rzędy piękne dziewczęta z wieńcami na głowach. Z podziwem patrzyły na szlachetnie urodzonych gości, którzy z dostojeństwem i dumą przejeżdżali na spienionych koniach przez bramę. W blasku słońca i kwiatów, w złotych pancerzach przy dźwiękach fanfar, które zdawało się, chcą rozerwać błękit nieba, powoli kierowali się w stronę zamku. Patrząc z zazdrością na owych rycerzy, miejskie dziewczęta odczuwały słodki smak zemsty za to, że żaden z nich nie dostanie córki króla za żonę.

Na twarzach przybywającej młodzieży rycerskiej malował się złośliwy, nie pozbawiony niezdrowej ciekawości uśmieszek. Oto wkrótce zobaczą piękną królowną stojącą pod ślubnym

baldachimem u boku brzydkiego starca, syna prostego kowala.

W wieczór poprzedzający dzień ślubu minister wraz z królem i królowną zamknęli się w jednym z bocznych pokoi zamku, daleko od weselnego harmideru. Jutro, od samego rana, miały przestać pracować urzędy w królestwie. Z tego powodu skrupulatny minister starał się w trybie przyśpieszonym omówić z królem wszystkie zaległe, skomplikowane sprawy państwowe. Obecny był także marszałek dworu, z posiwiałymi skrońmi. Król od czasu do czasu polecał mu:

— Zapisz to!

Głęboko osadzone oczy ministra częściej niż zwykle wpatrywały się w królowną, która dostrzegła w nich wielkie uczucie. Kiedy zegnali się, narzeczony całując ją w rękę trochę dłużej zatrzymał swoje drżące usta na koniuszkach jej palców. A królowna położyła swą drugą dłoń na jego głowie i po raz pierwszy ją pogładziła.

Bocznymi drzwiami, żeby przed czasem nie spotkać się z gośćmi, narzeczony po cichu wymknął się z pałacu.

*

Wzeszło słońce. Po całonocnej pracy minister podniósł się z ojcowskiego krzesła i podszedł do okna. W ciągu nocy dokonał obrachunku z własnym sumieniem. Stwierdził, że nieraz miewał chwile słabości, że często jego odwaga wystawiana była na ciężką próbę. Zawsze jednak udawało mu się wyjść z tej próby obronną ręką. Całość swego życia podsumował w sposób chłodny i obiektywny. Tak, jak przystało na ministra sprawiedliwości. Odniósł wrażenie, że dotychczas Bóg zwlekał z uczestnictwem w jego radosnym święcie. Dlatego teraz, wynagrodził go z okazji ślubu pięknym, jasnym rankiem.

Ulice były jeszcze puste. Nawet flagi wiszące nad bramami wyglądały jak pogrążone we śnie. W pewnej chwili, od strony zamku do-

szły dźwięki fanfar. Kwiatowa brama witała już pierwszych gości.

Na rogu uliczki, przy której stał dom narzeczonego, pojawiła się wesoła kompania ze śpiewem na ustach. Byli to miejscowi czeladnicy, którzy grając na cytrze, śpiewając i pogwizdując, przemaszerowali ku miastu. Wesoła kompania trochę za wcześnie zaczęła świętować.

Minister objął wzrokiem duży obszar nieba, które o tej porze było już różowawe, po czym zamknąwszy oczy stał dłuższą chwilę z zapartym tchem przy oknie. Twarz miał szarą, ale kiedy znowu otworzył oczy, jaśniała na niej radość. Radość z ostatecznie powziętej decyzji. A dał jej wyraz jednym słowem:

— Dosyć!

Energicznym ruchem wyciągnął na środek pokoju stary kufer, w którym kiedyś trzymał złoto. Otworzył go. W środku leżała sterta wytartych ubrań. Zdjął aksamitny strój, który miał na sobie w nocy i włożył stare łachy, pozostawione przez biednego wędrowca. Wyglądał te-

raz na prawdziwego włóczęgę. Zza pieca wyciągnął laskę swego zmarłego ojca kowala. Przez dłuższą chwilę stał nieruchomo, trzymając w ręku podarty kapelusz. Smutnym spojrzeniem zegnął się z pokojem, z meblami i z leżącą na stole szablą.

I na koniec sam sobie zadał pytanie:

— A kto teraz zastosuje prawo wobec mnie?

Popatrzył na rozłożone swoje aksamitne szaty. Na swój narzeczeński strój. Na biały żabot nieraz dotykany palcami królowny. Dał się na krótko ponieść marzeniom. Chłodna, rozważna myśl przywiodła go do rzeczywistości.

— Zaraz przyjdą krawcy dworu z uszytymi dla mnie ślubnymi szatami. Zaraz zajedzie po mnie, zaprzężona w białe jak mleko konie, złota kareta z družbami. I co najgorsze, za chwilę gotów się tu zjawić stary służący ze śniadaniem.

I nie zwlekając dłużej zbiegł po schodach na ulicę, gdzie panował już ruch. Przeszedł przez kilka skrzyżowań, żeby wydostać się z miasta. W drodze towarzyszyły mu dźwięki weselnej

muzyki. Na krańcu miasta, pod laskiem tuż nad rzeczką natknął się na wesołą kompanię czeladników, którzy tu, pod gołym niebem, postanowili obchodzić święto. Posilali się skromnym śniadaniem i wypili trochę wódki. Umilali sobie czas grą na cytrze i śpiewem. Na widok włóczęgi, który przechodził obok, wstali i zaprosili do biesiady. Do dobrego obyczaju należało przyjąć zaproszenie. Skosztował więc jedzenia, napił się wódki i nawet razem z nimi zatańczył. Kiedy wódka się skończyła, czeladnicy naczerpali z rzeczki czystej wody i pili ją zamiast gorzały.

W ten sposób pił i tańczył na swoim własnym weselu.

W końcu jednak musiał wesołą kompanię pożegnać. Podziękował za gościnę i udał się w dalszą drogę. Szedł skrajem lasu, szeroką, wolną drogą polną. Istną gębą świata, która wielu wędrowców pochłania i wielu wypluwa z powrotem.

Naszego wędrowca droga nie wypluła. Nikt nie wie, gdzie spoczęło jego ciało.

— Czy to już koniec baśni? — zapytała Etel. Ona, jako starsza od siostrzyczki, odważyła się przerwać milczenie nauczyciela.

— Tak. To jest koniec baśni. Jest już późno. Pora spać.

Głos nauczyciela zabrzmiał tym razem jakoś obco. Dzieci były przyzwyczajone do łagodności jego tonu. Pan Madeburger zdjął swoje okrągłe okulary i przetarł je czerwoną chusteczką. Kiedy zaś włożył je z powrotem na nos, szkła znów pokryły się mgiełką. Musiał je po raz drugi dokładniej oczyścić.

Dzieci spostrzegły się, że w pokoju panuje już ciemność. Płomień w kominku dogasał. Czerwone węgle rozpadły się na kawałeczki, wydając przy tym ni to cichy szmer, ni to ciche trzaski. Przez okno zajrzała do pokoju błękitna zimowa noc. Noc bez księżyca. Noc świecąca własnym światłem.

Baśń opowiedziana przez pana Madeburgera została źle odebrana przez dzieci. Coś cięż-

kiego zwaliło im się na serduszka. Miały jednak nadzieję, że istnieje także inne jej zakończenie i że jutro poproszą nauczyciela, żeby im opowiedział, jak było naprawdę.

Wychodząc z pokoju Etel wzięła za rączkę Hansa. Oczy mu się kleiły. Po prostu padał z nóg. Kati zaś niosła na rękach Azorka. Niosła go, jakby był małym dzieckiem, brzuszkiem do góry. Piesek drżał i płakał przez sen.

Hans, ledwie ułożony w łóžeczku, zaczął śnić. Śniło mu się, że pan Madeburger wykupił dla niego na jarmarku wszystkie baloniki. Oto przywiązany do nich leci w górę, do zamku. Ma przy sobie złoty klucz, którym otworzy skarbiec. Tam dopiero, w otwartym skarbcu, znajdzie złote i srebrne baloniki. Oto mruga do niego z wysokiego okna, nad którym powiewa flaga, córka króla. W ręku trzyma chustkę. Jest podobna do Kati. Nie. To matka...

Nagle Azorek się obudził i rozszczękał na swojej poduszce w kącie pokoju. Jemu przy-

śnił się ów wiejski chłopczyk, który na śnieżnej drodze głośno się rozplakał.

Kati wysunęła czubek nosa spod kołdry, a potem, nabrawszy odwagi, całą głowę. Zapytała:

— Eteł, czy mnie wołałaś?

Siostra odpowiedziała szeptem:

— Tak, chodź do mnie!

Kati tak gwałtownie wskoczyła do łóżka Eteł, że obie się przestraszyły. Przytuliły się do siebie i objęły ramionami. Serduszka łomotały im w piersiach i drżały na całym ciele. Wreszcie Eteł odważyła się zapytać Kati:

— Dlaczego drżysz?

— Nie wiem. Boję się.

— Czy słyszysz, że w tamtym pokoju ktoś płacze?

— Tak, słyszę.

To pan Madeburger popłakiwał cicho.

Żadna z sióstr nie spytała, dlaczego pan Madeburger płacze. Uważały, że nie wypada zadawać takich pytań. Zresztą później zrozumieją, o co chodzi — są przecież „dorosłe”. A nie py-

tały, dlatego, że się wstydziły: „Jestem taka duża i boję się”.

Płacz w pokoju nauczyciela ucichł i obie dziewczynki zasnęły z trwogą w sercu. W napięciu na coś czekały.

I nagle w pokoju pana Madeburgera rozległ się jakiś dźwięk, jakby coś trzasnęło. Nie był to głośny trzask. Nikogo nie zbudził.

To w kącie obok okna w ciepłym pokoju pękł zimowy balonik Hansa.

ZARĘCZYNY

Boso, cichymi krokami stąpają słudzy po miękkich dywanach pałacu, żeby nie zakłócać spokoju chorego kalifa⁸. Dookoła panuje absolutna cisza. Tylko z zewnątrz, z wysokiego minaretu dochodzi dźwięczny głos muezina nawołującego wiernych do modlitwy. Głos jest już nieco przytłumiony, bo dochodzi z daleka, od zachodu. Chory kalif słyszy jednak każde słowo muezina, który wzywa wiernych, by chwali-

⁸kalif — w islamie tytuł przywódców wspólnot państwowo–religijnych; następców Machometa. [przypis edytorski]

li imię Allaha w czas popołudniowej modlitwy. Chory władca otworzył oczy i spojrział na barwną arabską widniejącą na wschodniej ścianie jego komnaty. To ciężkie od złota słońce, bliższe już zachodowi, wysyłało swoje promienie przez kolorowe szybki na wschodniej ścianie. Chory władca poczuł w tym momencie, że jego łoże tonie jeszcze bardziej w ramionach cieni. Słońce bowiem już je ominęło. Przymknął znużone oczy. Wyciągnięte na ciemnej kołdrze ręce świadczyły o niemocy i bezradności. Były chude i przezroczyste jak u delikatnych starych kobiet. A przecież w tych rękach trzymał państwo. I trzymał je długo i mocno. Kto teraz przejmie po nim władzę? Nie ma dziedzica.

Ta smutna myśl gnębi go przez cały czas choroby. Dopiero teraz, po wysłuchaniu mądrej rady przyjaciela Awimelecha, uspokoił się. Odważnie, jak przystało na władcę, oczekuje chwili rozstania się z duszą. Leży spokojnie i czeka. Delikatna bladość twarzy harmonizuje z jego równo zaczesaną białą brodą.

Awimelech siedzi przy łożu. Tu rozłożył swój dywanik. Tu umył ręce przed odmówieniem popołudniowej modlitwy. Awimelech jest w tym samym wieku co kalif. Brodę ma jednak krótszą i rzadszą. Odmładza go trochę mniej pomarszczona ciemnawa pergaminowa skóra na twarzy. Nosi okrągłe okulary w oprawce z kości słoniowej. W ręku trzyma oprawioną w skórę księgę *Koranu* w dużym formacie. Uzbrojony w ten rynsztunek pobożności, siedzi przy swoim przyjacielu kalifie, i czuwa nad tym, żeby anioł śmierci nie zjawił się przed czasem.

Z przedpokoju dochodzi odgłos cichych niespokojnych kroków. Po chwili kotara u wejścia do komnaty chorego kalifa uniosła się nieco w górę. Ręka ją podtrzymująca jest czarna, mocna i ozdobiona bransoletami. Do komnaty wdzierają się promienie zachodzącego słońca. Wraz z nimi wszedł zgrabny, smukły młody mężczyzna, który zatrzymał się na progu. Czarna ręka, trzymająca uniesioną kotarę, znikła. Zasłona opadła. Słońce, które towarzyszyło przybyłemu mężczyźnie, zostało na zewnątrz.

Tam oczekiwało jego powrotu. W mrocznej komnacie przybysz zaczął się powoli rozglądać. Po chwili, dostrzegł spoczywającego w łożu chorego kalifa. Przejęty rozpaczą, padł przed nim na twarz.

Na ten widok stary Awimelech westchnął z ulgą i powiedział:

— Oby błogosławieństwo Allaha spłynęło na ciebie Hasanie Tuwimie. A więc przyszedłeś.

Młody Hasan Tuwim nadal leżący twarzą do ziemi, uniósł się nieco i odpowiedział cichym głosem:

— Mój pan i mistrz posłał po mnie, więc przyszedłem.

Awimelech znowu westchnął:

— Oby błogosławieństwo Allaha spłynęło na ciebie. Posłuchaj, Hasanie Tuwimie. Nasz pan i władca postanowił ożenić cię z jego jedynaczką Simlą i przekazać ci swoją koronę. Powiedz, co o tym sądzisz?

Przez dłuższą chwilę Hasan Tuwim milczał, po czym rzekł:

— Nie zasłużyłem na takie wyróżnienie, mistrzu!

Nauczyciel młodzieńca lekko się uśmiechnął. Pergaminowa skóra na jego twarzy zmarszczyła się. Życzliwym głosem oświadczył:

— To już jest nasza rzecz, synu!

Hasan Tuwim uniósł głowę, wyciągnął ręce do władcy i powiedział:

— Jak sobie życzysz panie mój i władco!

Kalif w odpowiedzi poruszył tylko wargami, zaś Awimelech rozkazał:

— Wstań Hasanie Tuwimie uczniu mój! Diament, jakim jesteś, został właściwie oceniony. Szczęśliwa matka, która ma syna takiego jak ty.

Wezwana z kobiecych komnat pałacu weszła Hadasa, stara, otaczana szacunkiem opiekunka Simly i padła na twarz przed łóżem kalifa. Wówczas znowu odezwał się Awimelech:

— Hadaso! Idź do Simly, której zastępujesz matkę i powiedz jej, że z woli ojca wybiła dla niej szczęśliwa godzina. Kalif postanowił wydać ją za mąż za młodego Hasana Tuwi-

ma, który jest ozdobą całego narodu. Zaręczyny powinny odbyć się jak najszybciej.

Z piersi Hadasy wyrwał się cichutki okrzyk radości. Szybko wstała z podłogi i jednym sussem zniknęła za zasłoną. W komnacie chorego kalifa pozostała po niej jakaś podniosła, ciepła aura, właściwa tylko delikatnej niewieście, bez względu na jej wiek.

I zaraz potem uniosła się w górę trzecia kortara. Na znak dany przez Awimelecha weszli pisarze z odpowiednimi przyrządami pisarskimi w rękach. Złotym atramentem na cienkim jedwabiu zapisywali tekst intercyzy zaręczynowej. Narzeczony się pod nią podpisał, a kalif przyłożył swoją pieczęć. Następnie położyli dokument pod poduszką u wezglowia chorego władcy.

Awimelech w imieniu narzeczonego, ale z własnej kieszeni, posłał oblubienicy w prezencie złoty łańcuszek ze szmaragdami. Świeżo upieczony narzeczony posiadał, oprócz pięknego, szlachetnego wyglądu oraz sławy porządnego

człowieka, również ogromny niebiański skarb wiedzy. Ziemskie skarby były mu obce.

Zmęczony, ale już spokojny kalif wygodnie ułożył się na posłaniu. Państwo pozostanie w uczciwych i pewnych rękach. Allah może się już upomnieć o niego. Może już wysłać anioła śmierci, żeby odebrać mu duszę. Duszę, która już bardzo tęskni za wiecznym odpoczynaniem.

*

W nędznym pokoiku, w medresie⁹ przy ulicy Więziennej Hasan Tuwim starannie ukrywał przed ludźmi szczęście, które go tak nieoczekiwanie spotkało. Wolał radować się cieniami wieczoru. Nie wypada, a nawet wstyd obnosić się ze swoim szczęściem przed ludźmi. Zresztą, czy którekolwiek z dzieci Adama jest naprawdę szczęśliwe? I kto w pełni na to zasłużył? I czy on sam jest tym prawdziwym wybrańcem losu? Czy wart jest tego szczęścia,

⁹*medresa* (hebr.) — muzułmańska wyższa szkoła teologiczno-prawnicza.
[przypis tłumacza]

które nagle się do niego uśmiechnęło? Czy przeżyte lata uzasadniają je?

Z obawą i lękiem zabrał się do analizowania całej swojej przeszłości. Sięgnął pamięcią do lat najwcześniejszych aż po po ostatnio przeżyte. Przywołał wczesną młodość. Ten okres rozpostarł się przed nim w sposób jasny i klarowny. Był czysty jak pogodne niebo. Jakby upłynął w cieniu płaszcza proroka. Nie znajdował na nim najmniejszej plamy. Czy sam szukał szczęścia? Nie! To szczęście jego szukało i znalazło. Szczęście zaprzęgåło się samo do jego rydwanu. Ono wyciągnęło go z miłego acz nędznego pokoiku, w którym z przyjemnością pykał fajkę nargile, otrzymaną po dziadku.

W tym pokoiku starzy mędracy prowadzili z nim uczone, serdeczne rozmowy. Dyskutowali przy szeleście pergaminowych kart ksiąg, do których wertowania przyzwyczajone były już jego delikatne palce. Także oczy umiejętnie i niezmordowanie odczytywały spisane teksty. Nie spodziany blask szczęścia, które spadło na niego, zaczyna napawać go strachem. Tron kalifa

z ciężkiego jest złota, a oczy Simly, jego jedynej córki, płoną pod welonem jak siedem słońc naraz. Jej chód, lekki i zwinny, przypomina krok łani, jest płynny jak pieśń.

Błogosławiona bądź nocy, że w twoich ramionach człowiek może schować się ze swoim szczęściem przed ludźmi. Ty zaś śnie, bądź podwójnie błogosławiony, gdyż pod twoim tchnieniem człowiek zapomina o swoim szczęściu i uwalnia się od złotych ciężarów.

We śnie Hasan Tuwim zapomniał o tym, co go spotkało.

*

A oto sen narzeczonego:

— W ciasnej celi więziennej siedzi młodzienc. Blandość jego twarzy przypomina biały piasek na pustyni. Zamknięte oczy przypominają szczelnie zasypane źródło. Włosy na głowie i brodzie — istna wełna wielbłądzia. Raz po raz uderza ręką w brudną podłogę i kołysząc się na skrzyżowanych pod siedzeniem nogach cicho śpiewa piosenkę. Jest to piosenka o życiu,

które pozostało za więziennym murem, o błękitnym niebie, poćwiartowanym przez kraty, o zielonej gałęzce — jego sąsiadce, która przez owe kraty do niego zagląda. Sama zresztą jest więźniem przykutym do wyschniętej, ogołconej ziemi na więziennym dziedzińcu. Młodzieniec otworzył oczy — widać w nich zapowiedź śmierci. Został bowiem skazany wyrokiem sądu na śmierć za fałszerstwo. Jest widzący i ślepy zarazem. Piosenkę śpiewa głosem schorowanego dziecka, które nie ma już ani łez, ani sił.

I oto coś się wydarza: strumień młodej gorącej krwi zalewa nagle jego serce. Budzi się w nim świadomość:

— To śmierć! To już śmierć!

Zrywa się z miejsca. Rozlega się brzęk wiążącego go łańcucha. I znowu jest na podłodze. Łańcuch jest za krótki, żeby mógł stanąć, a wystarczająco długi, żeby mógł podnieść się na kolana. Dreszcze wstrząsają ciałem skazańca. Z jego rozwartych oczu wyziera przedśmiertne szaleństwo.

Oczy te skierował na Hasana Tuwima, który stoi przed kratami jego celi, na więziennym dziedzińcu. Czy jest świadomy, iż stoi przed nim młody człowiek, który wkrótce obejmie władzę po kalifie? Nie! Nie ma o tym pojęcia. Jest napięty do ostatnich granic, ale usiłuje rozmawiać: jaką pomoc może on, skazany na śmierć, otrzymać od tego smukłego młodzieńca, przed jego celą? Chyba żadną. I gaśnie, umiera spojrzenie jego oczu. Zobojętniał. Nie patrzy już na Hasana Tuwima. Patrzy obok i przez niego. Biada! Pod wpływem tego spojrzenia szczęśliwy narzeczony nagle poczuł, że stał się pustym miejscem...

Obok niego pojawia się więzienny strażnik. Chodzi po dziedzińcu i wyrywa z ziemi pojedyncze trawy, które się uchowały. Na dziedzińcu więzienia nie powinna bowiem rosnąć trawa. Tak mówią przepisy. Zatrzymał się strażnik przed celą skazańca i kiwając starą, spłaszczoną szarą głową niby przysypaną popiołem, westchnął:

— O, wielki Allahu! Ten biedaczek siedzi i jeszcze śpiewa. Biedny człowiek, pół roku czeka na śmierć i nie może się jej doczekać. A to prokurator urządza wesele, a to adwokat uroczystość obrzezania... a tu już zbliża się święty ramadan. Jak ten biedaczyna zniesie post?

Biegiem opuszcza Hasan Tuwim więzienny dziedziniec. Biegnie skąpanymi w słońcu drogami i tonącymi w kwiatach polami. Dociera do ogrodu kalifa, do pałacu, który jutro będzie jego domem. Bramę otwiera znany już stary człowiek o płaskiej, szarej niby popiołem obsypanej głowie. I na jego widok znowu odnajduje siebie na dziedzińcu, na którym nie wolno rosnać trawie. I znowu stoi przed celą i zagląda do jej wnętrza przez kraty. Osiwiały młodzieniec drzemie oparłszy głowę na wilgotnej ścianie. Dolna warga mu opadła, jakby ugięła się pod ciężarem łańcucha.

Prokurator chodzi od celi do celi. Nareszcie znalazł czas i odwiedza więzienie. I każdego

skazanego na śmierć pyta o jego ostatnie życzenie.

Hasan Tuwim widzi, że za kratami powstał tumult¹⁰. Słyszy dochodzący stamtąd pomruk. Taki pomruk wydają głodne lwy w klatkach, gdy w pobliżu czują mięso. Prokurator jednak zachowuje spokój. W żadnej celi nie zatrzymuje się na dłużej. Oto jest już przed celą, w której siedzi skazany na śmierć młodzieniec. Zdążył już się zorientować, z jakiego powodu powstał w więzieniu tumult. Podniecony, szybko wystawił przez kratę chudą, brudną, małą, prawie dziecięcą dłoń, w której trzymał kartkę z prośbą. Prokurator przyjmuje pismo i czyta głośno. Wysoki jest prokurator i wysoko nosi głowę. Na nosie wiszą mu okulary. O co prosi skazaniec? Prosi, żeby mu dali poduszkę pod głowę... Hasan Tuwim wybiega z dziedzińca więziennego. Biegnie skąpanymi w słońcu drogami i tonącymi w kwiatach polami. Biegnie do ogrodu kalifa. Do swego przyszłego domu.

¹⁰*tumult* — zamieszanie, zgiełk spowodowany wieloma osobami będącymi w ruchu. [przypis edytorski]

W oczach utkwiał mu widok prokuratora czytającego przez okulary prośbę skazańca. Urzędnik jest wysoki i zanadto zadarł głowę, więc ześliznął mu się biret¹¹.

Trzeci raz otworzył mu bramę więzienny strażnik i znowu podprowadził do krat w celi skazańca. A ten siedzi i śpiewa piosenkę o życiu. Otwiera oczy, a w nich śmierć. I mimo to, jakby to powiedzieć, nie jest w złym nastroju. Przeciwnie. Wygląda na człowieka, który czeka na coś przyjemnego.

Od celi do celi chodził lekarz z workiem wypełnionym lekarstwami. Nie ominął też celi skazańca, który na widok lekarza otworzył usta i pokazał mu swoje zęby jak białe perły skarżąc się, że go bolą. Lekarz to mocny, acz niskiego wzrostu mężczyzna z grubym karkiem i twarzą podobną do uśmiechającego się tygrysa. Spod spiczastych wąsów, w otwartych ustach, sterczą dwa duże kły. Nieustannie je oblizuje szorstkim językiem, kiedy grzebiąc w wor-

¹¹*biret* — kwadratowa lub okrągła czapka bez daszka będąca dziś częścią oficjalnego stroju senatu akademickiego, profesury, przedstawicieli sądownictwa, czy duchownych. [przypis edytorski]

ku z lekami wyciąga zeń narzędzia lekarskie. Hasan Tuwim zobaczył, jak przez kraty wyrywa skazańcowi zdrowe, białe zęby. Biegnie więc znowu Hasan Tuwim i w oczach ma obraz skazańca, który w ostatniej chwili oblizywał z jakąś męczeńską przyjemnością własną krew.

— Ach, wy skąpane w słońcu drogi i tonące w kwiatkach pola! Wy przecież do więzienia prowadzicie! Ja najlepiej o tym wiem!

I zwolnił Hasan Tuwim swój bieg. Zanim doszedł do bramy, panowała już noc.

Otworzył mu ten sam strażnik. Młodzieniec poznał go po zgiętych plecach. W ciemnościach nocy, strażnik poruszał się jak niedźwiedź. Oddychał z trudem. Był wyraźnie zirytowany. Hasanowi Tuwimowi dziedziniec więzienny wydał się obcy. Odniósł wrażenie, że wbrew przepisom, porośnięty jest trawą. Przedtem nie zauważył był wystającego z ziemi pagórka w rogu dziedzińca. Teraz z tej górki wyrasta ku niebu szubienica, na której kołysze się wisielec. I tak kołysząc, zмага się jakby ze szczelinami wśród chmur, raz po raz wpadając w ja-

sną szczelinę między rozdartymi czarnymi kłębami.

Więzienny strażnik nachyliła się do ucha Hasana Tuwima i głosem smutnym, acz uroczystym, powiada:

— Allah okazał mu miłosierdzie. Sprawa załatwiona.

— Kiedy?

— Przed twoim przyjściem. Kto wie, jak długo by to jeszcze trwało, gdyby się nie przestraszyli. Jutro bowiem ma się odbyć koronacja nowego młodego kalifa. Trzeba było uporządkować zaległe sprawy.

I w zaufaniu dodaje:

— Nie mogłem szybko znaleźć klucza. Jestem stary. Kiedy trzeba wykonać wyrok na człowieku, tracę głowę. Naczelnik już mi zagroził, że wypędzi mnie jak psa. Młody kalif — powiedział naczelnik — nie będzie tolerował takich jak ja ślamazar. Gorzki kawałek chleba. I nagle w tym zamęcie przypomniałem sobie, że klucz mam w kieszeni, za pazuchą...

Hasan Tuwim zawrócił w kierunku bramy. Strażnik szedł za nim i dalej perorował. Kiedy stanęli przed bramą, przyszedł kalif przerwał mu:

— Czy miał poduszkę?

— Kto? Co? Cha, cha, cha! Ależ sobie przypomniał głupstwo. Przed wykonaniem wyroku spytano go, jakie ma życzenie. Odpowiedział, że życzy sobie jabłkowego kwasu. Idź i znajdź dla niego w środku nocy jabłkowy kwas.

— I co, znaleziono?

— Gdzie tam!

Hasan Tuwim wstąpił na drogę, która wiodła do ogrodu kalifa, ale zastanowiwszy się chwilę, zboczył z niej. Pośpiesznym krokiem coraz bardziej oddalał się od niej. Doszedł do rzeki, nad którą wznosiła się góra. Nocne chmury nagle ustąpiły i z czarnej niejako dziury wyłoniło się jasne słońce. Hasan Tuwim zorientował się, że stoi nad rzeką Tygrys. Przed sobą zobaczył ogromną prowadzącą w dal przestrzeń. Na tym miejscu rozciągał się kiedyś ziemski Eden.

*

— Hadaso, opowiedz mi o moim narzeczonym. Opowiadaj długo, aż do białego rana.

— Ależ moje dziecko, już jest biały ranek. Już dnieje, a ty przez całą noc oka nie zmrużyłaś. Twoje szczęście jest jasne niczym gwiazda poranna. Twój narzeczony jest najpiękniejszym i najszlachetniejszym z wszystkich młodych kawalerów w kraju. On cię będzie szanował i wysoko cenił. Dlaczego więc płaczesz, moja dzieciно?

— Jestem nieszczęśliwa. Popatrz Hadaso, na to moje szczęście. Marne jest moje szczęście. Kalif, mój ojciec, walczy ze śmiercią.

— Allah jest miłosierny i wszystko przeminie. Przeminie smutek i żałoba pójdzie w niepamięć. Pozostanie tylko radość. Leż dzieciно spokojnie, bo mój grzebień może wyrwać ci z głowy jedwabne włosy.

Simla, leżąc nago na jedwabnym pościeliu położyła głowę na łonie Hadasy, która chesała jej czarne loki grzebieniem z bursztynu. Spod zębów grzebienia wylatywały niebieskie, cieniutkie iskry.

Po obu stronach łoża stały złote świeczniki. Płonęły w nich wełniane knoty. Rzuciły żółtawe światło, które ustępowało różowawym promieniom wstającego poranka, przenikającym przez uchyloną zasłonę. Wszystkie te blaski igrały w dużym jemeńskim lustrze, które stało na czterech lwich łapach z różowego marmuru tuż przed łożem Simly. Oprawione zaś było w ramy z kości słoniowej i srebra.

— Ojej, Hadaso! Dlaczego moje służące nie przychodzą, żeby umyć mnie różaną wodą? Już zbyt długo leżę nago. Jestem zmęczona. Hadaso.

— Służące też są zmęczone. W nocy oka nie zmrużyłaś i tylko je poganiałaś. Musiały spełniać wszystkie twoje zachcianki.

— Po to są przecież służącymi.

— Ale też mogą być zmęczone.

— Postawię nad nimi nadzorcę z batem, wtedy już nie będą zmęczone.

— Jesteś dzisiaj w złym nastroju, moje dziecko.

— Opowiedz mi lepiej o moim narzeczonym, to złagodnieję. Powiedz mi, czy dobry z niego człowiek? Czy spełni wszystkie moje życzenia?

— Tak, moje dziecko. To bardzo dobry człowiek, ale będziesz musiała być mu posłuszna, jeśli zechcesz, żeby cię kochał. Mąż to pan i władca. Dlaczego znowu płaczesz?

— Jakże mogę nie płakać? Przecież ojciec mój umiera i władzę nade mną obejmie mój narzeczony... Ale cóż to? Służących z różaną wodą dalej nie widać. Przyjdą, kiedy woda będzie albo zbyt gorąca albo zbyt zimna. Zobaczysz, Hadaso!

Po chwili Simla opanowała gniew i łagodnym głosem powiedziała:

— Jestem niewdzięczną dziewczyną. Przeze mnie nie odpoczęłaś. Idź, połóż się spać.

— Już nie opłaca się. Dnieje.

— Idź spać, Hadaso! — ostatnie słowa Simly zabrzmiały jak rozkaz.

Hadasa, nie chcąc jej denerwować, poszła do swojej komnaty. Wtedy Simla wstała z łóż-

ka, podeszła do skrzynki, wyjęła z niej prezent od narzeczonego, ów złoty łańcuszek ze szmaragdami i złożywszy na nim pocałunek, zawiesiła na szyi.

Podeszła do lustra, żeby zobaczyć, jak wygląda. Hadasa tymczasem uchyliła trochę zasłonę, odgradzającą jej komnatę od sypialni Simly. Ciekawa była, jak księżniczka dalej się zachowa. Z podziwem patrzyła na jej postać. Jakież anioł mógł wytoczyć te gibkie i płynne jak pieśń biodra, które przestały już być dziecięce? I kiedy zdążyły rozkwitnąć granaty jej młodych piersi pod delikatnymi koronami róży? Jak pięknie leży na jej szyi złoty łańcuszek ze szmaragdami. I jak wspaniale współgrają rozsypane czarne loki z marmurem jej krągłych ramion.

Simla przygląda się sobie w lustrze. Rozchylone, niczym płatki róży, wargi odsłaniają lśniące, białe jak perły zęby. Oczy pod łukowatymi brwiami rzucają swoim ciemnopłomiennym wzrokiem głęboki cień. Policzki, jak u dziecka, okrągłe. Między brwiami ulokowała

się wyraźna zmarszczka, która upodabnia ją do ojca w chwili, gdy się gniewa.

Długo stoi Simla przed lustrem. Jest spięta. Jakby i pierwszy raz w życiu zobaczyła siebie. I nagle z jej ust wyrywa się głośny okrzyk:
— Nie! Tego nie będzie!

Jednym ruchem zrywa z szyi złoty łańcuszek i ciska go w kąt. Na ten widok Hadasa wpada do komnaty. Jest przerażona. Dreszcze przebiegają po jej ciele.

— Co ci jest, dziecko moje? Dlaczego krzyczysz?

— Nie! Nie! Nigdy tego nie będzie, Hadaso. Mną nikt nie będzie rządził! Nawet mój mąż. Nawet moja własna miłość. Tylko ja sama mogę być sobie panią.

Lustro mi to powiedziało — wskazała ręką na swoje odbicie. Zmieszana Hadasa popatrzyła najpierw na nią, potem na lustro i nie wiedziała, co powiedzieć. I w tej samej chwili wpadły do komnaty czarne służące z misą pełną różanej wody. Z misy buchała lekka aromatyczna para. Na widok Simly stojącej z podnie-

sioną ręką zatrzymały się na progu. Postawiły misę i jakby na dany znak wszystkie co do jednej upadły przed księżniczką na kolana.

*

Boso, cichymi krokami, stąpają słudzy po miękkich dywanach pałacu, żeby nie zakłócać spokoju chorego kalifa. Przez wysoko umieszczone kolorowe szybki na wschodniej ścianie świeci słońce. Jego promienie, zamykają niby ramą barwną arabską mieszczącą się wyżej nad okienkiem. Daleko sięga dźwięczny, przerywany głos starego muezina z wysokiego minaretu. Wzywa wiernych do porannej modlitwy. Stary Awimelech przygotowywał się właśnie do modłów. Ze srebrnym, kunsztownie rzeźbionym dzbanem w drżącej ręce stał pochylony nad chorym przyjacielem. Z niepokojem przysłuchiwał się jego słabnącemu oddechowi. Usłyszał w nim lekkie kroki anioła śmierci zbliżającego się powoli, ale pewnie. Żaden śmiertelnik przed nim nie umknie. I kiedy Awimelech podniósł nad miską dzban, żeby się umyć

przed modlitwą, stary kalif otworzył nagle oczy i ciężko westchnął. Na jego bladym czole pojawiły się krople potu. Między brwiami zarysowała się wyraźniej zmarszczka. Popatrzył na Awimelecha i cichym głosem zapytał:

— Jak myślisz, stary przyjacielu, czy to właściwy i stosowny związek małżeński?

Awimelech miał zamiar uspokoić wątpiącego kalifa, ale w tej właśnie chwili rozległy się szybkie, niespokojne kroki w przedpokoju. Spod podniesionej kotary wyłonił się Hasan Tuwim. Chwilę po tym, od strony wewnętrznych komnat pałacu, podniosła się też kotara i do pokoju chorego weszła Simla. Oboje, Hasan Tuwim i Simla prawie jednocześnie stanęli po obu stronach łoża kalifa. Padli przed nim na twarz. Pierwszy odezwał się Hasan Tuwim:

— Przebacz, władco! Cofam moje słowo! Podrzyj intercyzę!

— Podrzyj ojcze intercyzę, jeśli córka jest ci miła!

Awimelech stał z dzbanem nad miską i nie ruszał się z miejsca. Jakby skamieniał. Stał i patrzył to na chorego, to na młodych.

Kalif otworzył oczy. Resztką sił starał się wyciągnąć spod poduszki akt zaręczynowy. I prze-
rażliwy, przejmujący szloch wstrząsnął jego cia-
łem, kiedy wykrzywionymi, umierającymi pal-
cami podał dokument. Awimelech szybko od-
stawił dzban i pochwycił w ramiona umiera-
jącego przyjaciela. Ciało kalifa było już nieru-
chome i bezwładne.

— Nie ma Boga oprócz Boga i Mahometa,
jego proroka.

Dwie milczące postacie leżały twarzą do zie-
mi przed zmarłym kalifem.

DZIEWCZYNA Z PLEMIEŃIA LEWIEGO¹²

Stała dziewczyna z plemienia Lewiego przed wysokim tronem królewskim i nie chciała pochylić głowy.

— Słuchaj, dumne dziewczę z rodu Lewiego! Salomon ma tysiące żon i tysiące nałożnic z Asyrii, Medii, Sydonu i Egiptu. O najpiękniejszych córach Kanaanu już nie wspomnę. Te sprowadzają do pałacu z ochotą i lubością ich własni rodzice. A ciała niewiast są przeróżne i przepiękne. Czarne jak noc i białe jak światło wstającego dnia. Gibkie i zwinne jak węże. I pełne jak owoce granatu. Powiedz,

¹²*Lewi* — postać biblijna z *Księgi Rodzaju*. Związany z incydentem z miasta Sychem, kiedy to po osiedleniu się weń Jakuba, jego córka Dina została zgwałcona przez Sychema, syna tamtejszego władcy. Gdy władca przybył do Jakuba i jego synów Lewiego i Symeona z przeprosinami oświadczył, iż jego syn zrobił to, gdyż zakochał się w Dinie. Obiecał też zapłacić rekompensatę oraz zaprosił do osiedlenia się w Sychem i zaproponował wzięcie mieszkańek miasta za żony. Lewi i Symeon podstępnie wyrazili zgodę pod warunkiem, że dodatkowo wszyscy mężczyźni w Sychem muszą się obrzezać. Tak też się stało, a gdy trzeciego dnia po obrzezaniu cierpieli z bólu, Lewi i Symeon w odwecie za gwałt na siostrze zamordowali wszystkich mężczyzn, a z kobiet i dzieci uczynili niewolników. [przypis edytorski]

czy twoja skóra pachnie inaczej niż skóra innych niewiast? Powinnaś czuć się szczęśliwa, że wzrok króla padł na ciebie. Dlaczego trwasz w uporze przeciw władcy? Czy blask i przepych pałacu królewskiego, aromat roślin wspaniałego ogrodu nie mają na ciebie wpływu? Stoisz z dumnie podniesioną głową i tkwisz w uporze, nie zdając sobie sprawy, że twój upór i opór jest jak dym, który się szybko rozwieje.

Ale dziewczyna z plemienia Lewiego stała przed wysokim tronem króla i głowy pochylić nie chciała. Powiedziała:

— Nie zadzieram głowy przeciw memu władcy i upór mój nie jest dziecinny, kiedy opieram się żądzy króla. Moje ciało bowiem nie jest tak delikatne, jak skóra owych tysięcy kobiet króla. Nie jest też tak piękne i kształtne, jak ciała setek jego nałożnic. Ja jestem tylko skromną młodą dziewczicą z rodu Lewiego. W dni składania ofiar śpiewam przy bramach Świątyni wraz z innymi niewiastami pieśń Boga, któremu ty, królu służysz. Zresztą co takie-

go szczególnego znalazł we mnie król, że serce jego zapragnęło mnie posiąść? Oświadczam, że twoje pragnienie, królu, jest chwilowe. Twoje pożądanie szybko przeminie. Dlatego proszę cię, żebyś uszanował dumę biednej śpiewającej dziewczyny z rodu Lewiego. Nie czynź z niej zabawki dla zaspokojenia chwilowej zachcianki. Moje miejsce nie jest w twoim łożu, królu. Moje miejsce jest przy bramach Świątyni.

Z wysokości swego tronu przemówił tedy król Salomon. I głos jego, choć mocny, brzmiał łagodnie:

— Córo Lewiego! Tyś swoim śpiewem podbiła moje serce! Wiele ładniejszych od ciebie niewiast dzieliło ze mną łoże. I wiele zgrabniejszych od twego ciała płonęło z rozkoszy w moich ramionach. Te słowa mówią moje usta, ale serce, które wie więcej niż mowa, mówi mi co innego: nie ma wspanialszej od ciebie niewiasty, córo z rodu Lewiego. W porównaniu z tobą pozostałe kobiety tracą wdzięk i urodę. Jesteś skromna i dumna zarazem. Tak jak

blask diamentów świeci przez mój welon, tak Boża łaska dźwięczy w twojej pieśni. Z twoich ust płynie śpiew, i ja słyszę go nawet wtedy, gdy wargi twoje są przymknięte. Słyszę, jak śpiewa bladość twojej twarzy i płomień twoich czułych albo gniewnych oczu. Śpiewasz swoim uśmiechem, złością, słowem i milczeniem. Dociera do mnie melodia twoich rąk i nóg. Melodia partnerki Ewy w raju. I za tym rajskim śpiewem, którym pachnie twoje młode ciało, tęskni moje serce. Jakże pragnę trzymać cię w ramionach! Jakże pragnę, żebyś należała do mnie! W porównaniu z tobą wszystkie córki Ewy są zwykłymi śmiertelniczkami.

A dziewczyna z rodu Lewiego stała przed wysokim tronem króla i uśmiechała się delikatnie, po matczynemu.

— Zrozumiałam, królu, że pragniesz mego śpiewu, więc spraw, żebym została śpiewaczką na twoim dworze. Będę ci wiernie służyła. W chwilach dla ciebie radosnych będę opiewała twoją wielkość, w smutnych mój śpiew

wygładzi ci zmarszczki na czole. W chwilach zwątpień, które często cię ogarniają, postaram się zanucić takie pieśni, które posłużą twemu sercu za most prowadzący do Bożego świata. Kiedy zaś duch twój niczym rączy koń będzie pędził nad przepaściami, ja podążę za nim. Z pieśnią na ustach będę podążała, aż uda mi się spowolnić jego niebezpieczny bieg. Aż uda mi się zamienić jego dziki pęd w spokojny rytm regularnego tańca, którym przy wtórze harf i bębnow oddaje się cześć Bogu. Temu Bogu, któremu ty składasz ofiary.

I dziewczyna z rodu Lewiego padła na twarz przed tronem króla, niczym snop w polu podczas burzy i rzekła:

— Królu, pozwól mi w uczciwy sposób okazywać ci szacunek. Pozwól mi służyć twojej koronie jedynym majątkiem, jaki posiadam. Moim śpiewem. Jest to najcenniejszy dar, jaki córa z rodu Lewiego może ofiarować swemu władcy.

Podniósł się król ze swego wysokiego tronu i wzrokiem pełnym zachwytu spojrzął przez

szlifowany diament na klęczącą przed nim dziewczynę.

Zgoła młodzieńczym głosem, w którym zabrzmiała nuta miłości, powiedział:

— Śpiewaj dla mnie, mów do mnie, córo Lewiego! Twój głos brzmi jak flet anioła poranka: anioł gra na flecie i ranne wstają zorze. On gra i dzień wstaje. Wstań więc i ty, córo rodu Lewitów. Twoje ciało to skrzypce śpiewające. To skrzypce w rękach Stwórcy. On gra i tworzy. On gra i burzy. I burząc także tworzy. Jakże bolesna jest radość, kiedy czujesz, że serce straciło najlepsze lata na milczeniu i dopiero teraz wyśpiewało swoje uczucia. Ale nie o to, córo z domu Lewiego, chodzi. Nie o twój śpiew dla Boga przeznaczony. Mnie chodzi o ciebie, któraś jest rzadko spotykanym naczyniem pełnym wonnego wina. Człowiek jest ślepy, córo z domu Lewiego. Jego własnością jest tylko to, czego dotknąć może ręka, ale nawet wtedy bywa oszukany. Ciebie chcę mieć w ramionach, albowiem tak jak śpiewająca jest

twoja dusza, tak śpiewające jest twoje ciało. Pragnę zespolić moje ciało ze śpiewem twego ciała, z wiecznym śpiewem pramatki Ewy z raju. W ten sposób dotrę do Boga. Serce człowieka pełne jest pragnień i łaknień. Nie może zadowolić się nawet najprzyjemniejszą wonią swojej ofiary. Nie dla ryby jest unoszące się nad ziemią powietrze. Nie dla nietoperzy jest światło dnia. Nie tylko duchem człowiek żyje. Twój śpiew przeznaczony jest Bogu, zaś twoje ciało królowi. Tako rzekłem!

Niczym pantera zerwała się z klęczek dziewczyna. Podbiegła do drewnianej ściany i przywarła do niej rozpostartymi rękami tak mocno, że wydawała się jedną z jej złotych ozdób. Niskim głosem, jakby przemawiała z głębokiej otchłani, odpowiedziała:

— Nie, królu! To się nigdy nie stanie! Bo choć bogaty jest mój śpiew, to ciało moje biedne. Jakże więc potrafię nasycić serce, które korzystało z bogactwa śpiewu, moją biedą? Tak się rzecz ma z kwiatem. Dla nosa pachnie słodko, ale pod podniebieniem jest gorzki. Dziec-

ko, które wzięło do ust kwiat, rozplakało się. Tak więc, królu, to, o czym mówisz, nigdy się nie stanie! Przysięgam na dumę, która cechuje niewiasty z plemienia Lewiego.

Król Salomon stał w całym swoim majestacie i patrzył na dziewczynę przez swój kryształowy diament. Twarz nagle przybrała barwę różowego poranka, a mocne, perłowe zęby, żądne mięsa, odsłoniły się w uśmiechu pełnym pożądania. Opuścił rękę z diamentem i wtedy okazało się, że białka jego oczu nabiegły krwią jak u dzikiego, rozsierzonego bawołu.

Wyciągnął palec z pierścieniem w kierunku świecącego drogimi kamieniami sufitu i rzekł:

— Przysięgam na ten oto pierścień, że złamię twój opór, krnąbrna niewiasto. Złamię go tak, jak kapłan łamie drzazgi na podpałkę przed składaniem ofiary na ołtarzu. Ku twemu wstydowi moi giermkowie zaciągną cię siłą do mego pachnącego łóża.

Dziewczyna z domu Lewiego zaniósła się płaczem. Z jej piersi wyrwał się bolesny krzyk, który rozniósł się szeroko po wszystkich kró-

lewskich pałacach. Jakby ktoś zadał w srebrny róg, a jego dźwięk odbił się echem w całym lesie. Lewitka przygryzła palce i wyzywającym spojrzeniem zmierzyła rozgniewanego króla. Pochyliła się do przodu jak zwierzę szykujące się do skoku i zawołała:

— Nie waż się tego czynić, królu! Posiadam moc przeklinania. Moc odziedziczoną po pramatce Ewie. Jedno słowo i ciało moje zbrzydnie. Stanie się wstrętne, trędowate. Jeśli mnie dotkniesz, zarazisz się i nie będzie dla ciebie ratunku.

Twarz króla spoważniała i bladość pokryła ją znowu.

— Niewiasto — zawołał głosem, w którym było więcej zdziwienia niż gniewu — skąd u ciebie tyle pewności i tyle mocy, żeby mi się przeciwstawiać? Chyba tylko stąd, że masz już wybrańca swego serca. Powiedz więc, kto jest tym szczęśliwcem?

Dziewczyna jeszcze mocniej przywarła do ściany i po raz pierwszy opuściła głowę. Milczała.

Król odczekał chwilę, po czym przemówił. I znowu w jego głosie było więcej ciekawości niż gniewu:

— Niewiasto, wymień imię twego wybrańca! Przysięgam na mój pierścień, że włos mu z głowy nie spadnie.

Dziewczyna podniosła głowę i na jej twarzy pojawił się łagodny, macierzyński uśmiech. I waząc słowa oświadczyła:

— Nie, królu! Nie wyjawię ci jego imienia.

Powiedziała to z dumą. Promienny, niczym słońce, uśmiech okraszał jej twarz. Król zaś miał zachmurzone oblicze, jakby cały zanurzony był w gniewie.

I nagle głośno się roześmiał. Ale jego śmiech był gniewny. I wszystkie królewskie pałace zdrząły od tego śmiechu.

Dreszcz przeszedł po ciele dziewczyny. Pod jego wpływem osłabła jej hardość. Z twarzy zniknął promienny uśmiech. Mocno przywarła do ściany. Wyglądała na istotę, z której uchodziło życie.

Król klasnął w dłonie i natychmiast przez wszystkie drzwi weszli giermkowie. Każdy przez inne. Następnie król po raz drugi klasnął w dłonie i przez inne drzwi weszło po dwóch giermków. Zatrzymali się na progu, czekając na rozkaz króla. Wkrótce też padł z wysokości tronu. Spokojny, bez cienia gniewu:

— Weźcie ją! Weźcie tę niewiastę z domu Lewiego. Ona naruszyła wolę króla. Zaprowadźcie ją do domu niewolników. Od dzisiaj zaliczona została w poczet niewolnic. Nie wolno jej śpiewać na cześć Boga. Nie wolno jej otwierać ust przeciwko królowi.

Dziewczyna odstąpiła od ściany i poszła za giermkami. Znowu podniosła głowę wysoko. Wyglądała, jakby niosła na ramionach śmierć. Przechodząc obok króla skłoniła się z godnością:

— Dziękuję ci, łaskawy panie, że uszanowałeś moją biedę.

*

Idą na wyścigi, biją w bębny, walą w talerze, chcąc zagłuszyć harfę i flet.

Tańczą kobiety z Medii i Asyrii. Tańczą w rzędach, kołach, w trójkę i we dwie. Ogromny jest dywan kwiecistego dziedzińca. I ciała błyszczą w pożądlivym ruchu. Coraz to się skrywają, to obnażają.

— Gdzie jest Salomon? Który z nich Salomon?

— O ten, z koroną na głowie.

— Obaj noszą koronę.

— To ten ze szkiełkiem przy oku.

— Obaj mają szkiełko przy oku.

— I obaj mają takie same, w loki ułożone, brody.

— I obaj są ubrani w jednakowe purpurowe szaty.

— Królowie-bliźnięta. Obaj siedzą na złotych tronach na podwyższeniu, przy bramie ogrodowej. Siedzą pod niebieskim, jedwabnym baldachimem.

— Dlaczego mają wzrok tak posępny?

— Dlaczego niechętnie i bez należytego zainteresowania reagują na gorący zew nagich tancerek?

Muzykantom opadają ręce z harf. Tancerki przestają tańczyć. Opanowały ich bezsilność i bezradność.

Z wysokości tronów potoczył się w dół smutny pomruk:

— Kto mnie wyciągnie z ciemnego dołu? Kto mi zwróci utraconą radość?

Strach padł na starszyznę dworu. Stali w szeregu przy ścianie. Pochylili głowy, obnażając karki przed jasnym słońcem. I przerażenie ogarnęło eunuchów¹³ haremu. Ustawili się na różowych, marmurowych stopniach schodów i lnianymi ręcznikami ocierali pot ze swoich rumianych, gładkich twarzy.

W samym środku dziedzińca pałacowego stał mężczyzna odziany w kozłą skórę, z dzbanem przywiązany do pasa. Nie ukrywał swojej radości, gdy pod jego sękatym kijem naga

¹³*eunuch* — strażnik haremu, wykastrowany mężczyzna lub chłopiec. [przypis edytorski]

niewolnica zginała biały kark. Poganiał ją ku ogrodowej bramie, gdzie na tronach siedzieli dwaj królowie w blasku swoich złotych koron i purpurowych szat.

To on ją wyszukał wśród niewolnic. Wyszukał tę, która była śpiewaczką. Zdarł z niej suknię i nagą z kameą¹⁴ tylko na piersi, doprowadził przed oblicze królów. A owa kamea była znakiem jej przynależności do plemienia Lewitów.

I stanąwszy przed obliczem królów, skłoniła się nisko i zgrubiałymi rękami starała się zasłonić swoją nagość.

Naganiacz w koźlej skórze zatrzymał się także przed siedzącymi na tronach królami. Z jego oczu biło zadowolenie, choć zmieszane z zakłopotaniem. Patrzył to na jednego, to na drugiego króla. Nie wiedział, który z nich jest Salomonem. Czekał na jakiś znak. Obaj królowie jednocześnie unieśli ręce z diamentami.

¹⁴*kamea* — szlachetny kamień ozdobiony wypukłym reliefem. [przypis edytorski]

Człowiek w kozłej skórze podniósł kij, rozwarł wargi, zgrzytnął zębami i warknął na niewolnicę:

— Śpiewaj!

Ale kobieta nie usłuchała jego rozkazu. Wtedy machnął kijem nad jej głową i gniewnie, głośno zawołał:

— Śpiewaj! Król żąda, żebyś śpiewała!

Niewolnica powoli wyprostowała się, uniosła głowę, na której wicherzyły się od dłuższego czasu nie czesane włosy, pokryte pyłem z żaren. Powoli obróciła głowę w kierunku królów. Oczy spuchnięte od łez i mącznego pyłu raziły czerwienią. I czaiło się w nich tępe spojrzenie. Tępe, jak u zmęczonej krowy. I zapomniawszy o swojej nagości, wyciągnęła ręce do przodu. Były spalone od słońca i pokryte ranami od obracania koła ręcznego młynka. Szybko jednak spostrzegła, że odsłoniła swą nagość. Opuściła głowę na piersi i rękami starała się znowu zasłonić. Wciąż jednak milczała.

Wtedy poganiacz w kozłej skórze zacisnął wargi i mrugnął do siłaczy z Medii, którzy rzędem stali przy klatkach z lwami. Ich namaszczone torsy świeciły w słońcu. Brody były uplecione w warkocze. Stali z założonymi rękami w oczekiwaniu na rozkaz.

Dwaj z nich wystąpili z szeregu i ciężkimi, odmierzanymi krokami zbliżali się do niewolnicy.

Z plecionymi batami w rękach stanęli z obu jej stron. Padł rozkaz:

— Śpiewaj!

Świsnął bat i niczym czarny wąż oplótł się wokół ciała niewolnicy. Zawyla z bólu jak zranione zwierzę. A kiedy czarny wąż odwinął się z jej ciała, pręga pozostawiona przezeń miała kształt czerwonego węża.

Po trzecim uderzeniu bata bolesny krzyk niewolnicy rozplynał się w powietrzu jak gołąb, który trzepocząc skrzydłami roztapia się wysoko pod błękitem nieba.

I wtedy niewolnica zaśpiewała. Pod smaganiami batów zakwitła pieśń:

— Dla ciebie, królu Salomonie, dla
ciebie, mój wybrańcze.

Dla ciebie, króla królów, pieśń moją śpie-
wam.

Wolna śpiewaczka, córa Lewiego wierna
ci była

I wierną ci została w niewolniczym jarz-
mie.

Tyś wspaniały w swej wielkości i błogo-
sławionyś w swej postaci.

Żaden król na ziemi tobie nie dorówna.

Świeć więc swą wielkością, błyszcz świet-
nością swoją.

Twoja postać jest jak słońce, które ziemię
czyni żyzną.

Chwała ci za łaskę i chwała ci za gniew.

Twa chwała jest jak rosa, na polu rozpo-
starta,

Zaś gniew twój jako w górach burza.

Bo przez rosę i przez burzę łaska Boga na
Kanaan¹⁵ spływa.

Tak śpiewała naga niewolnica, dziewczyna z domu Lewiego. I wszystkie tancerki zastygły w bezruchu. I nie poruszona stała przy ścianie starszyzna dworu. Także żaden z eunuchów nie ruszył się z miejsca. Stali na schodach z ręcznikami w dłoniach. I siłacze z Medii o błyszczących ciałach stali nieruchomo przy klatkach z lwami. Jakby zaczarowani zostali przez potężnych magów z Egiptu.

Harfistki i flecistki usiadły wokół niewolnicy i morze cichej, słodkiej melodii rozlały wokół niej.

I wtedy śpiew zniewolonej dziewczyny popłynął nad tym morzem dźwięków harf i fleków. Popłynął jak złoty statek o śnieżnobiałych żaglach.

Dwaj królowie przestali oglądać przez szkiełka niewolnicę i cali zamienili się w słuch. Lwy w klatkach wysoko podniosły łby i uważnie słu-

¹⁵*Kanaan* — teren późniejszej Palestyny [przypis edytorski]

chały. I ze srebrnoniebieskiej wysokości sfrunął cietrzew, usiadł na skraju królewskiego baldachimu i z pochyloną głową wsłuchiwał się w śpiew dziewczyny. I tylko baty były w ruchu. Z coraz dłuższymi przerwami i z coraz mniejszym okrucieństwem. Po każdym uderzeniu bata śpiew stawał się czystszy i dziewczyna przedstawiała drzeć.

I za każdym świśnięciem bata jeden z królów zanurzał się coraz głębiej w tronie i coraz bardziej bladł. Drugi natomiast w tym czasie podnosił się i rósł w górę, a twarz przybierała purpurowy kolor jego szat. Z lubością oddychał pełną piersią, jakby powietrze zawierało same tylko wonności.

A dalej było tak:

Kiedy niewolnica skończyła śpiewać i pieśń jej rozplynęła się wraz z ostatnim dźwiękiem harfy, skierowała wzrok ku ogrodowej bramie. Tam byli obaj królowie. Jeden wysoko wyprostowany na tronie miał twarz rozplomienioną i oczy świecące niby diamenty. Uśmiechał się.

I uśmiech ten wyrażał namiętność i pożądanie, a ruchy rąk wielki zachwyt.

Drugi król siedział niby omdlały, głęboko zanurzony w tronie. Ręce zwisały mu bezwładnie z poręczy. Z oczu wyzierała całkowita pustka.

Śpiewaczka oczami pełnymi rozpacz i strachu usiłowała dociec, który z nich jest Salomonem. Od długiego wpatrywania się w obu królów oczy jej zaszły mgłą, wzrok powoli gasł. I tylko strach pozostał w oczach, choć nawet on również stępieł i stracił na sile. Obróciła głowę i zamglonymi oczami rozejrzała się dookoła. W jej spojrzeniu nie pojawił się najmniejszy błysk zrozumienia tego, co się dzieje. Nogi się pod nią uginały i ciałem wstrząsały dreszcze. I nagle jak kamień runęła na ziemię przed ogrodową bramą. Wyglądała jak kawał bladego marmuru na kwiecistym dywanie pałacowego dziedzińca.

Wtedy król, który stał wyprostowany, zrobił krok w jej kierunku i zawołał:

— Oblejcie tę niewolnicę lodowatą wodą! Obsypcie ją złotymi szeklami! Ona wiernie służyła swemu królowi i dalej służyć mu będzie!

A król głęboko wciśnięty w tron oprzytomniał pod wpływem tych słów. Ze zdziwieniem popatrzył na swego sąsiada i przez dłuższą chwilę mierzył wzrokiem. Z trudem dźwignął się ze swego miejsca. Powoli wstępowała w niego siła i męstwo Salomona.

— Kim jesteś, nieproszony gościu królewski?

Drugi król obrócił ku niemu twarz, na której świecił uśmiech. Ów pierwszy zaś oparł się o poręcz swego tronu, żeby nie upaść.

Drugi król pewnym głosem oświadczył:

— Jam jest Salomon!

I jego słowa tchnęły spokojem i powagą. Po chwili zapytał:

— A kim ty jesteś?

Pierwszy król poczuł w sercu gniew Salomona, wyciągnął rękę i krzyknął:

— Tedy ja przysięgam na mój pierścień!...

I nagle głos mu się urwał. Pękł jak trąbka w ustach ugodzonego strzałą trębacza.

Zauważył na ręce drugiego swój pierścień. Zobaczył też swoją opadłą rękę. Na palcu zamiast pierścienia był czerwony ślad. Chciał zawołać „to ja jestem Salomonem”, ale głos uwiązł mu w gardle. Z wielkim trudem zdołał wyszeptać kilka pojedynczych, jak echo brzmiących słów:

— Jam jest Salomon...

I kiedy te, szeptem wypowiedziane słowa, doszły do jego własnych uszu, miał wątpliwość, czy wyszły z jego ust. Ogarnął go strach: dalekie słowa, obce, ciche, słabe echo słów drugiego króla. Zebrawszy tedy ostatnie siły jeszcze raz wyszeptał:

— Jam jest Salomon...

I ze strachem stwierdził, że sam nie wierzy własnym słowom. Zawstydzony odwrócił się i cichutko opuścił ogrodową bramę. Zstępując po marmurowych schodach przeszedł obok zdziwionych eunuchów o rumianych twarzach. Smutnym, tępym wzrokiem wpatrywał się w ry-

sującą się w oddali przestrzeń, ziejącą pustką. Rękę, na której palcu pozostał krwawy ślad, wystawił do przodu. Jak żebrak wyciągniętą po jałmużnę dłoń.

Starszyzna dworu dalej stała szeregiem przy ścianie. I wszyscy jej członkowie dziwowali się temu, co widzieli. Przechodząc mimo nich, wyszeptał żałośnie po raz trzeci słowa, które w ustach drugiego króla brzmiały pewnie, iście po królewsku:

— Jam jest Salomon.

*

Bębnią bębny i łomocą talerze. I liczna jest rzesza złotych lwów. Trzaskają baty. Panuje rwestes¹⁶, harmider i tumult¹⁷.

Wybuch śmiechu wśród siłaczy z Medii: Kto zwraca uwagę na ranę w zabawie ze śmiercią?

— O, królu królów! Jakże różne są twoje zabawy!

¹⁶*rwestes* — hałas, krzątanina. [przypis edytorski]

¹⁷*tumult* — zgiełk, zamieszanie spowodowane ruchem wielu osób. [przypis edytorski]

— I jakże szczęśliwy jest twój dwór, kiedy jesteś zadowolony, kiedy patrzy na ciebie, nie mając już wątpliwości, kim jesteś.

Mężczyzna w purpurze minął bramę, i nikt się za nim nie oglądał. W jego oczach zagnieżdżyła się pustka. Prawieczna pustka. Ciężko westchnąwszy, z uczuciem żalu, bolesnym, zdławionym głosem wyszeptał dalekie, obce, ciche, fałszywe echo obcych królewskich słów:

— Jam jest Salomon.

TUREK

Wąska, kipiąca życiem ulica. Szyld obok szyldu. Gdzie tylko jakieś drzwi, tam sklep. Jeden z nich wyglądał jakoś dziwnie. Okiennice obciągnięte czerwonym sukniem. Nad drzwiami duży, uszyty z płótna szyld. Na nim malunek: ni to skrzynia, ni to szafas, w połowie wypełniony sianem, czy też wodą. I na tym sianie albo w wodzie, leży jakieś dziwne, do innych niepodobne, zwierzę, z krótkimi łapkami, człowieczą głową i śledziowym ogonem. Nad nim

stoi Turek z laseczką w ręku. W dalszym tle widać jakieś cudowne, trudne do rozpoznania kształty. Ni to góry lodowe, ni to domy w mieście.

Przed sklepem stoją dzieci i gapią się na szyld: „Morski człowiek!”. Z otwartych drzwi sklepu wylewają się na ulicę dźwięki katarynki. Wplatają się w kroki śpieszących przechodniów, niczym rozbiegane ptactwo domowe. Przez to wydaje się, że ulica stała się jakby ciaśniejsza.

Od czasu do czasu dźwięki katarynki zamierają. Dzieci wtedy w porę odsuwają się trochę od sklepu, bo wiedzą, że za chwilę wynurzy się stamtąd Turek-katarzyniarz i właściciel dziwnego zwierzęcia.

I oto Turek stoi już w drzwiach. Jest mały, chudy i ma na sobie szerokie czerwone spodnie. Na grubym nosie duże, zbyt duże, okulary. Rzecz oczywista, na głowie nosi fez. Dzieci na jego widok robią jeszcze jeden krok do tyłu. Turek bowiem może z nimi postąpić po turecku. Może oblać je wodą albo rzucić w nie laską. To prawdziwy zbój. Dzieci boją się go jak ognia.

Nie zawsze jednak Turek był taki srogi. Z początku, kiedy jego interes nieźle prosperował i nie brakowało chętnych do oglądania morskiego człowieka, Turek lubił sobie nawet pożartować z widzami. Szczególnie umiłował sobie serdeczne gawędy z młodymi służącymi z mieszczkańskich domów. Zatrudniał nawet wtedy dziewczynę przy kasie, gdyż sam zajęty był obsługiwaniem katarynki i demonstrowaniem owego dziwnego zwierzęcia.

Z biegiem czasu widzów ubywało. Chętnych do obejrzenia morskiego człowieka było coraz mniej. Na dodatek rozeszła się pogłoska, że pokazywane przez Turka monstrum, wcale nie jest zwierzęciem, że to właściwie chłopiec, któremu kataryniarz przyczepił ogon. Ponadto trzyma go w szklanej skrzyni wypełnionej wodą.

Tak twierdzili jedni. Drudzy natomiast utrzymywali, że to faktycznie zwierzę, ale nie aż tak ważne i ciekawe, żeby zasługiwało na oglądanie.

Stwór ma twarz bardziej psią niż ludzką i czasami słychać nawet, jak poszczekuje.

Jakby nie było, faktem jest, że Turek stracił klientelę. Dawno odprawił swoją kasjerkę i sam również się nie przepracowywał. Zdaje się, że ostatecznie pogodził się z faktycznym bankructwem swego interesu. Kiedy jednak doszły go słuchy, że ludzie uważają jego zwierzę za sztucznie podrobione, zafalszowane stworzenie, wpadł we wściekłą rozpacz. Nawet przed dwoma lub trzema widzami dwoił się i troił, żeby im udowodnić, że jest prawdziwe i o żadnym oszustwie nie może być mowy. Obracał przed nimi na wszystkie strony leżące w szklanej skrzyni zwierzę, pociągał je za ogon i starał się wykrzesać z niego znak życia. Ale nic z tego nie wyszło, bo akurat wtedy ogarnęła je melancholia. Pozwalało robić ze sobą wszystko, jakby było z gumy. Wreszcie po wielu wysiłkach udało się Turkowi wydobyć z niego jakiś słaby pisk.

— Aha! Słyszeliście? — krzyknął z radością. Kiedy ta grupka widzów odeszła, Turek znowu wpadł w rozpacz.

— I co z tego, że usłyszeli jego pisk? Na pewno uznali, że był sztuczny.

Od dwóch tygodni zalegał z opłatą czynszu. Starał się unikać spotkania z właścicielem sklepu. Wyksztąpił w sobie szósty zmysł. Wcześniej i z dala wyczuwał zbliżające się jego kroki i zawczasu umykał. Swoje łóżko zdążył już postawić za kotarą obok szklanej skrzynki ze zwierzęciem. Oboje też zaznali uczucia głodu.

Turek z każdym dniem stawał się coraz bardziej rozdrażniony, ale również dzieci gromadzące się przed jego sklepem były co dnia bezczelniejsze.

— Turku, nie mam wprawdzie pieniędzy, ale za to mam guzik. Dam ci go, jeżeli pozwolisz mi popatrzeć na twoje zwierzę.

Taką propozycję otrzymał Turek w pewien wieczór, kiedy stał w oświetlonych księżycem drzwiach sklepu. Chłopiec zaś, który ją złożył, wolał zatrzymać się w cieniu.

Mężczyzna nic nie odpowiedział. Staranniej niż zwykle pozamykał okiennice i został ze zwierzęciem w sklepie. Usiadł na ławeczce naprzeciw szklanej skrzyni i objąwszy rękami głowę zaczął rozmyślać:

— Dobrze, że zamknąłem drzwi, bo właściciel mógłby wpaść nagle. No dobrze, to dziś, ale co będzie jutro?

Myślał, co robić dalej, a im dłużej się zastanawiał, tym bardziej zaczął się przejmować swoim losem. I nagle uzmysłowił sobie, że siedzi już zupełnie bezmyślnie z podkurczonymi nogami na ławeczce i odczuwa każde drgnienie swego ciała. Od stóp do głowy.

Czuje także zmarszczki i fałdy na swoich szerokich, czerwonych spodniach. Nawet łąty na butach. Okulary na spoconym nosie. Wszystko czuje i widzi, jakby patrzył na siebie z boku. Czuł nawet ciszę nocy za zamkniętymi okiennicami. Przez chwilę zwątpił nawet, czy żyje. Czy potrafi podnieść i uwolnić głowę od obejmujących ją własnych rąk. Czy w ogóle jest w stanie czegoś chcieć. I przerażony, nie zdając

sobie sprawy z tego, co się z nim dzieje, podniósł głowę.

W odpowiedzi na ten nagły ruch, zwierzę leżące w szklanej skrzyni popatrzyło na niego przenikliwym wzrokiem. Może też pod wpływem głodu upomniało się spojrzeniem o jedzenie. W pewnej chwili klasnęło ogonem i zapiszczało.

Przez dłuższy czas oboje gapili się na siebie. Tymczasem w Turku wzbierał strach:

— Co tu się dzieje? Skąd ja do tego zwierzęcia?

I rzeczywiście, od czego to się zaczęło? Każda rzecz musi przecież mieć swój początek. Ludzie go oszukali. Wmówili w niego, że to morski człowiek, że dzięki niemu zarobi kupę forsy, że będzie pławił się w złocie. Dokonał więc wymiany. Oddał swój sklepik wraz ze stolikami i krzesłami, z tuzinem tac i filiżanek oraz kotłem, w którym parzył kawę, w zamian za dziwne zwierzę. W ten sposób stał się właścicielem „morskiego człowieka”.

Na to, że stworzenie to nie ma nic wspólnego z morskim człowiekiem, wpadł już dawno. Ładnie by wyglądał Bóg, gdyby stworzył takich ludzi.

Pozostaje jednak pytanie: kim jest ten stwór? Rybą? W żadnym wypadku! Psem? Także nie! Ale żyje i chce jeść. I patrzy teraz na Turka tak, że włos jeży mu się na głowie.

— Gwałtu, rety! Kim ono jest?

Stworzenie nagle się poruszyło i wbiło w niego oczy. Ze strachu Turek aż podskoczył na swojej ławeczce.

— Precz potworku! Odczep się ode mnie! Boję się ciebie!

Zerwał się z ławki i schował za kotarę. Tu z impetem padł na posłanie, przywarłszy twarzą do siennika wypchanego słomą. Ciarki przebiegały mu po ciele. Uchem i sercem był dalej przy szklanej skrzyni ze zwierzęciem. I strach go nie opuszczał. Wręcz przeciwnie: wzmagął się. Dopiero teraz bowiem, kiedy nie było widzów, stwór rozruszał się. Zaczął wyczyniać dziwne jakieś sztuczki. Turek poczuł, że strach przez

duże *S* przebiega po jego grzbiecie zimnymi, owłosionymi łapami. Cienka kotara oddzielała go teraz od obcego świata, od ciemnej otchłani, do której łatwo można się ześlizgnąć i trwać w nieustannym spadaniu. Jak bezradne przestraszone, bezsilne dziecko rozpłakał się. Obfite łzy zmoczyły siennik.

— Czego to zwierzę chce ode mnie? Po co je wziąłem? Nie wiem nawet, jak się nazywa. Biada mi! Na chwilę serce Turka przestało bić, ale zaraz zaczęło się miotać niby pestka w orzechu, kiedy nim się wstrząsa. Jakiś dziwny plusk doszedł do jego uszu ze szklanej skrzyni. Nigdy jeszcze takiego nie słyszał. Zebrał się na odwagę, oderwał głowę od siennika i zajrzał za kotarę. Ciągnęło go do stwora, jak ćmę do światła.

I co zobaczył? Do połowy zanurzone w wodzie, zwierzę siedziało na dnie skrzyni. Krótkie rączki rozstawiło nad wodą, głowę zadarło do góry. I nagle roześmiało się ludzkim śmiechem i puściło z nozdrzy fontannę wody, która zalała podłogę. Było widocznie z siebie zadowolone,

bo od śmiechu trząsał mu się brzuch. Oczy patrzącego na to Turka prawie wylazły z orbit.

— O, rety — krzyknął. — Ja tego nie wytrzymam! Ono ze mnie się śmieje! Ono doskonale wie, kim ja jestem, natomiast ja nie wiem, kim jest ten potworek. Kto więc jest tu Turkiem, a kto zwierzęciem?

Sam sobie zadał to pytanie i zaraz stuknął się w głowę, żeby więcej o tym nie myśleć. Własne myśli mogły bowiem wciągnąć go w otchłań. Wrócił na posłanie za kotarę. Leżał na sienniku i tym, co znalazł pod ręką, przykrył głowę. Miał teraz jedno pragnienie: ukryć się przed zwierzęciem i to tak, żeby go nie odnalazło. Jak to zrobić? Przecież wyjdzie ze skrzyni. Jakoś głupio... Przerazał go nawet własny oddech. Szczękał zębami, co także napawało go strachem, bo i to stworzenie mogło usłyszeć. Chętnie udusiłby siebie, żeby nie zwrócić uwagi zwierzęcia. Usłyszał wśród szczękania zębów i drgnień wszystkich członków swego ciała nagle zapadła wokół ciszę. Za kotarą również panował absolutny spokój. Strach

stanął jakby na czubkach palców i z tyłu, zza pleców zajrzał mu wprost do głowy, do miejsca, w którym tkwił jego mózg. Turek zniechęcił się. Nie miał najmniejszej chęci, żeby ruszyć choćby palcem. Jednak dwie myśli, niczym dwa koty naraz, zaczęły zabawiać się jego sercem i mózgiem. Przerzucały je sobie nawzajem:

— Zwierzę stoi nad siennikiem...

— Zwierzę uciekło na amen...

Ale sam strach uwolnił go od tych koszmarów, bo zerwał się z posłania, po raz drugi uchylił kotarę i wsadził głowę, żeby spojrzeć na skrzynię. Było to tak, jakby ją położył pod nóż gilotyny. Niech — pomyślał — wreszcie nastąpi koniec.

A zwierzę spało sobie w najlepsze na dnie szklanej skrzyni. Turkowi nagle zaświtała w głowie myśl:

— Trzeba się ratować! Jest okazja.

Cicho jak sen opuścił kotarę i zaczął pakować swoje rzeczy. Strach poganiał nim, bo stwór mógł w każdej chwili się obudzić. Zdjął

buty i przywiązał je do pakunku z dobytkiem. Po podłodze poruszał się cicho jak cień. Wstrzymując oddech przemknął się z tobołkiem na plecach przez kotarę obok skrzyni tak szybko, jak się skacze z ognia do wody. W głowie rozdzwoniły mu się wszystkie dzwonki świata. Od takiego dzwonienia powinny były się obudzić wszystkie zwierzęta tej ziemi. Szczęście mu jednak dopisało. Jego zwierzę miało bardzo twardy sen.

Ze wszystkiego, co zaszło, zdał sobie sprawę dopiero, gdy znalazł się po drugiej stronie drzwi. Ucisk w płucach niepozwalający mu oddychać zelżał, więc jednym haustem zaczerpnął świeże powietrze, nocną ciszę i rozsiane światło księżycy. Nagle zauważył obok siebie jakiś jasny kształt i to wystarczyło, żeby zaczął uciekać co sił w nogach. Minął zamknięte o tej porze sklepy, minął bramę podwórza i już niedaleko był róg ulicy, z której mógł skrócić w boczne zaułki... Usłyszał głos:

— Stój Turku! Cha, cha, cha.

Wiedział doskonale, że się nie uratuje. Biedny głupiec! Poddał się natychmiast, zanurzył w swoich szerokich spodniach pod brzemieniem nagle spadłego na kark ciężaru. Tępe zęby wgryzły się boleśnie w jego ciało. Ze wszystkich sił starał się wyrwać napastnikowi. Na próżno. Żelazna ręka przycisnęła go prawie do samej ziemi i powoli obróciła jego twarz ku sobie. I oto Turek zobaczył z dołu parę ciężkich jak kolumny, szeroko rozstawionych nóg. Znajome i wrogie to były nogi. Ciało napastnika zasłaniało mu widok księżyca. Siłą rozpaczy uniósł w górę głowę. Z tej wysokości zobaczył znajomą, szeroką gębę właściciela sklepu, który śmiał się zadowolony.

I ta gęba ze swojej wysokości odezwała się przeciągłym, acz spokojnym głosem:

— Dokąd to Turek z pakunkiem pędzi w środku nocy?

— Dokąd pędzę? Do łaźni pędzę! — odparł nie zastanawiając się ani przez chwilę.

— Tak?

Turek opuścił głowę. Jeszcze raz spojrzął na jedną z dwóch ogromnych nóg właściciela sklepu i zmierzył wzrokiem odległość między tą nogą a swoim przygiętym do ziemi karkiem. Wtedy rozległ się z góry, jakby niebo pękło, ogłuszający istny lwi ryk.

— A czynsz za mieszkanie uiściłeś? Pytam, czy zapłaciłeś?

Potężna ręka właściciela uniosła Turka w górę i zaczęła nim mocno potrząsać. Od tego trzęsienia Turkowi zebrało się na wymioty. Wstyd mu było przed księżycową nocą, której spokój zakłócony został gradem krzyków.

Znowu nabrał odwagi i uniósłszy w górę głowę, rzucił prosto w twarz właścicielowi:

— U nas, jest taki zwyczaj.

Olbrzym przez chwilę był zaskoczony zachwałością Turka.

— Co to za zwyczaj? Jaki to zwyczaj? Zwyczaj niepłacenia czynszu i pędzenia w nocy do łaźni? Sam uciekasz, a mnie pozostawiasz to śmierdzące zwierzę, o którym nikt nie wie nawet, co ono za jedno. Nie, panie Turku, u nas

są inne zwyczaje. Zabieraj swoje bydłę i idź w czor-
ty! Bez tego stwora ode mnie nie wyjdiesz.
Słyszysz? Jutro sobie o tym pogadamy. A na
razie marsz!!

Olbrzymiego wzrostu właściciel pociągnął
Turka jak pieska, którego prowadzi się na miej-
sce, gdzie napaskudził. Wystarczyło zrobić trzy
kroki, żeby znaleźć się przy otwartych drzwiach
sklepu. Cisnął Turka do wnętrza, gdzie w skrzy-
ni leżało sobie dziwne zwierzę i zamknął drzwi
na klucz.

*

Rano właściciel w asyście policjantów i w obec-
ności licznej grupy obywateli miasta otworzył
drzwi. Turek wstał ze swego miejsca w kącie
i wyszedł im naprzeciw. Nie miał na sobie spodni.
Chude, sinawe nogi były obnażone. Ukłonił się
grzecznie i spokojnym głosem powiedział:

— Moi panowie! Moi drodzy panowie i mi-
łe panie! Powinniście wiedzieć, że każdy śmier-
telnik zobowiązany jest pozostać do końca na
tym miejscu, które mu w swojej wielkiej mą-

drości wyznaczył sam Allah. I biada temu, kto się sprzeniewierzy woli Allaha!

Mówiąc to znacząco pociągnął zwierzę za ogon, po czym dodał:

— Popatrzcie drodzy ludzie! Popatrzcie panowie i panie, dziadkowie i dzieci. Ten ogon jest prawdziwy. Należy do tego stworzenia, które widzicie. Zwierzę wraz z ogonem stanowi jedną całość. Niektórzy z was sądzili, że ogon jest przyprawiony, ale tak nie jest. To zwierzę jest jednym z licznych cudów Allaha. I żaden śmiertelnik nie ma prawa wątpić w cud, choćby nawet nie rozumiał, po co to dziwadło zostało stworzone.

W tym miejscu Turek przerwał swoją przemowę. Z płonących oczu wyzierało błagalne spojrzenie. Prosiło o litość. Polały się łzy. Z nosa ściekała krew. I nagle wybuchnął śmiechem. Tak głośnym śmiechem, że właściciel sklepu odskoczył od niego o trzy kroki i zaczął z zakłopotaniem drapać się po zarośniętym karku.

— Oto, co się staje z Turkiem, któremu nie pozwalają w porę iść do łaźni.

ŚWIAT CHAOSU

Jest to rzecz o człowieku, który pewnej nocy, siedząc nad czarną rzeczką, nagle pomyślał, a raczej odczuł, że jego nogi sterczące nad ziemią są w istocie głupie. Pomyślał i po chwili myśl tę po prostu zagubił. Ona jednak odszukała go i wróciła.

Ów człowiek przyszedł właśnie z miejsca, gdzie nie ma przegrody między życiem i śmiercią. Na tamtym miejscu zostawił resztkę swego życia. Zostawił ją tak, jak ktoś, kto nieostrożnie byle gdzie, zostawia paczkę zapalek i potem, kiedy nastają ciemności, nie ma czym ich rozświecić.

Pozostał więc dokoła pusty świat, mroczny sen sprzed sześciu dni stworzenia. Szare, bezkształtne ciała nad tamtą gęstą ciemnością lasu rozgniotły księżyc. Oto szczelnie do siebie przyciśnięte, zniżają się stopniowo, z niedźwiedzią powolnością, do ziemi. Są coraz bliżej

i bliżej. Nad pustką nocnego świata unosi się sieroctwo i bezboskość.

I jedno tylko światełko, jeden malutki płomycek, głupio i zuchwale wgryzł się w płaską równinną przestrzeń, gdzieś między czernią a szarością. Wgryzł się i nie chce zgasnąć.

Cieężko oddychający, jęczący kawał życia pałęta się gdzieś w pobliżu na wilgotnej ziemi. Samotnie siedzącemu człowiekowi wystarczy tylko wyciągnąć po niego rękę, żeby go dosięgnąć. Więc wyciąga. Obmacuje ziemię wokół siebie i natrafia na ciepłą, spoconą sierść oblekającą drżące ciało jakiegoś stworzenia. Drżeniom stworzenia towarzyszy raz po raz wyrywająca się z jego piersi skarga. Człowiek wzdycha współczująco:

— Ach, to ty, Kurto, biedne moje psisko!

Kurta reaguje na to płaczliwym ziewnięciem, po czym gorącym jęzorem oblizuje rękę człowieka.

Tej nocy człowiek siedzący nad rzeczką zaczyna odczuwać swoje zewnętrzne „ja”: okulary, które uciskają mu nos, twarde kapelusze ci-

snący skronie, płaszcz opasujący ciało niczym blaszany pancerz oraz ciężkie od błota kalosze. Wydaje się, że za chwilę dusza wyleci mu z ciała. Czuje, że utkwiała w jego ubraniu. W żywym ubraniu leży już martwe ciało.

Czuje to przez jedną tylko chwilę. Przez tę jedną, krótką chwilę czuje też, jak kapie na niego deszczyk, który rozsnuwa za kołnierzem jego płaszcza zimną pajęczynę. Nie zwraca na to uwagi. Nie obchodzi go to. Zapomina o nocy, o psie i o rzeczce.

Jego „ja” rozpląnęło się. Przed oczyma snuje się teraz tylko sen złożony z dawno minionych fragmentów życia: jakiś zepsuty zegar na starej wieży, jakaś uparta ręka, która zmusza zegar do wybijania dawno minionych godzin. I wszystko to odbywa się dziwnie między dniem i nocą.

*

Nocą w ogrodzie leżą przytuleni do siebie dwaj związani przyjaźnią chłopcy. Leżą na otwartej estradzie, na której jeszcze trzy godzi-

ny temu rozbrzmiewała muzyka. Teraz hula tu wiatr i księżyc świeci nad głowami. Deski są twarde.

Na szerokim otwartym placu przed estradą zebrały się psy z całego miasta. Psy wszystkich możliwych ras. Odprawiały jakieś nieme psie misterium.

Leżący na estradzie chłopcy rozmawiają szep-tem:

— Widzisz, Szmulu, jak się z nami obcho-dzi świat? Ma nas za nic, śpi sobie spokojnie, gdy my nie mamy na czym głowy położyć.

— Nie martw się, Dawidzie! Świat da się przerobić.

— Przerobić, powiadasz? To wymaga ogromnej pracy. Nie opłaca się. Nim się obejrzysz, umrzemy z głodu lub chłodu. Przykryj mnie, Szmulu. Dreszcze przebiegają mi po ciele.

Szmul przykrywa kolegę płaszczykiem pod-szytym wiatrem, obejmuje go za szyję, ogrzewa własnym ciałem i powiada:

— Gorycz przez ciebie przemawia, Dawi-dzie!

Dawid nie od razu odpowiada. Po dłuższej dopiero chwili powoli wycedza:

— Gorycz, powiadasz? Nie, Szmulu, po prostu zestarzałem się.

Nic więcej już nie mówią. Szmul przytuliła do siebie nagle zestarzałego kolegę i zaczyna płakać. Płacze z litości nad Dawidem i nad sobą. Płacze z powodu niegościnnego przyjęcia, jakiego doznali w obcym mieście, którego mieszkańcy śpią teraz spokojnym błogosławnym snem w domach za ogrodem. Śpią pod ciepłymi pierzynami owłosieni mężowie z ich tłustymi żonami. Śpią młode dziewczęta na lśniąco białych prześcieradłach. Same zresztą lśnią bielą swoich ciał. Usnęły nad otwartą książką i śnią nie doczytany jej koniec.

A świat jest przecież taki cudowny, taki ciekawy i podniecający. Nowe miasto, do którego przybyli, to zaczarowany kraj za srebrną kurtyną. Szmul leżąc obok raptem zestarzałego kolegi, czuje, jak tętni w nim młodość. Jest przekonany, że już jutro znajdzie sposób na uchyl-

lenie tej srebrnej kurtyny, która zamyka mu wstęp do zaczarowanego kraju. Ten kraj będzie jego krajem. Będzie jego światem. Płacze i śmieje się, wie, że płacze z nadmiaru radości życia.

Dawid przeziębził się. Kaszle. Nie może się powstrzymać od kaszłania. Kilka psów, które znalazły się na estradzie, przestraszyło się jego kaszlu. Zeskoczyły z estrady i dołączyły do psiej gromady. Siedzą teraz cicho i nasłuchują.

*

Po ulicach miasta biegnie długi, wyrośnięty młodzieniec. Ma na sobie rozchełstaną pelerynę.

Naprzeciw pędzi mu jesienny wiatr. Zderza się z nim. Zaczynają się zmagać. Ku nogom biegnącego lecą martwe jesienne liście, podobne do srebrnych drżących rybek i złotych przestraszonych motyli.

A tam w górze suną szaroniebieskie płachty. Śpieszą gdzieś w bok. Otwierają puszyste usta i śmieją się z ukrytego za nimi złotego

słońca. W samo południe przy ciemnej kamienicy para ogołoconych z liści drzew skrzy się w słońcu. A że z zalanej ulicy woda przedostaje się do butów, twardnieją i sztywnieją długie, mocne nogi młodzieńca. Odpycha bruk, wykonuje skok i oto w swej rozchełstanej pelerynie, wbrew wszelkim prawom natury, wślizguje się na szklaną górę wiatru...

Jego bokobrody się rozwichrzyły, krawat unosi się z wiatrem. Szerokie, miękkie rondo kapelusza stanęło dęba, by wiatr mógł na nim umieścić napis, jak na szyldzie. „Zaczęła się rewolucja!”. To wypisuje mu wiatr na kapeluszu i na czole.

Wtem z głębi jego serca, podnosi się ku gardłu mocny okrzyk: „Estero! Esterko!”.

Jest zmuszony mocno zacisnąć zęby, żeby okrzyk nie wydarł się z ust na samym środku ulicy. Odwija młodzieniec swoją pelerynę i jednym skokiem jest już na wiatrowej drabinie, gdzieś na drugim piętrze nad targowym placem, w małej uroczej świątyni, gdzie w kącie pali się znicz z jego własnej duszy i gdzie

najdrobniejsza rzecz owiana jest tęczową aurą. Estera uśmiecha się do niego.

— Estero, na ulicy jest rewolucja!

Estera jest niskiego wzrostu. Wąskie ma ramiona i długą rabinacką głowę z brązowymi, rozwichrzonymi włosami, przez które ledwo widać śniadą twarz. Za to przez otwarte usta widać, jak lśnią w uśmiechu małe zębki. Także w jej oczach błyska uśmiechem brązowoczerwony płomyk. Kładzie po łokieć obnażoną rękę na ręce Szmula. Dziecięcą rękę o delikatnych palcach dorosłej kobiety. Swoim matoworóżowym kolorytem przypomina słoneczną morelę. Cała Estera przeniknięta jest jakimś niezwykłym blaskiem łagodnego, egzotycznego, nietutejszego słońca.

— Szmulu, dożyliśmy!

Przez dłuższą chwilę stoją trzymając się za ręce i z przyjemnością wsłuchują się w bicie swoich serc.

Szumul rozmyśla: właściwie człowiek jest niemy. Nie potrafi w swoim języku wyrazić własnego szczęścia. Zwłaszcza, gdy to szczęście ze-

spolone jest ze szczęściem, które przynosi ludzkości nowy ustrój.

Do ich uszu dochodzi gwar i szum ulicy. Szybko podbiegają do okna i jeszcze szybciej je otwierają. Do pokoju wdziera się wiatr nowego świata, niosący z sobą grom okrzyków i echo dalekich śpiewów.

Przed ich oczyma roztacza się taki widok: rozdęty wilgocią plac targowy szybko wypełnia się rzeszą ludzi. Kupcy w pośpiechu zamykają sklepy. Z tej strony targowego placu, gdzie szary kościół podniósł ku zielonym chmurom parę chudych rąk, a z jego wąskich ramion opadła w dół żółta peleryna miejskiego parku, płynie wartkim prądem rzeka błyszczących głów.

Nad tą rzeką huśtają się ciężkie, czerwone żagle spryskane złotem. Od tej właśnie rzeki z czerwonymi żaglami dochodzą okrzyki i śpiew.

Pokój z otwartym oknem, przy którym stali oboje, uniósł się w górę.

I uniósł się także widnokrąg. Płyną z daleka, ze wszystkich stron rzeki obnażonych głów.

Płynie śpiewna wieść z dalekiego centrum miasta.

Za chwilę znad pękniętej zielonej chmury wyleje się słońce na sam środek placu targowego.

Tymczasem na dole powstało już ze strumienia napływających ludzi istne mrowisko. Szerokie koło głów staje się coraz gęstsze, napiera coraz ciaśniej i otacza pierścieniem pomnik wznoszący się na środku placu. Na schodkach pomnika powiewa czerwony żagiel ze złotymi literami. Na najwyższym schodku stoi człowiek, który wysoko w rękę trzyma kapelusz.

Wiatr igra jego miękkimi włosami. Odsłonięte czoło przypomina płat białego marmuru. Skrzą się wypukłe szkła okularów odbłaskiem nadpękniętej chmury, co przyciąga spojrzenia wszystkich zadartych głów. Ludzie stoją z otwartymi ustami i milczą. Panuje więc cisza i nastrój jest niesamowity.

Estera chwyta Szmula za rękę. Własna jej dłoń nie przestaje drżeć.

— Popatrz, Szmulu! To Dawid przemawia!
To przecież Dawid!

I gwałtownym ruchem wychyla się przez otwarte okno.

Szmul patrzy na profil Estery, który tak daleko „wyfrunął” w stronę wzburzonego świata. Estera odgarnia rozwichrzone włosy i Szmulowi zaczyna się kręcić w głowie. Znowu bowiem dostrzega, jak zapłonęło ogniem jej oko, które wysyła czerwoną iskrę do mówcy na dole. I Szmul czuje, jak drżące jej palce coraz słabiej ściskają jego rękę, aż uścisk ustaje i ręka zostaje całkiem zapomniana. A zielone niebo jest już na dole, zaś wzburzony plac targowy uleciał w górę.

Szeroka rama okna jeszcze bardziej się rozwarła, odpłynęła daleko i wykrzywiła się.

Przez tę ramę Estera posyła do kogoś na świecie wdzięczny uśmiech. Obca Estera. Uśmiech kobiety.

*

Na mokrej ławce w miejskim parku siedzi Szmul i kołysze się razem ze swoimi sąsiadami — drzewami.

Lecą z jego obnażonej głowy błędne, świecące ptaki — martwe liście jesienne. Nie wiedzą, gdzie mają spaść, nie wiedzą, że są martwe. Stęka w pobliżu gruby pień. Wzdycha daleka aleja, budząc te bliższe i bardzo bliskie. Szemrze to westchnienie nad głową Szmula wraz z płaczem liści. Po miękkiej skórce lamparciej ze spadłych liści zaczynają kroczyć na niewidzialnych nogach duchy. Park pogrążony jest w ciszy. Z czarnożółtej rzadkiej sieci kapią jeszcze pojedyncze krople. Jedna zawisała na policzku Szmula. Obie ręce oparł na lasce. W jednej sterczy kapelusz z odwróconym denkiem do dołu. Bezwstydnie wystawiony jak u żebraka. Wieje wiatr i niespodziewanie przywiewa jałmużnę. Szmulowi kurczy się serce ze wstydu.

W westchnienie dobiegające z dalekiej alei wplótł się przerywany śpiew. A westchnienie podtrzymywało ten śpiew, żeby nie ustał. Powiązało go z ciemnym aksamitem męskiego chó-

ru. Zbliża się ów chór. Płynie już gdzieś obok, z tyłu, za Szmulem, w pobliskiej alei. Z pewnością są to śpiewacy jesieni z odkrytymi głowami, na których wicherzą się włosy. Z twarzami smaganymi wiatrem i nagimi ciemnymi szyjami, jak u marynarzy. Paradują w białych chitonach z purpurowymi zapinkami. Zaglądają jesieni w szare oczy i niosą dla niej w miedzianych ramionach swojej woli na aksamicie śpiewu na pół zasłonięte słońce.

Niech śpiewając przejdą tam swoją drogę. Niech zostawią w spokoju pogrążonego w smutku człowieka, który płacze na mokrej ławce. Człowiek ten bowiem nie posiada niczego, oprócz opłakanego błogosławieństwa i żebraczego serca.

Bądźcie oboje błogosławieni, Estero i Dawidzie, i ty, niemy bólu człowieczy, bądź także błogosławiony... Niechaj też od dzisiaj błogosławione będą wszystkie ciche zakątki, w których smutek może znaleźć schronienie przed ludzką radością...

*

Na wysokich drzewach cementarza odbywa się wesele wron. Wśród grubych gołębi latają i skaczą te tłuste, czarne ptaki wokół swych wzdętych gniazd. Kraczą miotając przekleństwa i oszczerstwa na świat.

Rzadkie grudki puszystego śniegu spadają z wystawionych łap drzew. Dodatkowa jałmużna dla białego cementarza. I kiedy taka rzadka śnieżna plwocina spada na ławkę, na której siedzi Szmul, pokornie się usuwa nie ciekaw, dlaczego i skąd spadła. Patrzy w dół. Gapi się na dolinę, na której fioletowe fabryczne kominy wydmuchują w porznięte chmury brudny atramentowy dym. Nad białą doliną wiją się zygzakowato czarne ścieżki upodobniające ją do pękniętej miski.

Oczy Szmula wypełniają te zygzakowate ścieżki pustej doliny długimi, rozciągniętymi szeregami maszerujących grup ze sztandarami w rękach i śpiewem na ustach. Sen Szmula odnosi się do owych dni, kiedy dolina ugięła się

pod ciężarem i zgiełkiem wzburzonego tłumu, a kominy fabryczne nie dymiły. Jakby pod czystym niebem wystygły i stały się zbędne.

Teraz dolina znowu świeci pustką i niebo znowu zaciągnięte jest dymem. I pozostała na niej pamiątka po tamtych dniach: krzyż przy drodze — miejsce, na którym dokonana została wielka rzeź.

Także tutaj, na tym cmentarzu pozostała pamiątka. Szmul stara się ją odszukać i szybko znajduje tuż przed sobą, w głównej alei.

Znajduje więcej niż szukał i to zwalnia go od potrzeby wstawania z ławki. Siedzi więc dalej i patrzy na otwartą przed nim aleję.

Tam, gdzie niskie kamienne grobowce utrzymują się na ciężkich łańcuchach wokół bezkształtnego nagrobka z czerwonego kamienia, stoi mała kobieta w czarnym, dużym kapeluszu, który opada na jej wąskie ramiona. Stoi bez ruchu, jakby zastygła. Jakby była z tego samego kamienia, co nagrobek. Ręce trzyma w kieszeniach płaszcza. Trzyma je tak, jakby były przywiązane do reszty ciała. Patrzy na wy-

kutą w kamieniu rękę trzymającą młot. Na macewie widnieje wypisane złotem jedno słowo „Dawid”. Od tego słowa odbijają się krwawe promienie zachodzącego słońca. I tak jak nieruchomo stoi przy nagrobku kobieta, tak samo w bezruchu, siedzi na ławce Szmul.

Od rogu cmentarza, gdzie stare nagrobki w puszystych jarmużkach pochylają się nisko przed słońcem, dochodzi do niego cieniutki, drżący płacz. Cicha serdeczna skarga nieszczęśliwego człowieka, który przyszedł na cmentarz, żeby wylać swój sierocy ból przed bliską zaśnieżoną kamienną płytą. Do delikatnego, drżącego płaczu przykleja się natychmiast starczy ochryply skrzeczący głos i delikatny płacz zostaje zagłuszony. Ale wysiła się, żeby cały przybytek zmarłych go usłyszał. Ochryply, skrzeczący głos nie daje za wygraną. Nabiera mocy i zwycięża.

Delikatny płacz zamienia się w rozpaczliwy, histeryczny, nieustający pisk. Wtedy gruby ochryply głos przechodzi w jedno głośnie skrzeczenie. I tak podnoszą się i opadają rów-

nocześnie ostro piszczące i głośno skrzeczące głosy. Przebijają zaśnieżone płyty, żeby przybytek zmarłych je usłyszał i zrozumiał.

Kobieta przy czerwonej macewie zwiesza głowę między ramiona. Zgina się jakby pod ciężarem swego czarnego kapelusza i szybkim krokiem odchodzi. Wtedy Szmul wstaje z ławki i wychodzi jej naprzeciw. Pozdrawiają się bez słów i razem opuszczają cmentarz.

Odzywa się Szmul:

— Przyszedłem, żeby się pożegnać z Dawidem. Dziś jeszcze wyjeżdżam.

Estera przyjmuje jego słowa z bladym, bolesnym uśmiechem na twarzy.

— Wszyscy wyjeżdżają... wszyscy się rozjeżdżają...

Błysk pociechy rozświetla mu oczy. Zabłąkany promień słońca, które zaszło.

„Może Estera pojedzie razem z nim?”.

Ale Szmul dostrzega blady bezsilny uśmiech na jej twarzy i wydaje mu się, że omija jego wzrok — myślami jest teraz daleko. Zadaje sobie w duchu pytanie:

— Jak to jest? Czy człowiek może wstydzić się swego nieszczęścia?

I jakby sam był szczęśliwy, przestaje zajmować się własnym nieszczęsnym „ja”. Nagle nabrał odwagi na widok wstydlivosti Estery.

— Słyszysz, Estero? Wyjeżdżam. Może byś także wyjechała?

Estera patrzy na niego wnikliwie. Nagle odwaga Szmula zaczyna topnieć jak śnieg dookoła. I przed jego oczami staje własne nieszczęście.

— Jak możesz coś podobnego mówić? Chcesz, żebym ja także wyjechała? Chcesz, żebym zostawiła go samego? — ręką wskazała na czerwony nagrobek. — Myślisz, że umarły nie może być samotny?

Jej słowa brzmią jak gorzki wyrzut.

— Postawiliśmy mu nagrobek i koniec. Koniec z towarzyszami... Wszyscy wyjeżdżają. Zaczynają nowe życie... A ja...

Szli dalej, nie odzywając się do siebie. Po dłuższej dopiero chwili ostatnie słowa Estery

odbiły się echem w jego sercu. „Gdyby chociaż pozostała z dzieckiem...”.

Patrzy na nią. Rumieniec oblewa jej twarz. Widać, że sama przejęła się swoimi słowami.

Na tle iglastych drzew widać, jak gęste śnieżynki przędą swoją sieć. Cała dolina tonie we mgle.

Trzy stare kobiety owinięte w łachmany, trzy cmentarne płaczki wyłaniają się z bocznej alei. Nogi w krzywych, męskich buciorach.

Na ich widok Estera raptownie zatrzymuje się. Dłonią dotyka ręki Szmula. Przekazuje mu swój nagły strach.

Trzy stare kobiety przyśpieszają kroku. Kroczą jak wrony i szybko znikają z pola widzenia. Śnieg białą tkaniną zasnuł pamięć po nich. Szmul myśli, że śnieg przedzie także zasłonę nad ostatnim rozdziałem jego smutnej młodości.

*

Oparty o biurko, które stoi w wąskim czworokącie ścian, siedzi człowiek i rękami kołysze

głowę. Przed nim leży otwarty list, obok rozsypane koperty jakiejś firmy. Na biurku — ustawione w rząd buty. Pojedyncze, brązowe buty. Buty — wzorce z szerokimi nosami. Za butami schowała się fotografia Pereca. Na bibliotecznej szafce, obok biurka, stoją czarne buty — także wzorce o błyszczących noskach jak rybie łuski. W bibliotece, za masywnymi, szlifowanymi szybami, na rozrzuconych w nieładzie książkach paradytuje para „reniferów” z delikatnie wygładzonymi cholewkami i z otwartą rozpustnie kwiecistą podszewką. Sznurowała, jakby na żywioł puszczona, zdają się mówić „popatrz na nas! Weź nas!”.

Człowiek przy biurku nadal kołysze rękami głowę, a z drugiego pokoju, z jadalni, dochodzą tu jakieś głosy. Głosy jego żony i córeczki. Oba tchną spokojem i pewnością. Prawdziwe kobiece głosy. Dziecko bowiem stara się naśladować mowę matki. Stara się powtarzać jej słowa i intonację, z jaką je wypowiada. Mężczyzna przy biurku stwierdza, że dziecku to się udaje, że brzmią wystarczająco fałszywie. Stwierdziw-

szy to myśli sobie: „Im jest dobrze. Wiedzą, czego chcą”.

Dobrze i pewnie urządziły się przy szerokim stole jadalnym, który teraz, po obiedzie przykryty jest haftowaną niebieską serwetą. Historyczną serwetą. Przedmiotem dumy jego dzielnej żony. W ciągu osiemnastu miesięcy w chwilach wolnych od pracy krótkie bielutkie paluszki Estery wyczarowywały piękny haft. Błyszczały wówczas w świetle elektrycznej lampy jej wypielegnowane paznokcie. Popielata ufryzowana głowa tak pilnie pochylała się nad wykonywaną pracą, że z trudnością można było z przodu dojrzeć czubek jej nosa i z tyłu różowy karczek, który aż prosił się o pocałunek.

Teraz siedzą razem, mama i córeczka. Siedzą i zajadają się czekoladkami. Mają poczucie dobrze przeżytego dnia. Pijąc herbatę dzwonią łyżeczkami, które raz po raz uderzają w błyszczące szklanki.

Za nimi stoi, niczym obronny mur, duży kredens, istny gmach, cały w rzeźbach. Przez jego szlifowane szybki widać kryształowe i por-

celanowe cacuszka, których nie dałoby się żadną miarą zapakować, ba, nawet ruszyć z miejsca. Matka i córka rozmawiają z sobą grzecznie i spokojnie. Obie wiedzą, czego chcą, czego im potrzeba. Dzisiaj na przykład chcą kupić guziki z perłowej masy. O tym właśnie rozmawiają.

A Szmul? Czy on, siedzący przy biurku zawalonym firmowymi kopertami, na których widnieje bucik niczym herb, wie, czego chce i czego potrzebuje? Siedzi przy biurku w złym nastroju, w stanie niepewności, a być może nawet depresji. Nie jest nawet pewien, czy biurko jest jego własnością. Czy czasem nie przywłaszczył sobie cudzego dobra.

I komu wpadło do głowy ruszyć z miejsca jego rzeźbiony kredens ze szklanymi drobiazgami? Esterze.

Oto leży przed nim jej otwarty list. Przyjechała. Jest gdzieś w pobliżu. Zamieszkała w letnim pensjonacie. Błaga go, żeby do niej przyszedł.

Szmul Rabinowicz kołysze nadal głowę w rękach i raptem wybucha płaczem.

Z oczu leją mu się ciurkiem dawno zapomniane łzy. Od lat nie płakał. Jakby nagle otworzył starą butelkę wina.

Słyszysz, jak żona w drugim pokoju mówi do służącej:

— Pan pracuje w swoim gabinecie. Zapomniał o kompocie. Zapytaj go, czy chce, żeby mu go podano do gabinetu. Kompot jest z rabarbaru, za którym mąż przepada.

Ach ten kompot! Codziennie kompot z rabarbaru! Szmul ma go już po dziurki od nosa, a żona nadal jest przekonana, że on go lubi.

Żona jednak także ma swoją rację, bo mąż codziennie wcina rabarbarowy kompot. Nie zdarzyło się, żeby kiedykolwiek cisnął kompotierką o podłogę. Skąd więc miałyby wiedzieć, że nie lubi rabarbaru?

*

Po lewej i prawej stronie tańczą las i pole. Tańczą w rytmie kadryla, aż rozhukane stadko wron, jedna do drugiej niby przywiązane niewidocznym drutem, doznaje zawrotu głó-

wy w powietrzu. Szukając trwałego gruntu pod nogami, wrony lądują na surowym, czerwonym rozoranym polu, blisko konika ciągnącego pług. Koń a właściwie konik z trudem, ale rytmicznie i w sposób przemyślany kołysze łbem. Drugi swobodnie biega po zaoranym polu. Szyję pochylił w dół. Podskakuje na tylnych nogach. Chce w ten sposób odreagować łoskot pędzącego na pobliskich szynach, pociągu.

Na ostrym raptownym zakręcie wagon przechylił się i Szmul Rabinowicz zderzył się z ramieniem drzemiącej obok niego chłopki. Pomyślał, że tamte dwa konie, ten ciągnący pług i ten, który swobodnie hasa po polu, pokłóciły się z powodu rozoranego pola jego serca.

A on jest przecież ojcem, mężem i kupcem w dodatku. Rzecz nie do śmiechu. „Renifery” żony na książkach Kautskiego. Fotografia Pereca schowana za butami. Jego imię i nazwisko nie może być wydrukowane bez znaku bucika, na boku.

Buty depczą po nim, po jego życiu. Buty z całego świata. Także te, w których jeszcze bardzo długo nie będą tkwiły nogi. Które są jeszcze czystą abstrakcją.

Nieprawda, że dopiero teraz sobie to uzmysłowił. Czuł to od długiego czasu. Zawsze o tym pamiętał, ale nie przywiązywał do tego wagi. Tak jak nie przywiązuje wagi do nazwy czy kierunku tej, czy tamtej ulicy, przez którą przechodzi, żeby trafić do domu na obiad.

Ileż to razy zatrzymywał się na rogu tych ulic niby dla przetarcia okularów. Głównie jednak po to, żeby zadawać sobie pytanie:

— Jak mi radzisz, Szmulu, iść tą, czy tamtą ulicą?

Pytanemu obie ulice są w jednakowym stopniu obojętne. Jednakowo długie i jednakowo obojętne są mu obie równoległe ulice. I Szmul nie może sobie samemu udzielić rady. I idąc jedną z tych ulic, czuje, że druga połowa jego „ja” wlecze się drugą ulicą. I obu połowom Szmula nie jest dobrze.

Kiedy wagon wskutek nagłego skrętu pociągu zatrząsł się, Szmul zgodnie ze starym swoim nawykiem zaraz dotknął łokciem kieszeni za pazuchą, w której trzymał portfel wypchany wekslami i rachunkami. Przypomniawszy sobie leżący w nim list od Estery i po raz pierwszy uniósł głowę spod góry butów. Ach, zaczerpnąć przez otwarte okno wagonu jak najwięcej powietrza. Od jego nadmiaru zakręciło mu się w głowie i poczuł ucisk pod sercem.

Przed oczami migają mu, jakby zawieszony między niebem i ziemią, stada wron. Spośród nich wyłaniają się jakieś obce, nieznane twarze. Żydzi ogoleni i Żydzi z brodami. Żydzi w kaszkietach i Żydzi w kapeluszach. Wymachują laskami w powietrzu i wyciągają z ust taśmy z cyframi. Panie Rabinowicz, jucht! Reb Szmulu, skóra chromowa! I giemza¹⁸... buty szyte i klejone... Do wszystkich diabłów!

W środku pola kręci się jego rzeźbiony kredens z otwartymi drzwiczkami. Zlitujcie się! Z otwartych drzwiczek wylatują szklane, por-

¹⁸*giemza* — zamsz. [przypis edytorski]

celanowe cudeńka — odłamki roztrzaskanej tęczy. I huk! I trzask! Rozbijają się o kamienie, o drzewa, o słupy telegraficzne.

Szumul wcale nie odczuwa żalu. Nic go nie to obchodzi. List od Estery przełożył do drugiej kieszeni. Żeby nie było profanacji świętości.

Oj, ty przeklęty, kupiecki łokciu! Czemu tak nerwowo wyciągasz się ku kieszeni za pazuchą? Jakby cały świat składał się ze złodziei. Przecież ta siedząca obok ciebie chłopka jest uczciwą kobietą. Dlaczego patrzysz na nią podejrzliwym okiem? Przecież ona w tej czerwonej chustce na głowie drzemie niewinna jak kwoka. I drzemiąc trzyma mocno w spracowanych rękach swój wytarty koszyk. Widocznie wystrzega się złodziei. Pilnujemy się nawzajem. Ileż to śmiesznych rzeczy jest na tym świecie!

Pociąg zwalnia bieg i gwizdze mu do ucha, że wnet zobaczy Esterę. I gorąca, aż parząca krew napływa mu do serca. I czuje, jak słabną mu ręce i nogi. Wątpi, czy starczy mu odwagi, żeby wysiąść z pociągu. Po co rozdrapywać

stare rany? Tyle lat minęło! Jak będzie wyglądał w jej oczach? I jaką ona się okaże dla niego?

Stara chłopka, usłyszawszy gwizd lokomotywy, zerwała się z miejsca. Najpierw uchwyciła się Szmula, potem ściany. Pograżona jeszcze w półśnie, ledwo trzyma się na nogach. Wygląda podejrzliwie przez okno, czy aby nie przejechała stacji, na której miała wysiąść.

Niepokój Szmula potęguje się na widok bezradnego zamieszania, w jaki wpadła chłopka. Już nie potrafi się uwolnić od tego nastroju. Tkwi w nim jak w ciasnym ubraniu.

...I nawet wtedy, kiedy siedzi z Esterą na małej chłopskiej werandzie i jakieś zupełnie obce psisko obwąchuje przyjaźnie jego kolana, Szmula wciąż nie jest pewny, czy wszystko jest w porządku. Patrzy w twarz Estery i nie przestaje się niepokoić, czy czasem nie pomylił się w czymś, czy czegoś tam po drodze nie zapomniał. Wydaje mu się nawet, że cel jego podróży pozostał gdzieś na uboczu.

Uwalnia się od tego niepokoju, kiedy patrząc na ramiona Estery widzi, że drżą, że stały

się szersze i bardziej okrągłe. Ale zauważyła też, że przez cały czas Estera niczym przestraszone dziecko trzyma głowę wtuloną w ramiona. Dostrzega też, że jej twarz również się zaokrągliła i przybladła. Zatraciła dawną przezroczywą cienistość. Jednak cień „kawałka” nocy, tak jak dawniej wisi pod jej oczami. Dawniej oczy jej były jakoś większe. Dlatego widocznie skóra pod nimi jest nieco zmarszczona i czerwona-wa jak roślina, która nigdy nie widziała słońca. Poznaje ją tylko po uśmiechu, ale natychmiast żąda od swojej pamięci, żeby mu powiedziała, kiedy w tym uśmiechu widział tak przerażone pytanie. Gdyby się tak gładko nie czesała, gdyby nosiła dawne swoje powabne długie loki, które przydawały jej rabinackiego wyglądu... Estera, Esterka...

Czy mają zapytać, co porabia? Zbyt długo już milczy. Zbyt długo grzebie w pamięci. Czuje to wyraźnie. Wkrótce w tym milczeniu zostanie pogrzebany, nie zostawiwszy po sobie śladu pamięci.

— Estero...

Czy to on wybąknął to imię, czy tylko mu się zdawało? Ona nie daje mu dojść do słowa:
— Powiedz Szmulu, czy zarzucasz mi grzech?
— Jaki grzech? O czym ty mówisz?

Szmul napina zmysły i oko jego trzeźwieje. Ostatni poszum ulotnił mu się z głowy. Tak, jak nagle odchodzi pociąg. Co za histeryczny i zuchwały ruch wykonała Estera rękami złożonymi na piersi?

Pod szarym materiałem sukni uwydatniają się jej piersi i pełny brzuch. Na ten widok uparte nogi Szmula wykonują poślizg na piaszczystej podłodze. Przestraszony pies w mig odskakuje. Owszem, Szmul może ją zapytać, kiedy wyszła za mąż i kiedy spodziewa się dziecka. Może spytać, ale może też milczeć, albowiem koniec końców jest mu to obojętne. Tak samo obojętne, jak obojętne są mu owe obie równoległe ulice, które prowadzą od sklepu z obuwiem do domu.

Zdaje sobie sprawę, iż gliniana maska, jaką sobie nałożył na twarz, jest nie do zdjęcia. Dla-

tego nie obchodzą go ciche skargi Estery na jej puste życie i tęsknotę za dzieckiem.

Bardziej obchodzi go dochodzący z daleka gwizd pociągu. Boi się spóźnić na coś ważnego w mieście. ...Co? Właśnie odszedł? Co on, Szmul, robi na stacji? Do odjazdu pociągu została jeszcze cała godzina. Tymczasem, może sobie posiedzieć i patrzeć na górę, gdzie od zachodzącego słońca płomienieje jakieś okienko. A może płoną tam świece? Miał kiedyś matkę, która odmawiała błogosławieństwo nad świecami.

— Mama.

Pójdzie, piaszczystą drogą do tego płomieniejącego okienka na górze. Pójdzie do matki, która błogosławi tam świece. Może znajdzie na tej piaszczystej drodze którąś ze swoich zabawek, które w dzieciństwie zgubił?

Idzie i nie znajduje. Przed domkiem na górze siedzą na przyzbie trzy stare kobiety, które robią na drutach. Okienko jest ślepe. W domku nie ma matki błogosławiącej świece.

*

Już od wczesnego poranka siedzi Szmul na małej chłopskiej werandzie naprzeciw zamkniętych drzwi i niecierpliwie czeka na Esterę. Spokój panuje w nim i wokół niego.

Kiedy w Bożą noc chodzi się po mieście, na ulicy, w mieście, gdzie most i brzeg wpatrują się długimi ogniami w otchłań, kiedy słyszy się, jak zamiera gwar miasta i na świecie czuwają już tylko „ja” i zegar na ratuszu, kiedy powoli i stopniowo zaczyna znowu dochodzić do uszu ozywający zgiełk miasta i odnajduje się własne „ja” na tym samym miejscu, przed czarną siecią mostową zarzuconą na wybladłe niebo — wtedy w ciągu jednej Bożej nocy można zmadrzeć. Tylko kilka siwych włosów przybywa na głowie.

— Chodź tu psie! Jak cię zwa?

Duży pudel z sierścią w kolorze oksydowanego srebra stoi przed werandą i połyskliwym wzrokiem patrzy na Szmula przez rozkudłaczo-

ne brwi. Szmul przypomina sobie, że już wczoraj widział tego psa.

Pudel chciał, żeby zwrócono na niego uwagę; wskoczył na werandę i zatrzymał się przy Szmulu. Z chłopską gracją stanął na tylnych łapach i oparł na kolanach Szmuła przednie szerokie, owłosione łapy. Ma wygląd starego, nie ogolonego żołnierza mikołajewskiego, z którego oczu, pod siwymi brwiami, wyziera wierność i oddanie. Poglaskał Szmul pudła po kudłatej sierści.

— Czyj ty jesteś, Boże stworzenie?

— To mój pies. Nazywa się Kurta.

W drzwiach, które otworzyły się bezszelstnie, stoi Estera. Ma na sobie jasny poranny szlafroczek — kimono. Na strudzonej twarzy błąka się uśmiech. Pod zapłakanymi oczami wisi noc.

Pies tak raptownie rzuca się do jej nóg, że słychać trzask jego kości po zderzeniu z podłogą.

Szmul pokornie oczekuje od Estery wybaczenia za wczorajszą ucieczkę. Czeka na chwilę,

kiedy poda mu rękę. I wreszcie jej mała, smagła dłoń wyslizguje się z rękawa japońskiego kimona. Szmul łaknąco chwyta ją i przyciska do swego serca. Jest przy niej już tak blisko, że czuje ciepło jej ciała. Z przyjemnością czuje, jak jej palce rozczesują jego twarde włosy. Głaszcze go tak, jak on przed chwilą pieścił jej psa.

— Myślałam, że już więcej do mnie nie przyjdiesz.

Płaczliwy dźwięk tych słów wywołuje ciarki na ciele Szmula. Stojąc z głową pochyloną ku jej okrągłemu ciału, wyczuwa przez cienki materiał kimona ciepłą jego nagość.

Boi się Szmul, żeby ciężar jego głowy nie wyrządził krzywdy Esterze. Chce cofnąć głowę, ale ona trzyma ją mocno w swoich ciepłych ramionach.

— Już siwiejesz, Szmulku, siwiejesz...

— O matko moja!

Estera podnosi jego głowę i przygląda mu się szeroko otwartymi oczami, z uśmiechem na twarzy. Twardymi, cienkimi wargami nieprzy-

wykłymi do całowania, wyciska z niego łzy, które nagle polały mu się z oczu.

Długo przyglądają się sobie nawzajem, po czym raptem wybuchają śmiechem.

Promiennym, dziecinnym śmiechem, który wszystkie koszmarne sny obraca ku dobremu.

*

— Chodź Szmulu, pokażę ci coś pięknego!

— Nie chodź Estero po mokrej łące!

— Nic mi nie będzie!

I na matowosrebrzystej łące jej stopy wytyczają świeżą zieloną ścieżkę. Szmul razem z Kurtą podążają za nią. Ze strachem patrzy, jak ożywiona i rześka lekko zbiega do rzeczki, jak przebiera nogami po rozkołysanych deskach kładki.

— Ostrożnie, Esterko!

Ona zaś umyślnie rozhuśtuje cienkie deski kładki wiszącej nad złocistą wodą. Odwraca ku niemu głowę i śmieje się:

— Chodź tu, Szmuliku! Chodź tu, strachajło!

Już są na drugim brzegu. Trzymają się za ręce i śmieją z Kurty, która z narażeniem życia odważyła się wskoczyć do rzeczki. Pływa, parska i wyłazi na piaszczysty brzeg. Stała się jakaś chuda, bardziej przylizana i przyczesana, ale broda i wąsy wyglądają jak z drutu. Strząsa z siebie wodę. Widać, że jest niezadowolona, bo się z niej śmieją.

— A teraz naprzód! — komenderuje Estera i zaczyna biec.

Szmula, gwałtowna zwawość Estery napawa nieco strachem, ale boi się ją powstrzymać.

W cieniu góry uśmiechał się świat stokrottek zroszonych zastygłymi kroplami słońca. Świat włożył pijane okulary pachnące słodko rumiankiem. Gdzieś w pobliżu rozległ się pisk i śmiech. Nagi chłopak i naga dziewczyna wyskoczyli zza krzaków. Trzymają się za ręce i śmieją do rozpuku. Unoszą swoje błyszczące roztańczone ciała do słonecznego piaszczystego brzegu, do barwnej sterty zrzuconych ubrań.

Esterę opanowało nagle zmęczenie. Szmul ostrożnie wziął ją w ramiona i przytulił. Chciałby swoimi długimi rękami z szeroko rozpostartymi palcami całą przykryć. Zasłonić ją przed słodkim powietrzem nasiąkniętym wilgocią. Osłonić przed jej własnym zdenerwowaniem i nagłym zmęczeniem. Tuląc ją do siebie, ma świadomość, że trzyma w ramionach sens swojego całego przeoranego życia, zaczarowany kwiatek, dla którego pewnej nocy świętojańskiej wystawił na ryzyko swoje życie na tym i na tamym świecie.

W tej jednej chwili uprzytomnił sobie, że wisi nad nim szczęście, o którym przestał marzyć nawet we śnie. To szczęście niespodziewanie znalazło się teraz w jego ramionach. Jest ciężkie i trudno je utrzymać.

Uczucie słabości, jakiego doznaje, napawa go strachem. Na próżno zaklina swoje ramiona, żeby były mocne jak żelazo. Zaczyna drzeć. Drży jak zbyt naciągnięty łańcuch.

Mała bezsilna, bezradna Estera o podłużnej jak u rabina twarzy patrzy na niego. Jej

oczy otwierają się coraz szerzej i szerzej. Wy-
ziera z nich strach. Dziecięcy strach.

Człowieku, co powiesz, kiedy twoje szczę-
ście, szukając obrony u ciebie, zaczyna nagle
głośno o nią wołać? Kiedy to szczęście zależne
jest od twojej odwagi i siły? Kiedy powinieneś
zostać Bogiem, żeby móc je utrzymać?

Uśmiech Estery już zastygł. Uśmiech czło-
wieka, który chciał prosić o przebaczenie i na-
głe zaniemówił. Tylko obnażone zęby perlą się
bielą w jej ustach.

On sam jakby skamieniał w spokoju. Wie-
dział, że nie utrzyma Estery, gdyż ziemia wyry-
wa ją z jego rąk. Dlatego też pozwala jej powoli
i spokojnie z nich się wyślizgnąć.

*

Starcza, chuda ręka rozdzieliła splecione z so-
bą ręce Szmula i Estery. Była tak ciemna, że
przy niej smagła ręka Estery zdawała się zielon-
kawa, zaś dłoń Szmula jak wyciągnięta z wap-
na.

Estera opadła na prześcieradło.

— Młodzieńcze, puść ją. Posłuchaj starej kobiety. Puść ją, tę biedną ptaszynę!

Szmul posłuchał staruchy i z szacunkiem wycofał się do kąta. Białe łóżko Estery zrobiło się szare. Po jednej jego stronie stały trzy ciemne staruszki, po drugiej zaś stronie trzy garbate cienie odbite na ścianie. Estera jest teraz w ich władzy. Staruszki i cienie liczą swoimi ciemnymi oczami perłowe zęby w niemych ustach Estery.

Jedna, jedyna, topniejąca świeca na stole rzuca żółte światło. Mruga swym płomieniem do pustego kąta. Do mokrego okna przykleiła się swoim szarym ciałem noc.

Szmul widzi, jak z ciemnoróżowawej kuchni kłębi się para. Słyszy, jak z zewnątrz pies dobija się do drzwi. Drapiąc je pazurami, wydobywa z siebie płacz.

Przez głowę Szmula przebiega na wpół martwa myśl: trzeba wpuścić psa.

Staruszka odnajduje zaszytego w kącie Szmuła.

— Wyjdź młodzieńcze. Posłuchaj mnie. Nie wypada.

Skąd ta ciemna świąteczność w starym, łamiącym się głosie? Staruszka bierze go za rękę i prowadzi. Skąd i u takiej staruchy taka moc rozkazywania i jak to się stało, że stał się taki posłuszny? Kobieta prowadzi go przez ciemną kuchnię. Słyszy, jak ogień trzaska pod płytą. Słyszy, jak woda kipi w garnkach. I oczami wyobraźni widzi jakiś niesamowity obiad.

I nagle jakaś blacha warknęła na niego i serce podeszło mu pod gardło. W środku kuchni natknął się na olbrzymie naczynie, które nigdy tam nie stało.

Do tego naczynia upadło jego serce i w nagłym strachu utonęło. A staruszka trzyma go nadal za rękę.

Przez otwarte drzwi wpada, jak wichur Kurta. Niczym kłębek nici, wywija się spod nóg Szmula, nim drzwi zdążono zamknąć. Oboje, Szmul i Kurta pozostają na zewnątrz. Trzymają się dźwięku zapadłej klamki.

Zgoda, będzie już posłuszny wszystkim. Staruszkom, Kurcie i ciemnym drzewom. Wszystkie one są od niego, Szmula, silniejsze i mądrzejsze. Siła i wola opuszczają go. Przeciekają po prostu przez palce. Jest skazany, żeby uczestniczyć w ciemnym misterium wykonania wyroku. Jest najmłodszym kapłanem tego misterium. Musi być posłuszny wszystkim.

Z podziwem i szacunkiem patrzy na to, co Kurta wyczynia na glinianej górcie, w środku podwórza. Pies „oparł” się pyskiem o zamglony księżyc i podkurczył tylne łapy.

Ni to siedzi, ni stoi. Sierść na grzbiecie mu się zmierzwiła. Nagle podniósł jeszcze wyżej pysk i posłał w kierunku księżycy długi, stary, przedpotopowy, spleśniały skowyt, który zdaje się nie mieć końca.

Płacz psa przenika ciało Szmula. Ze strachu chowa się pod drzewem. Wtem czuje, że drzewo go odpycha. Chwyta się pnia, obejmując go rękami. Czyni to z rozpaczą, z jaką skazaniec chwyta się nóg kata.

— Oj, dlaczego? Powiedz, dlaczego?

I nie wypuszcza już pnia z rąk. Kiedy drzewo zaczyna się kołysać, kołysze się wraz z nim. Kołysze się i skrzypi. Szeptem wyjawia mu jakiś sekret. Chce go ukoić. Naraz wszystko zamiera w Szmulu trzymającym się pnia. Miłosierdzie drzewa wyjawia mu, że Estera nie żyje. Widzi, że okno w kuchni wyłobilo w gąszczu nocy żółtą ranę. W mig oprzytomniał. Znowu usłyszał żałobny skowyt psa na podwórzu. Szybko podbiega do kuchennego okna ze spóźnioną nadzieją. Ziemia pod jego nogami huśta się jak pokład statku płynącego po morzu. Oświetlone okno kuchenne na przemian zbliżając się i oddalając, maluje złote koła w otaczających ciemnościach.

Szulowi udaje się uchwycić „fruwające” okno i przykleić swoją twarz do szyby. Jego nogi wrastają w ziemię, a z niej wyłazą w górę pająki z kłującymi, owłosionymi nóżkami, które zwawo zaczynają posuwać się po jego nogach i plecach.

W kuchni trzy staruszki i ich cienie zwarły się w jedną, ciemną „szóstkę” wokół blaszanej

wysokiej wanny i odprawiają czary w wijącej się nad nią parze. Jedna wstała ze swego miejsca, podeszła do kuchennej płyty i wzięła garnek z kipiącą wodą.

Szumal spojrział na miejsce, skąd staruszka wstała i przed jego oczami ukazała się twarz Estery. Jej biała twarz skierowana jest w jego stronę. Wyciągają się do niej ciemne, chude ręce, płonące twarze osadzone na cienkich szyjach. Płonące, chude twarze z białymi pasmami włosów na głowach. Żądają czegoś od zastygłej w niemocie Estery. Ich słowa skierowane w głąb jej martwoty zawierają groźby.

Nagle ręce Szumala także bieleją i martwieją jak twarz Estery. Ogarnia go niepoahamowane pragnienie wybicia szyby. Pająki, które czuje na ciele, docierają do głowy, gdzie włosy w mig zamieniają się w żywe pająki o kłujących nóżkach.

Staruszka zdjęła z płyty kuchennej garnek i powoli wlewa błyszczący ukrop do wanny. Estera kołysze się w wannie. Zanurza się w parze i wynurza z niej. Jest teraz różowa.

Jej zęby się zacisnęły i kąciki otwartych ust opadły.

Błyszczący ukrop z garnka leje się na mózg Szmula. Czuje, że jego twarz różowieje, że zęby mu się zaciskają i kąciki warg opadają. Nie potrafi wydobyć z siebie krzyku.

Staruszki przysuwają się do Estery z wyciągniętymi rękami i szyjami. Krzykliwie białe pasma włosów wystają spod ich chust obwiązujących głowy. I naraz wszystkie zaczynają krzyczeć. Są wzburzone. Napierają na nią. I Szmul nie widzi już niczego więcej w wannie, prócz czerwonej gwiazdy. Pomarszczonej grubymi niebieskimi żyłami czerwonej gwiazdy. Po chwili gwiazda znika. Wypełniona po brzegi wanna zaczyna wylewać wodę. Starsze kobiety zastygają w napięciu. Szmul odczuwa ucisk w sercu. Czeka na cud. Na czole pojawiły mu się niebieskie żyły. Nieruchomo trwa w oczekiwaniu. Słyszy klaśnięcie w dłonie, jakieś mamrotanie i westchnienie ulgi. Ucisk w sercu Szmula ustał. Dookoła zapanowała cisza. Tylko ten ukrop leje się jeszcze na mózg Szmula. Nadal

patrzy na kobiety, które trzymają ręce w wannie. Ale już nie oczekuje cudu. I kiedy dwie stare ręce wyciągają z dna coś małego i zakrwawionego, wie już wszystko: Jest to martwa, gwałtem wydobyta resztką nie donoszonej tęsknoty Estery.

*

Oto historia o człowieku, który pewnej ciemnej nocy siedząc nad czarną rzeczką nagle poczuł, że jego sterczące nad ziemią nogi są głupie. Długo siedział, aż ziemia pod nim się rozpląkała i chmury spuściły na nią ciszę ze swoich ramion.

Podniósł się człowiek ze swego miejsca i ruszył w kierunku samotnego, majaczącego w równinnej przestrzeni między czernią i szarością, płomyka. Tym płomykiem była stacja kolejowa.

Tam zatrzymał się i patrząc w ciemną szarość zobaczył, jak otworzyła dwa wybałuszone świecidła. Zobaczył, jak czarna wiedźma pochylona ku ziemi ucieka przed swoimi wroga-

mi. Odstłoniły się czerwonawe chmury i wgrzy-
zły w wiedźmę, w jej czarny sterczący w gó-
rę warkocz. Ze wszystkich stron posypał się
grad czerwonych, ognistych much. Wiedźma
doleciała do stacji na świecących zamglonych,
lotnych piórach i powstrzymała swój nierówny
oddech.

Wtedy dopiero człowiek przypomniał so-
bie psa i zaczął go szukać oczami w nagle obu-
dzonej odstłoniętej nocy. Dostrzegł go między
szynami, za kołami, pod otwartym, ognistym
brzuchem lokomotywy. Pies kręcił się wokół
swego ogona tańcząc na trzech nogach. Oto
kręci się już połową łba i nie ma czym sko-
wyczeć. Oto wstrząsają nim drgawki. Oto le-
ży poplamionym brzuchem do góry i jego łapy
wyglądają jak szczapy uniesione w powietrzu.

*

Przechadza ci się człowiek pod obcymi pa-
rasolami, pod różowym deszczem, w świetle
„Iluzjonu”. Bez przerwy rozgląda się dookoła,
czy w pobliżu nie ma ludzkiej cizby, ludzkiej

ściany. Od tego miejsca, gdzie ludzka ściana staje się rzadsza, od samego centrum miasta, nadciąga w jego stronę ponury strach.

Daje się ponieść strumieniowi ludzi i wpada do „Iluzjonu”. Siada na krześle opancerzony swoim mokrym płaszczem z wysoko postawionym kołnierzem.

Rękawy ma zakasane, oczy przymknięte. Kołysze się na morzu panującego tu gwaru i szumu. Jest zadowolony z głośnego stukania lasek w podłogę. Nagle robi się cicho. Otwiera oczy: ciemno. Delikatnym dudnieniem, jakby dalekim szumem wirujących śmigieł budzi się martwy niebieski świat cieni w ciasnym kwadracie. A dookoła — ciemny las zastygłych, człekodrzew. Muzyka nie zdążyła w porę i człowiekowi na środku sali robi się niedobrze, kiedy nagle i niespodziewanie zaczęły do niego przemawiać skrzypce.

Skrzypce mają delikatne, kobiece i bezlitosne ręce. Przenikają przez jego „pancerny” płaszcz i wdzierają się do pustego serca. Jedne są młodsze i bardziej namiętne. Wykonują

swoje zadanie z jakąś pijacką zapamiętałością. Grają jakby całowały. Drugie skrzypce odzywają się spokojnie, „wszechwiedząco”. Niebezpiecznie podniecający urok tkwi w delikatnej pewności ich cięcia. Trzymają się te skrzypce, dwie piękne siostry, za ręce i razem wykonują swoją bezbożną robotę.

Człowiek załamał swoje puste serce obie-
ma rękami i ucieka. Dochodzi do wniosku, że
pies był mądrzejszy od niego, że powinien być
u niego się uczyć. Stoi w deszczu, na środku
różowej błyszczącej ulicy i patrzy. Jest ciekaw,
jaki tramwaj najwcześniej prześlizgnie się po
nim. Nagle coś uderzyło go w ramię. To koń
pochylił nad nim łeb. Chce mu coś powiedzieć
w swoim języku, ale nie zdąża, bo człowiek zo-
staje wciśnięty w czyjeś ramiona. Ktoś za bar-
dzo o niego się troszczy.

I znowu jasno oświetlona sala. Przy stoli-
kach siedzą przywarci do siebie ludzie. Ramio-
na, które go obejmują, powoli sadzają go na
miękkim krześle przy stoliku.

— Przejdzie, przeminie, panie Rabinowicz. Uwierz mi pan. Strach pana obleciał. Kiedyś i ja omal nie zostałem przejechany.

Kim jest ten człowiek z niebieskimi policzkami, grubymi węsami, o trójkątnym płomyku w oczach, w twardym kapeluszu na głowie? Dlaczego tak troszczy się o mnie?

— Niech pan wypije swoją kawę. Oto ciastko! Ze świecą w ręku szukałem pana.

Człowiek ten jest mu jakby znany.

Ale dlaczego w jego oczach świeci trójkątny płomyk? Przechyla się przez stolik do Szmuła i z zachwytem przywiera do jego ucha:

— Panie Rabinowicz, tylko dwa słowa: W tych dniach otrzymałem z zagranicy partię juchtu¹⁹... powiadam panu, towar *prima sort*...

Węsacz całuje czubki swoich grubych palców...

SWATY W PARCZEWIE

Na prowincji to tak, jak na strychu u antykwarusza. Nie należy oddzielać tego, co piękne,

¹⁹*jucht* — rodzaj bydlęcej skóry. [przypis edytorski]

od tego, co pokryte jest pleśnią. Jedno wrosło w drugie. I w tym tkwi cały urok.

W małym alkierzyku siedzi Rachelka. Z goryczą mnie w palcach koronkowy fartuszek, jedyną jej oznakę szabesu²⁰. Nie może się zdecydować: wejść czy nie wejść do dużej izby, która w dni powszednie służy wujowi za warsztat, a w sobotę zamienia się w świąteczny pokój jadalny.

Siedzą tam teraz goście. Przyjechali mechutanowie²¹ z narzeczonym do wuja Berla i ciotki Szpryncy. Siedzą przy stole, łuskają orzeszki z Erec Israel²² i rozmawiają o posagu. Chodzi o kilkaset karbowańców, które wuj Berl trzyma głęboko schowane za pazuchą.

Przyszły narzeczony zdążył już obejrzeć proponowany „zielony towar”, czyli pannę Genendl, córkę wuja Berla i szepnąć do owłosionego ucha swego ojczulka:

²⁰*szabes* (jid.) — sobota, siódmy dzień tygodnia obchodzony jako święto. [przypis edytorski]

²¹*mechutanowie* (hebr.) — rodzice konkurenta, kumowie; tu: swaci. [przypis tłumacza]

²²*Erec Israel* (hebr.) — Ziemia Izraela, Ziemia Święta. [przypis tłumacza]

— Nie zaszkodzi, tato, jeśli ten Żyd dołoży setkę.

A wuj Berl nie śpieszy się. Słowa cedzi powoli, jakby je ze smoły wyciągał. Spokojnie, jakby nigdy nic, wyłuskuje orzeszki z łupin i powoli podnosi je do ust... Na upartym karku zmarszczki ułożyły mu się w kształcie żydowskich kwadratowych liter, wyrażających taką treść:

— Uwzięli się na mnie, bandyci! Tylko daj i daj! A ja skąd mam wziąć? Z palca wysssać?

Rachelka doskonale wie, że wujek, niezależnie od przyrodzonego skąpstwa, nie posiada również zbędnego grosza. Nieraz już kęs chleba w tym domu stawał jej kością w gardle. A na kęs ten pracowała ciężko i uczciwie. Obszywała w krawieckim warsztacie Berla dziurki od guzików.

To prawda, że wuj karbowańców z palca nie wyssie, ale chyba nie dopuści do tego, aby jego córka Genendl została starą panną. Dostyc już wycierpiał z powodu starszej córki Blimeli.

Biedaczka, daleko już była posunięta w latach, kiedy zjawił się chętny do żeniaczki chorowity wdowiec, sprzedawca losów loteryjnych. Wuj uznał to wtedy za świetną okazję. Po prostu za mecyję²³. Ładny interes. Nie ma co.

Karbowaniec więcej czy mniej nie robi różnicy, grunt, żeby młodzieńca z domu nie wypuścić. Zwłaszcza, że chodziły słuchy, iż nieźle zarabia. A biedaczka Genendl, oby Bóg się nad nią zlitował, od dawna już potrzebowała męża. Sama zresztą zdawała sobie sprawę, że jest brzydka, ma zielonkawą, niezdrową cerę, podsiniałe oczy i rzadkie zęby. Kto się na taką babę połakomi? Kiedy spogląda w lustro, przechodzą ją dreszcze. Kto taką zechce za żonę? Nic dziwnego, że skóra na niej płonie, i z chudego ciała bije żar. Pewnego razu Rachelka spała z nią w jednym łóżku i z powodu tego ognia bijącego z ciała Genendl, musiała wstać w środku nocy. Łóżko przypominało piec piekarniczy.

²³*mecyja* (hebr.) — dosł. znalezisko, coś nadzwyczajnego; rarytas. [przypis tłumacza]

Ale nie ma obawy. Genendl nie uwiędnie w staropanieństwie. Żeby nie wiem co, dostanie męża. Gdyby nawet okazało się, że trzeba użyć siły, to dostanie go. Pazurami wpije się w narzeczonego, choćby to było na samym środku rynku. Nie puści go i już. Te kilkaset karbowanów posagu ma swoją wartość. Te pogniecione papierki wuja Berla zrobią swoje. Zaprowadzą ją pod ślubny baldachim.

Jeśli komuś jest naprawdę źle, to tylko jej, biednej sierocie, Racheli. Jest zdana na łaskę skąpego wuja, dla którego jest zbędną gębą przy stole. I nic tu nie pomoże urodziwa twarz, piękna smukła figura, ciężkie warkocze i osiemnaście lat w pełnym rozkwicie. Czeka ją to samo, co spotkało Blimelę. Kto bowiem zechce wziąć za żonę sierotę, pannę bez grosza posagu?

Dla Rachelki dzisiejsza sobota jest podwójnie zepsuta. Nie dość, że gnębią ją smutne myśli o nieuniknionym staropanieństwie, musi się jeszcze, niczym więźniarka, dusić w ciasnym alkierzyku. Prawda, że ciocia Szprynca już kilka razy szybko przebiegała przez ciemny kory-

tarz, który był teraz zapchany gratami wyniesionymi z dużej izby na cześć soboty.

Złoszcząc się z powodu ciasnoty, ciocia raz po raz otwierała drzwi do alkierzyka i wołała:

— Czego tu sterczysz Rachelciu? Czyżby twój statek ze zsiadłym mlekiem zatonął w morzu? Wejść do izby i pokrzep się.

Ale z brzmienia jej głosu, z wyrazu wyblakłych oczu, ze ściągniętych gęstych brwi, podobnych do ciemnych wąsów, Rachela wyczytała podszytą strachem prośbę: „Dziewczy-
no, przecież nie zechcesz sprowadzić na mnie nieszczęścia. Gdzie się podzieję z moim «towarem», jeśli ty się pokażesz rodzicom przyszłego narzeczonego?”.

I kiedy Rachela nie odezwała się słowem, ciocia z trzaskiem zamknęła drzwi. Za nimi zdążyła jeszcze warknąć: — Tak to jest, jak się ho-
duje wroga we własnym domu!

Wtedy w Rachelce wezbrał bunt. Jakby poczuła uderzenie twardym przedmiotem najpierw w serce, które zaczęło mocno bić, a potem w gardło. I cała krew napłynęła jej do twarzy.

— Oczywiście, że tak! Jasne, że nie mogę się z wami równać! Pewnie, że mnie nie wypada siedzieć przy jednym stole z tymi waszymi handlarzami koni, z tymi rzeźnikami, z tymi — licho ich wie — waszymi przyszłymi powinowatymi! Ja jestem Rachel! A skoro tak, to sobie pójdę na spacer. Właśnie tak zrobię! I niech się za mną oglądają ci wasi powinowaci! Mnie to nic a nic nie obchodzi! Ja ich mam gdzieś!

Z zadymionym lustrem, krzywo zwisającym spod samego sufitu, Rachelka żyła w zgodzie. Wzajemnie prawiły sobie komplementy. Teraz, kiedy uśmiechnięta, pełna wdzięku stała przed nim, podobna do giętkiego, młodego drzewka, zadymione oblicze lustra rozjaśniło się i przyjaźnie poradziło jej, jak ma włożyć na ramiona bladoróżowy szal z włóczki, jak zarzucić matowoczarne warkocze i jak wygładzić pomarszczony koronkowy fartuszek. Posłuchała rad lustra i w efekcie była z siebie zadowolona. Na złość pokaże im, że nie upadła na duchu.

Przejdzie przez pokój jadalny z wysoko podniesioną głową.

Podobnie jak ciocia ściągnęła gęste, czarne brwi, które jednak na jej twarzy z krwi i mleka rysowały się szczególnym, wprost niewysłowionym wdziękiem. Delikatnie przygryzła grubawe wargi, które i tak były świeże i przybrowszy minę prześladowanego niewiniątka, niby paw przeszła przez korytarz i jadalnię, owładnięta jedną myślą: „Ja sobie jestem Rachela, a was mam gdzieś!”.

I jakby unoszona na skrzydłach przesybowała mimo długiego stołu, przy którym siedzieli goście. Czy została zauważona? Jeszcze jak! Głośna rozmowa natychmiast się urwała. Przez dłuższą chwilę panowała całkowita cisza. I szła za nią ta cisza, dopóki Rachela nie dotarła do szklanych drzwi wyjściowych. Na nikogo nie spojrzała. Nikogo nie widziała. Na ganuku natknęła się na Genendl. Kuzynka była tak zaaferowana rolą narzeczonej, że zieleń zniknęła z jej twarzy i na policzkach zakwitł bladoróżowy, wdzięczny rumieniec, typowy dla

panny młodej. Pod chustą niosła kilka butelek piwa. Właśnie odebrała je cichcem, aby nikt nie widział, od sklepikarza Bera-Nuty. Butelki zderzając się ze sobą, wydawały tępe dźwięki. Ber-Nuta musiał się pilnować przed czujnym okiem *Szomre-Szabes*²⁴, przed gniewem Strażników Soboty. Tylko przez wzgląd na jej status narzeczonej zgodził się odstąpić od obowiązującej zasady. W sobotę nawet na kredyt nie wydawał towaru.

Nic dziwnego, że Genendl poczuła się tak dumna jako narzeczonej, że „bez kija nie podchodź”. Rachelki nie zauważyła, a raczej udawała, że jej nie widzi. Dopiero gdy się minęły, spojrzała na nią wzrokiem pełnym dobrotliwej pogardy i niemal z przyjemnością zapytała:

— A cóż to, na spacer ni stąd, ni zowąd?

Rachelka jednak w swoim różowym szalu i błyszczących pantofelkach kroczyła już po targowym placu. Ale tu nie było nikogo, kto

²⁴*Szomre-Szabes* (jid., hebr.) — dosłownie strażnicy soboty. Ugrupowanie ortodoksów religijnych odpowiedzialnych za pilnowanie, by nie pracowano w *szabes*. [przypis edytorski]

mógłby podziwiać jej dumny krok. Po pustym placu biegał tylko kogut w towarzystwie kilku kur. Kramy wokół rynku spały z zamkniętymi oczami. Sobotni sen wziął je w posiadanie.

Na szosie Rachelka spotkała kilka koleżanek. Spędziła z nimi parę godzin na spacerze. W miasteczku huczało już od wieści o kojarzonym właśnie związku małżeńskim. Towarzyski Racheli ciekawe były zobaczyć młodą parę na jej pierwszym spacerze. Sama Rachelka również czekała na pojawienie się Genendl i narzeczonego, ale tylko dlatego, żeby pokazać im, że nic a nic jej nie obchodzą... Ona bowiem jest Rachelka. Ona tylko spaceruje z koleżankami.

Jednak na szosie, na którą teraz wyległa prawie cała młodzież z miasteczka, młoda para się nie pojawiła.

Wróciwszy do domu, Rachelka zauważyła, że zaszło coś niepokojącego. Nie było nikogo z mężczyzn. Z pewnością udali się do bóżnicy, żeby posłuchać magida²⁵. W mrocznej, przed-

²⁵*magid* (hebr.) — kaznodzieja. [przypis tłumacza]

wieczornej ciszy w dużej izbie dostrzegła dwie kobiety. Były to ciocia Szprynca i matka narzeczonego. Obie siedziały z założonymi rękami. Obie nadąsane. Każda zapatrzona w inne okno. Narzeczona Genendl leżała w alkierzyku na jej, Racheli, łóżku. Z głową wbitą w poduszkę, płakała. Kiedy Rachelka ostrożnie dotknęła ją ręką, płacząca jakby na to czekała. Łokciem odepchnęła ją i ze złością w głosie, zawołała:

— Odejdź ode mnie!

— Jak to? Za co? Czy nie wyniosłam się z domu, aby nie rzucać się w oczy? Nieszczęsna sierota! Przyłożywszy fartuszek do oczu pobiegła do sąsiadki, mieszkającej za przepierzeniem, do Małki-Tircy, żeby od niej dowiedzieć się, co tu się wydarzyło.

Mleczarka Małka-Tirca, która od swoich krów nasiąkła kwaśnym zapachem mleka, wzięła Rachelkę za delikatną rączkę i zaprowadziwszy do obory, zamknęła drzwi. Najciszej, jak tylko mogła, opowiedziała, co się tymczasem zdarzyło. I właśnie ona, Rachelka, ma w tym,

co się stało, swój udział. Broń Boże, nie jest winna, ale jakoś tak wyszło. Rodzice narzeczonego zwrócili bowiem na nią uwagę, kiedy przeszła obok nich w jadalnym pokoju.

— Co to za dziewczyna? Kto to jest? — zapytał ojciec.

— Taka biedna sierota — odpowiedział z westchnieniem wuj Berl. — To córka siostry mojej żony...

— Dziewczyna jak cymes²⁶!

— Tfu! Tfu! Oby jej urok nie zaszkodził! I nagle z ust narzeczonego wyrwały się słowa:

— Wiesz co, tato, za tę siostrzenicę to bym się zgodził na tylko dwie setki.

Zaraz też otrzymał od tatusia należytą odprawę:

— Ty prostaku! Ty chamie jeden! Co to za gadanie!

Ale narzeczony się uparł:

²⁶cymes (jid.) — słodka potrawa z ryżu lub makaronu i marchewki; tu: rarytas, smakolyk. [przypis tłumacza]

— Jeśli ma być Genendl, to niech jej ojciec dołoży do tych dwóch setek jeszcze sto pięćdziesiąt...

Jednym słowem, całe małżeństwo wisi teraz na włosku.

Rachela poczuła się wynagrodzona za swoje krzywdy. I serce jej wypełniło się współczuciem dla biednej Genendl, nad którą jacyś gruboskórni ludzie tak okrutnie się znęcają. I jednocześnie ogarnęła ją gwałtowna nienawiść do tego narzeczonego. Gotowa byłaby swoimi delikatnymi rączkami wydrapać mu oczy.

— Taki koniuch! Taki handlarz jarmarczny! Ja, Rachelkę, chciał sobie wyswatać! Nieśłychane! Ale źle trafił. Nie ten adres.

Zaszyła się w kącie izby i cały wieczór przesiadzała cichutko jak mysz pod miotłą. I chociaż serce miała wypełnione uczuciem litości, triumfu i gniewu na rodziców i powinowatych pana młodego, nie pisnęła ani słowem. Po hawdale²⁷ wznowiono hałaśliwą rozmowę między

²⁷*hawdala* (hebr.) — dosł. oddzielenie; uroczysta modlitwa odmawiana w wieczór kończący szabat. [przypis tłumacza]

obiema stronami. Wuj Berl lepił kuleczki z chleba i niczym zapędzony do kąta pies, patrzył tępych wzrokiem na mechutanów. A jego uparty kark zdawał się wyraźnie mówić:

— Nie mam więcej pieniędzy, katorznicy! Skąd mam je wziąć? Z palca wyssać?

Tymczasem zapadła noc i w gwarnym pokoju jadalnym zrobiło się jakoś ciszej. Targi o wysokość posagu utkwily w martwym punkcie. Mechutanowie jednak mieli pozostać do poniedziałkowego jarmarku. A nuż uda się coś zarobić i odbić sobie koszta podróży? Przyjechali aż spod Łomży. Zresztą sam wuj Berl namówił ich do pozostania. Zrobił to z wielką ochotą. W ciągu tych kilku dni wszystko przecież może się obrócić ku dobremu.

Rodzina wuja oddała im swoje łóżka. Ustawiono je w dwóch pokojach. Genendl ustąpiła łóżko kandydatowi do jej ręki, a sama poszła spać do Rachelki, która miłosiernie przygarneła poniżoną narzeczoną.

Natychmiast ułożyła się twarzą do ściany mimo odczuwanej dla Genendl litości. Nie mo-

gła znieść jej nieustającego szlochania i drżenia chudych, kościstych ramion. Z przygotowanych zawczasu słów pociechy dla kuzynki nic nie pozostało. Rachelka nie miała jej nic do powiedzenia. Żywiła dla niej litość i zarazem wstręt. Wreszcie zapadła w sen pełen majaczeń i obudziła się cała w dreszczach. Zdawało się jej, że jest przykuta do ciasnej rozżarzonej trumny. Leży z szeroko otwartymi oczami i nie ma odwagi się ruszyć. Czeką, aż sen całkiem z niej wyparuje. Jest jej ciasno, bo Genendl w ciągu tej nocy jakby się rozrosła i przycisnęła ją do ściany. Z ciała Genendl bije żar.

Rachelka słyszy jej przyspieszony oddech. Widzi, jak wstrząsana dreszczami, dygoce. I nagle rozbudzona Rachel czuje, że po jej nogach chodzi szczur. Oślizgły, wyliniały szczur.

Ze wstrętem silniejszym od strachu wyciąga rękę i chwyta... czyjaś rękę. Twardą, owłosioną rękę o grubych palcach. Przez chwilę dłoń Rachelki drętwieje w uścisku tych twardych, grubych palców. Ale wystarczył jeden energiczny ruch i obca ręka nagle zniknęła. Rachelka

zamyka powieki. Boi się otworzyć oczy, aczkolwiek w alkierzyku i tak panuje nieprzenikniona ciemność. W pozycji na pół siedzącej, z twarzą zwróconą ku ścianie, wstrzymuje oddech i przysłuchuje się biciu własnego serca. Genendl również przestała głośno oddychać.

Żelazne łóżko stęknęło. Coś ciężkiego zważyło się z niego i zrobiło się luźniej. Rachelka słyszy kroki bosych stóp. Zaskrzypiały drzwi. W ciasnym korytarzu przewrócił się jakiś drewniany grat. Zapadła cisza. I w tej ciszy rozlega się znowu zdławiony szloch Genendl. Rachelka boi się odezwać. Mogła się domyślić, kto to mógł być. I natychmiast ogarniają ją wstyd i wstręt. Nie może teraz pozwolić sobie na milczenie. Oznaczałoby to, że coś wie i ukrywa. W ten sposób staje się współniczką tego, kto jest powodem płaczu Genendl.

— Genendl, dlaczego płaczesz?

A narzeczona piskliwym głosem woła:

— Jeszcze się pytasz? Jeszcze pytasz?

Miało to znaczyć: on tu przyszedł, a ty milczysz. On się tu dobierał do twoich nóg, a ty

Rachelko nic. On się dobierał tylko do nóg Rachelki. Do tej piękniś! Do tej cnotliwej dziewczki. I powodowana zazdrością zaczyna kopać Rachelkę w nogi i krzyczy:

— A masz! A masz tobie! Masz tobie!

Rachel kurczy się ze wstydu i zaczyna cicho pochlipywać. W jednej chwili uświadamia sobie, że właściwie ponosi winę za to, że spodobała się narzeczonemu. Zasługuje więc na to, żeby Genendl kopła ją po nogach. Bardziej już się godzi z bólem w nogach, aniżeli ze wstrętnym dotykiem owej twardej dłoni. W duchu postanawia: poprosi jedną z koleżanek, aby ją przenocowała u siebie na czas pobytu mechtanów. Do ciotki w tym czasie nawet nie zajrzy.

Rachelka i Genendl zdążyły po cichu się wyplakać i obie zasnęły z nienawiścią w sercach. Nad ranem wyrwało Rachelkę ze snu uczucie powracającego wstrętu. Powoli odwraca się twarzą do Genendl, z ciała której bije istny żar. Oddycha jednak miarowo i spokojnie. W alkierzyku poza nimi nikogo nie ma, ale Rachelce jest jakoś ciasno. Ma wrażenie, jakby dwie

zmije oplotły się wokół jej ciała. Jedną czuje na nogach, a drugą pod piersią. To kuzynka objęła ją we śnie ramionami. Rachel nie może się od nich uwolnić.

— Genendl, śpisz? Ciasno mi. Duszę się.

Genendl jednak nie reaguje. Głęboko i miarowo oddycha. I kiedy Rachelka ułożyła się twarzą do ściany i zaczęła zasypiać, poczuła nagle na swoim nagim ramieniu nieśmiały pocałunek.

To Genendl ją całowała.

Jarmark w miasteczku rozpoczynał się o świcie. Tu dopiero okazało się, jakimi handlarzami byli mechutanowie. Co pół godziny któryś z nich przynosił z targu jakieś mecyje. Wszystkie przyniesione nabytki rozłożyli w dużym pokoju jadalnym. Nie było już gdzie się obrócić.

Wuj Berl zmuszony był wraz ze swoim warsztatem męczyć się w jednym kącie. W samym środku jadalni wznosił się stos drewnianych wiader i innych naczyń z drewna. Powinowaci narzeczonego nakupili mnóstwo towaru. Cały sklep. Surowe drewno zalatywało kwaśnym zapachem

i lśniło nagością. Mało tego. W pokoju zjawia się matka narzeczonego w towarzystwie jakiegoś chłopca w łapciach. Chłop dzwiga na plecach całą górę wianków suszonych grzybów. Za chwilę pokój wypełniony jest zapachem padliny. Sam narzeczony w przepoconej czapce, która zsunęła mu się na uszy, przytaszczył na plecach związanego cielaka i położył go na podłodze. Nim nastąpił wieczór, cały dom wuja Berla zamienił się w jarmark. Okazało się, że mechutanowie będą mogli wyjechać dopiero jutro, gdyż z nadmiaru szczęścia zapomnieli podkuć konia, i teraz trzeba mu sprawić zupełnie nowe podkowy.

Berl patrzył na mechutanów ze złością i szacunkiem zarazem. Oba te uczucia mają swoje źródło w jego niepraktyczności, w jego rzemieślniczej, że tak powiem, niezaradności. Zdało mu się, że mechutanowie wprost po mistrzowsku opanowali sztukę lekkiego zarabiania pieniędzy. A skoro tak, to dlaczego go gnębią? Dlaczego chcą z niego wycisnąć tyle pie-

niędzy? To przecież nie bagatela, żeby igłą wypracować dwieście karbowańców.

Dlatego też wuj Berl nie wznowił rozmowy na temat posagu, pomimo iż to małżeństwo zaczęło mu coraz bardziej odpowiadać. Mechtanowie również nabrali wody w usta. Wyglądało na to, że wszystko skończy się na niczym.

Genendl, jeszcze ubrana w sobotni strój, zielona na twarzy, z podsiniąłymi oczami i prawie nieprzytomna, siedziała bez ruchu. Nie podnosiła wzroku ani na narzeczonego, ani na Rachelkę.

Wieczorem Rachelka wybierała się do koleżanki, u której miała nocować. Weszła do alkierzyka, aby wziąć jakieś swoje rzeczy. W tej samej chwili wpadła tam Genendl i szybko zamknęła drzwi na klucz.

— Naprawdę odchodzisz, Rachelko? Nie chcesz ze mną spać?

Rachelka zagryzła wargi:

— Oczywiście, że nie chcę. Kopiesz.

Zrozpaczona Genendl objęła ją za szyję:

— Obym umarła! Oby mi nogi uschły. Rachelko, byłam szalona. Wszyscy ode mnie odchodzą. Wszyscy mnie ponizają. Po co ja żyję na świecie? Taka pokraka!

Rachelkę ogarnęła litość. Zaczęła głaskać kuzynkę po głowie, wycierała jej łzy. A Genendl gorącymi ramionami objęła Rachelkę w mocnym uścisku.

— Nie — pomyślała Rachelka. — Genendl wcale nie jest pokraką. Jest wprawdzie, biduła, bardzo chuda, ale to wskutek gnębiących ją myśli, że zostanie starą panną. Właściwie posiada nawet pewien wdzięk. Tylko te zęby.

Chciała jej powiedzieć coś na ten temat, ale nie miała serca. W nocy, nim obie ułożyły się do snu, postanowiły na korytarzu za drzwiami położyć łopaty i pogrzebacze. Gdyby narzeczony ośmielił się znowu przyjść, musiałby najpierw połamać ręce i nogi. Drzwi zamknęły także na łańcuch i przysunęły do nich wysoki kufer.

Nie sądzona jednak była Rachelce spokojna noc. W chwili, kiedy we wszystkich poko-

jach zaczęło się już rozlegać chrapanie, wczorajsze piekło wróciło. Miała do siebie ogromny żal, że ustąpiła prośbie Genendl i zgodziła się z nią spać. Łóżko dla dwóch osób stanowczo było za ciasne. Gdyby Genendl nie miała niespokojnych snów...

Kuzynka znów przycisnęła Rachelkę do ściany, jakby chciała swoim gorącym, chudym ciałem wedrzeć się w nią.

— Genendl! Genendl!

— Co?

— Jakaś ty gorąca!

I Rachelka czuje, jak gorące, suche wargi Genendl przyciskają się do jej ramienia. Z początku ostrożnie, ukradkiem, a potem coraz mocniej i coraz bezczelniej. Ciało Rachelki znalazło się znowu we władzy dwóch płonących rąk-
-zmij. Tak jak wczoraj.

— Genendl! Słyszysz mnie, Genendl!? Jeśli mi nie dasz spokoju, obudzę ciotkę, a wtedy czeka cię marny los.

Za chwilę zostaje zwolniona z uścisku. Czuje, jak drżąca Genendl odsuwa się od niej. Ale po chwili zmuszona jest wyskoczyć z łóżka.

— Co chcesz zrobić, Rachelko?

— Wstręt mnie ogarnia. Rozumiesz? Wstręt!

Rachela czuje, że jej twarz płonie ze wstydu. Powietrze przesycone jest zapachem wianków suszonych grzybów w dużym pokoju. Rachelce wydaje się, że zapach wydziela się z łóżka, na którym spała z Genendl, że wydobywa się z płonącego ciała kuzynki, że jest wynikiem jej dzikiej namiętności. Stara się nie patrzeć na łóżko, które napełnia ją strachem i wstrętem. A z drugiej strony kusi ją i ciągnie, aby jeszcze raz na nie popatrzeć.

I kiedy wzrok jej pada na siedzącą Genendl, która jak pijana, z otwartymi ustami uparcie wpatruje się swoimi zapadniętymi oczami w jej, Racheli, nagość, kurczy się ze wstydu.

A Genendl mamrocze:

— Czy przynajmniej mnie rozumiesz, Rachelko? Czy mnie rozumiesz?

Rachelka wyciąga okrągłe ramiona. Czuje strach i wstręt. Spojrzenia i słowa Genendl działają na nią jak obrzydliwe łaskotanie. Mało co jednak z jej mamrotania rozumie. Genendl wstrzymując oddech powiada:

— Nienawidziłam cię. Tak, nienawidziłam. Jeszcze wczoraj gotowa byłam zadusić cię własnymi rękami. Boże mój! Dlaczego wszyscy kleją się do ciebie? Dlaczego cię kochają? Nawet starsi ludzie, matka i ojciec narzeczonego... Myślisz, że nie słyszałam? Myślisz, że nie mam rozumu? Byłam ślepa... Nic nie rozumiałam. Nie zauważyłam, jaka jesteś piękna, Rachelko! Nie zdawałam sobie sprawy, czym jest piękność. Nie uciekaj Rachelko, nie odpychaj mnie. Nie idź budzić mamy! Przecież ja cię Kocham. Ja chcę... chcę przed tobą paść na kolana.

I w małym alkierzyku wydarzyło się coś takiego, co nie pasowało do nędznej ciasnoty izdebki i skąpego światła zadymionej lampy naftowej.

Najpierw Rachelka przed padającą do jej nóg Genendl wskoczyła na wysoki kufer przy

drzwiach. Po chwili strach przeminął i wygodnie rozsiadła się na kufrze. Założyła nogę na nogę, tak że świeciły bielą nagości, po czym trzymając ręce na piersiach spokojnie i cicho zamarła w bezruchu. Wyglądała jak posąg wykuty z marmuru. Genendl przyczołgała się do niej na kolanach. Objęła za nogi. Przyłgnęła do nich swoimi gorącymi podnieconymi piersiami i oblewała je łzami.

— Jaka ty jesteś piękna, Rachelko! I jaka zimna.

A Rachela patrzyła z góry na tę umęczoną, starzejącą się dziewczuchę, która zagubiła się w cierpieniach własnej namiętności. Jej serce pozostało głuche. Strach już zdążył ją opuścić, litość i wstręt słabły, aż się zupełnie rozplynęły i ulotniły jak dym z papierosa.

W sercu Rachelki panuje teraz jedno słodkie uczucie dumy ze swojej przewagi, z uświadomionej własnej urody. Co ją może obchodzić ta kobieta, która klęczy przed nią, jak przed ołtarzem. Co ją obchodzi, że pokrywa jej ciało pocałunkami. Pozwala na to w swojej łaskawo-

ści. Patrzy na biedną narzeczoną z góry. Patrzy surowo i wyniośle.

W rozżarzonem nocnym powietrzu alkie-
rzyka nie unoszą się zapachy francuskich per-
fum. I zaczarowane kwiaty pradawnego Les-
bos nie rozchyliły tu podczas tego niesamowi-
tego misterium swoich kielichów. Ciężki i wil-
gotny, jak skóra zdarta z padliny, jest wiszą-
cy w powietrzu smród jarmarcznych zakupów.
Ale sama Rachelka już go nie czuje. „Na pro-
wincji to tak, jak u antykwariusza na strychu”.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest udostępniony na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa - Na Tych Samych Warunkach 3.0.PL.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kacyzne-chore-perly-i-inne-opowiadania>

Tekst opracowany na podstawie: Alter Kacyzne, Chore perły i inne opowiadania, tłum. Michał Friedman, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1999.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Fundację im. Michała Friedmana. Dofinansowano ze środków Programu Archiwistyka Społeczna Narodowego Instytutu Audiowizualnego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Natalia Judzińska, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: Chore perły i inne opowiadania, Agata Środa, CC BY SA

ISBN 978-83-288-0328-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

ALTER. KACYZNE. *Chore perły i inne opowiadania*. Fundacja Nowoczesna Polska, 270

KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwiązać bi-